cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #224 06/2025

Piotr Nisztor
HEJTERZY PO BEZKARNI W CZASIE „REŻIMU" PIS

Hanna Shen
CHINY – WYZWANIE DLA LEONA XIV

Piotr Lisiewicz
CZŁOWIEK ZE STALI. HISTORIA POLSKIEGO BOKSERA Z AMERYKI

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



Pokolenie ZORRO

Jak młodzi **uratowali polską niepodległość**

ISSN 1896-9496

OKŁADKA: MARIUSZ TROLIŃSKI - WYGENEROWANE ZA POMOCĄ AI

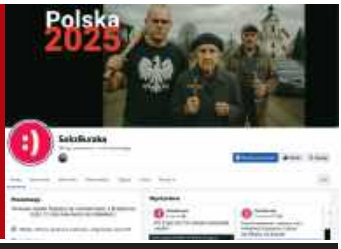
eprasa.pl aa16717a60

TEMAT NUMERU 4–7



Lisiewicz: Pokolenie Zorro. Jak młodzi uratowali polską niepodległość / 4

KRAJ 8–17



Hejterzy PO bezkarni w czasie „reżimu" PiS / 8

IDEE 18–31



Sztuka zapominania, niemiecka specjalność / 18

HISTORIA 38–57



Człowiek ze stali. Historia polskiego boksera z Ameryki / 38

KULTURA 58–66



Prawdziwa historia Berena i Luthien / 58

ŚWIAT 72–97



Chiny – wyzwanie dla Leona XIV / 72

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz
Lisiewicz: Pokolenie Zorro. Jak młodzi uratowali polską niepodległość 4

KRAJ

Piotr Nisztor
Hejterzy PO bezkarni w czasie „reżimu" PiS 8

Gen. Andrzej Kowalski
Powyborcza destrukcja służb specjalnych? 14

IDEE

Ewa Polak-Pałkiewicz
Sztuka zapominania, niemiecka specjalność 18

Małgorzata Matuszak
Społeczeństwo nowoczesne a brutalizacja współczesnego świata 25

Jakub Maciejewski
Unionizm – pogląd wyklęty 28

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Człowiek ze stali. Historia polskiego boksera z Ameryki 38

Dariusz Jarosiński
Stefan Banach. Legenda matematyki i Lwowa 44

Agnieszka Kowalczyk
Maurycy Beniowski. Człowiek, który pokonał carską Rosję 50

Józef Piłsudski
Legjoniści – w imię walki o to, co polskie nosi imię 56

KULTURA

Łukasz Czarnecki
Prawdziwa historia Berena i Luthien 58

Krzysztof Karnkowski
Czarne lustro i polskie UFO 64

ŚWIAT

Hanna Shen
Chiny – wyzwanie dla Leona XIV 72

Antoni Rybczyński
Trumpa handel z Arabami. Triumf nowej dyplomacji 76

Dawid Wildstein
Europejscy przyjaciele Hamasu 81

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 84

oprac. Antoni Rybczyński
Następna wojna Rosji 86

Stefan Czerniecki
Il papa č morto! Lunga vita al papa! 90

Stałe rubryki


Katarzyna Gójska
Pospolite ruszenie obywateli
NA POCZĄTEK 3


Małgorzata Matuszak
Czym jest... tajemnica
KATECHIZM INTELIGENTA 13


Rozmowa Krzysztofa Wołodźki
Pielęgniarstwo nie jest dla grzecznych dziewczynek
PRZYSPOSOBIENIE OBRONNE 32


Marek Kalinowski
Lekcje polskiego z Sanah
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 67


Krzysztof Wołodźko
Kres potęgi Niemiec? Czy nowy początek?
DZIENNIK LEKTUR 68


Marcin Wolski
Hejt tam w dolinie
PAPKULTURA 98


Tomasz Sakiewicz
Świat „normalsów"
OSTATNIE SŁOWO 99

„NOWE PAŃSTWO"
DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!
Zamów na prenumerata.swsmedia.pl i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Stefan Czerniecki, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Jakub Maciejewski, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Troińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl aa16717a60



Katarzyna Gójska

Pospolite ruszenie obywateli

Prezydent Karol Nawrocki prowadził swą zwycięską kampanię wyborczą m.in. pod hasłem powrotu do normalności. Normalności w wymiarze światopoglądowym, normalności w życiu publicznym, rozumianej przede wszystkim jako przestrzeganie prawa. Ale Polska potrzebuje też innej normalności – takiej, jakiej nigdy w III Rzeczypospolitej nie zaznała – demokracji niekrępowanej postkomunizmem.

Od razu wyjaśnię, czym dla mnie jest postkomunizm, bo nie sprowadzam go wyłącznie do układu ludzi byłych komunistycznych służb i ich następców realizujących to dawne, wymierzone w społeczeństwo, ustalenie. Postkomunizm to przede wszystkim sposób traktowania obywateli i ich praw. Rozpasane partyjniactwo, któremu podporządkowane ma być wszystko – z debatą publiczną włącznie. Przycinanie wolności słowa pod partyjny interes, manipulowanie najnowszą historią pod partyjny interes i w końcu wpływanie na media zgodnie z takim czy innym partyjnym interesem. Postkomunistyczne myślenie, oczywiście w innej skali oraz w inny sposób, jest obecne po obu stronach polskiej sceny politycznej. w nich źródło swej siły, a nie konkurencję. Zwycięstwo Ronalda Reagana nie byłoby możliwe bez wykorzystania społecznego potencjału, Donald Trump wspiera ruch konserwatywny, z którego ideałami się utożsamia. Czas obudzić w Polakach obywatelskość. Zamiast zakładać kolejne sztuczne organizacje udające społeczne, pozwolić ludziom działać, tak jak chcą. Pozwolić im być krytycznymi, a nie uciszać ich poprzez lokalnych kacyków tej czy innej partii. Gołym okiem widać wielki głód obywatelskości. Potrzebę zaopiekowania się swoim państwem, ale nie poprzez działalność partyjną, lecz właśnie społeczną. Republika jest tego najlepszym przykładem. Tysiące ludzi postanowiły zbudować wielkie propolskie medium. Nie dla własnej korzyści, lecz dla

Czas obudzić w Polakach obywatelskość. Zamiast zakładać kolejne sztuczne organizacje udające społeczne, pozwolić ludziom działać, tak jak chcą. Pozwolić im być krytycznymi, a nie uciszać ich poprzez lokalnych kacyków tej czy innej partii.

Czas najwyższy, by uwolnić Polskę od tej patologii życia publicznego. Karol Nawrocki ma na to szansę, bo sam nigdy w niej nie uczestniczył. Nie jest nią skażony, może bez lęku wspierać konserwatywne inicjatywy – przez lata albo niszczone przez władzę, albo – w najlepszym stopniu – tolerowane, bo postrzegane jako rodzaj konkurencji. Niestety, w naszym kraju nadal, kilkadziesiąt lat po rozwiązaniu PZPR, bardzo wielu przedstawicieli życia publicznego jest (bardziej lub mniej) kierowanych przekonaniem o przewodniej roli partii. Przed laty i przez całe lata śp. Jacek Kwieciński, wybitny znawca i analityk amerykańskiej polityki, piętnował wszechobecne w Polsce partyjniactwo. Opisywał dokładnie, jak funkcjonują partie polityczne w USA, jak szeroki wachlarz poglądów prezentują i jak wykorzystują potencjał organizacji społecznych, ruchów obywatelskich, widząc dobra publicznego. I dokonały tego. Stworzyły i dalej rozbudowują Dom Wolnego Słowa, bo rozumieją, co oznacza jego brak, oraz widzą skuteczność swojego zaangażowania. Ten sam mechanizm zadziałał w przypadku kampanii Karola Nawrockiego. To obywatele przekazali fundusze na jej prowadzenie, widząc bezprawie rządu Tuska i licząc, że zwycięstwo ich kandydata położy kres temu bezprawiu. Nigdy wcześniej w historii III RP głowa państwa nie została wybrana dzięki finansowaniu bezpośrednio od obywateli – swoistemu pospolitemu ruszeniu odpowiedzialności. To z jednej strony przywilej i powód do dumy, ale z drugiej ogromne zobowiązanie do dokonania w Polsce wielkich proobywatelskich zmian, zakończenia patologii postkomunizmu. ■

Tekst ukazał się pierwotnie w tygodniku „Gazeta Polska"

eprasa.pl aa16717a60

Piotr Lisiewicz



Lisiewicz: Pokolenie Zorro. Jak młodzi uratowali polską niepodległość

Karol Nawrocki wygrał wybory zarówno wśród młodzieży, mającej od 18 do 29 lat, jak i wśród 30-parolatków. To absolutny fenomen, że rząd Donalda Tuska w rekordowym tempie zniechęcił do siebie młodzież, która zaledwie półtora roku temu obalała rząd PiS. Wydarzenia z tej kampanii – polowanie policji na Zorro oraz Batmana, cenzura w mediach, rzucenie na ziemię przez ochronę Trzaskowskiego 21-letniego lewicowego aktywisty Patryka Szynkowskiego czy wyrzucanie z wiecu 17-letniego Szymona Szymańskiego z prawicowego kanału Polska Nad Wszystko – utrwalą wśród najmłodszych Polaków przekonanie o obciachowym wizerunku obecnego rządu.

eprasa.pl aa16717a60



ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLIŃSKI - WYGENEROWANE ZA POMOCĄ AI

eprasa.pl aa16717a60

Obrazki z Jagodna sprzed półtora roku przedstawiano nam w mediach jako „zryw młodych". Tymczasem frekwencja wśród najmłodszych wyborców wyniosła wówczas niecałe 69 proc., podczas gdy w I turze obecnych wyborów prezydenckich było to aż 72,8 proc.

▶ Patriotyczne Julki, czyli „Polska gurom"

To, że wśród młodych bardzo szybko się zmienia, było widać od miesięcy na Tik-Toku, o czym zaalarmowała mnie 17-letnia córka. Krótki filmik z satyrycznym obrazkiem „Polska gurom", będącym zawołaniem Mariusza Pudzianowskiego i z Tatrami w tle był, w pewnym momencie najczęściej komentowanym na TikToku materiałem… na świecie. Odpowiedzią na usuwanie historii ze szkół przez minister Nowacką stała się moda na patriotyzm wśród uczniów, co umykało publicystom. Ogromną popularność miał kawałek amerykańskiego rapera, z podłożoną polską, patriotyczną symboliką i znanymi Polakami – Anitą Włodarczyk, Robertem Lewandowskim, ale także Janem Pawłem II i prezydentem Andrzejem Dudą. Dowodem na to, że filmik był zrobiony spontanicznie przez młodzież nieznającą meandrów polityki, był fakt, że wśród owych postaci znalazła się także Wisława Szymborska.

To wszystko przełożyło się jednak na politykę w kampanii wyborczej. Niektórzy byli mocno zdziwieni, patrząc, jak dziewczyna z ostrym makijażem, mająca nick waleczna_patrycja99, którą wizualnie i gdy chodzi o słownictwo można by skojarzyć z Julkami, z ogniem w oczach apelowała, by nie głosować na Trzaskowskiego, bo to szkodliwe dla Polski, wołając z przerażeniem: „Te wszystkie Julki pójdą na wybory i sprzedadzą nas za legalną skrobankę, czaisz?". A na kanale Tomka Golonki młoda lesbijka, określająca się jako „osoba LGBT", apelowała o głosowanie na Nawrockiego, bo choć w różnych sprawach się z nim nie zgadza, to ojczyzna oczywiście jest ważniejsza od tęczowych postulatów.

▶ „Wyborcza" załamana, że namawiając młodzież do głosowania, wylansowała Mentzena

Zabawnie wyglądał lament „Gazety Wyborczej", która po I turze wyborów napisała: „»I co zeście najlepszego narobili, zachęcając młodych do głosowania? No, to poszli. I zagłosowali na Mentzena« – słyszą działacze Akcji Uczniowskiej, inicjatorzy kampanii profrekwencyjnej Młodzi GłosujMY, skierowanej do wyborców z grupy wiekowej 18–29". Faktycznie, Akcja Uczniowska, z pacyfą w logo, stworzona niegdyś jako narzędzie do walki z PiS, tym razem raczej zaszkodziła swoim patronom.

W I turze Sławomir Mentzen zdobył wśród młodzieży aż 34,8 proc. głosów, prawie dwa razy więcej niż drugi Adrian Zandberg – 18,7 proc. Głosowanie na partie niekojarzące się z establishmentem władzy, zarówno z prawa, jak i z lewa, jest typowe dla młodego elektoratu niezmiennie od lat. Łowili wśród niego wyborców Janusz Korwin-Mikke, Paweł Kukiz czy Janusz Palikot. Publicyści akcentowali tu zjawisko mało zaskakujące, czyli niższe wyniki kandydatów PiS i PO, doszukując się trwałego osłabiania „duopolu". Nie znoszę tego określenia, bo sugeruje ono, jakoby pomiędzy głównym ugrupowaniem obozu niepodległościowego i głównym ugrupowaniem targowicy były jakieś podobieństwa. Ale gdyby trzymać się tej nazwy, niekoniecznie w kolejnych latach „duopol" musi słabnąć, bo wyborcy wraz z wiekiem rzadziej stawiają na politycznych ekscentryków.

▶ Zandberg, a nie Biejat, czyli koniec koszmaru „strajku kobiet"

Ciekawsze były jednak dwie informacje. Pierwsza to prawie dwukrotna przewaga prawicowego Mentzena nad lewicowym Zandbergiem. Druga to fakt, że młodzi o lewicowych poglądach wybrali Zandberga, a nie Magdalenę Biejat. Przewaga Zandberga nad Biejat była ponadtrzykrotna – 18,7 do 5,3 proc. Młody lewicowy elektorat nie zagłosował na Biejat, silniej akcentującą sprawy praw LGBT czy aborcję. Oznacza to definitywny koniec znaczącego wpływu agresywnej ideologii „strajku kobiet" na polską młodzież. A to bardzo ważne.

Zaskakującym sygnałem, że idzie w tej kwestii zmiana, był pierwszy od wielu lat wzrost liczby powołań kapłańskich, który nazwałem „efektem księdza Olszewskiego". Najbardziej liczba ta wzrosła w… Poznaniu, poddawanym silnej ateizacji. A przecież większość chętnych do seminariów to maturzyści.

Natomiast lewicowa młodzież w wyborach postanowiła być w opozycji do obecnej władzy, nie wybrała lewicy wspierającej rząd Tuska, postkomunistycznej, oligarchicznej, jak uwłaszczony na Muzie SA Włodzimierz Czarzasty. Wybrała lewicę socjalną, niebiorącą w przeszłości udziału w uwłaszczeniu nomenklatury, nieumoczoną w komunistyczną bezpiekę. To fakt, niezależnie od tego, czy te kwestie z przeszłości miały dla niej jakiekolwiek znaczenie. Liczą się skutki – trwałe umocnienie lewicy o demokratycznym rodowodzie kosztem postkomunistów. Co bardzo wiele na polskiej scenie zmienia, także w kontekście przyszłych sojuszów i koalicji.

Sławomir Sierakowski lamentował w TVP, że 16 proc. wyborców Zandberga poparło Nawrockiego. Ale sztab Trzaskowskiego bardzo mocno na to pracował, rzucając na ziemię w Poznaniu broniącego Osiedla Maltańskiego 21-letniego aktywistę Patryka Szynkowskiego czy prowadząc w czasie kampanii wojnę z lokatorami w Warszawie.

Ale pierwsze wystąpienia Zandberga w Sejmie po wygranej Nawrockiego było atakiem na rządzącą koalicję za to, że przez oszukiwanie ludzi i niedotrzymywanie obietnic otwiera prawicy drogę do władzy. Jak kpił Zandberg, przez nią premierem może być niebawem Sławomir Mentzen.

eprasa.pl aa16717a60

Wygląda więc na to, że lider Razem faktycznie ma ambicje przejęcia dotychczasowych wyborców koalicji 13 grudnia.

Oszustwo sondażowe

Fakt, że młodzi wyborcy w II turze woleli Nawrockiego od Trzaskowskiego, ma tu jednak znaczenie największe. Wskazuje na to, że młodzież głosująca na Mentzena ma określone poglądy i nie jest głupia, jak chciał widzieć ją obóz Trzaskowskiego. Dlaczego tak twierdzę?

Na cztery dni przed II turą ukazały się dwa sondaże. Z sondażu Opinia24 przeprowadzonego dla radia RMF wynikało, że 83 proc. wyborców Sławomira Mentzena chce głosować na Karola Nawrockiego, zaś na Rafała Trzaskowskiego jedynie 13 proc. Tymczasem Wirtualna Polska pokazała sondaż United Surveys, z którego wynikało, że na Nawrockiego zagłosuje „44 proc. sympatyków Sławomira Mentzena. 35 proc. zwolenników Konfederacji deklaruje wybór Trzaskowskiego". Socjologowie lubią w takich sytuacjach mówić o błędach i różnych metodologiach. Ale nie ma takich błędów ani metodologii, które powodowałyby różnicę w badaniach o 39 proc.! Wirtualna Polska napisała wówczas, że zdaniem dr. hab. Renaty Mieńkowskiej-Norkiene „punktem zwrotnym kampanii przed II turą było spotkanie kandydata KO na piwie z szefem Konfederacji". Jak dodała ta pani, „wcześniejsze prognozy wskazywały, że 85 proc. wyborców Mentzena poprze Nawrockiego".

No więc to było robienie z wyborców Mentzena debili, totalnych bezmózgów, którzy nie mają własnych poglądów, żadnej wiedzy o polityce. Wystarczy im zamachać przed nosem filmikiem z trzema politykami pijącymi piwo i prawie POŁOWA z nich zmienia zdanie: już LUBI TRZASKOWSKIEGO. Że jacyś mało zorientowani wyborcy trafiają się w elektoracie każdej partii, to oczywisty fakt. Ale nie ma elektoratu tak głupiego, by aż 41 proc. z niego zmieniło zdanie pod wpływem incydentu, taniej zagrywki Trzaskowskiego i Sikorskiego.

Dodajmy dla porządku, że w międzyczasie głosowanie na Nawrockiego zapowiedziało wielu liderów Konfederacji, w tym Krzysztof Bosak czy Przemysław Wipler, a także związany z Grzegorzem Braunem Janusz Korwin-Mikke. Ale wyborcy Mentzena ich już nie lubią, oni uwielbiają Trzaskowskiego i Sikorskiego, bo… napili się piwa – bzdurzył obóz Trzaskowskiego.

Mentzen jak Kukiz

Poparcie przez młodych wyborców dla Nawrockiego w II turze przypomniało sytuację z wyborów w 2015 roku. Wówczas w I turze Andrzej Duda wygrał nieznacznie z Bronisławem Komorowskim, 34,76 do 33,77 proc. A trzeci był Paweł Kukiz – 20,80 proc., czyli miał takie poparcie jak w 2025 roku Mentzen wspólnie z Braunem. Elektorat rockmana Kukiza, podobnie jak dziś elektorat Mentzena, chciał powstania jakiejś trzeciej siły na scenie politycznej, ale jednocześnie bardziej nie lubił rządzącej PO niż opozycyjnego PiS. Do tego Andrzej Duda, młodszy i bardziej dynamiczny, przyciągnął część elektoratu Kukiza niebędącego tradycyjnym elektoratem prawicy i wygrał. I tak dokonał się zwrot na prawo.

Z podobną sytuacją mamy do czynienia teraz. Z badań wynika, że elektorat Sławomira Mentzena jest nieco mniej konserwatywny obyczajowo – w praktykach religijnych uczestniczy 72 proc., ale tylko 26 proc. robi to co najmniej raz w tygodniu. A 28 proc. wyborców Sławomira Mentzena stanowią niepraktykujący. Nawrocki dostał więc głosy także tego elektoratu, którego konserwatyzm wynika bardziej ze zdrowego rozsądku niż z religijności. I ten elektorat poparł w II turze konserwatywnego, ale też popkulturowego Nawrockiego, a kwestie ustawek czy żucia snusa tylko pomogły mu akurat w tej części elekoratu.

Ależ szybko to się stało!

Największą rewelacją jest fakt, że rząd Tuska stał się dla młodzieży wrogiem tak wcześnie, zaledwie po półtora roku rządów. Tego dawno nie było! Gdy rządził PiS, totalna opozycja nie zdołała w latach 2015–2020 zorganizować wokół siebie żadnej młodzieżowej kontestacji. Niezależnie od tego, czy protest nazywał się protestem emerytów mundurowych czy studentów, pojawiały się na nim te same twarze byłych bezpieczniaków. Dopiero po pięciu latach pojawił się wspomniany „strajk kobiet", który masowo przyciągnął młodych. Ale za poprzednich rządów Tuska z lat 2007–2015 było trochę podobnie. Protesty młodzieżowe na dużą skalę pojawiły się w roku 2011 (kibice), a na skalę ogromną w roku 2012 (ACTA).

Teraz wystarczyło tylko półtora roku! Bo protesty z dominującym udziałem starszych osób potrafiły posługiwać się hasłami zaciekawiającymi młodzież, jak moje „Ruda wrona Orła nie pokona" czy „Nie bać Tuska". Zbyt mało docenione były tu ogólnopolskie protesty rolników, na których dominowali młodzi ludzie, nie gorzej od rówieśników z wielkich miast posługujący się mediami społecznościowymi. Okazało się, że niekoniecznie bachanalia wielkomiejskiej młodzieży mogą nadać ton trendom pokoleniowym. Działania rządu – takie jak areszt dla Dariusza Mateckiego, jednego z najpopularniejszych polityków w mediach społecznościowych – też odegrały swoją rolę. Wreszcie ogromną popularność zyskała Telewizja Republika, która okazała się mieć zdecydowanie młodszego widza niż TVP Info za rządów PiS. Na młodych widzów wpływ też miał Kanał Zero Krzysztofa Stanowskiego, który przyjął na siebie rolę Stańczyka, krytykującego wszystkich, ale ponieważ zdecydowanie najbardziej sztuczny i zakłamany był Rafał Trzaskowski, w niego ta krytyka uderzała najbardziej.

Jedno jest pewne: czas narzekania na młodzież na prawicy definitywnie się skończył. ■

eprasa.pl aa16717a60

Piotr Nisztor



Hejterzy PO bezkarni w czasie „reżimu” PiS

Przez osiem lat rządów Prawa i Sprawiedliwości organy ścigania – zarówno prokuratura, jak i służby specjalne – bardzo nieskutecznie walczyły z hejtem i nienawiścią. W śledztwie dotyczącym Soku z Buraka, największego hejterskiego profilu w polskim internecie, pominięto szereg istotnych wątków. Nie przesłuchano też występujących w sprawie kluczowych polityków PO! W efekcie tworzona wówczas machina hejtu skutecznie wytworzyła atmosferę nienawiści wobec ugrupowania kierowanego przez Jarosława Kaczyńskiego. Te negatywne emocje odegrały kluczową rolę w wyborach parlamentarnych w 2023 roku, które odsunęły PiS od władzy.

eprasa.pl aa16717a60





fot. Leszek Szymański/PAP. Zrzut ekrany www.facebook.com/sokzburaka

eprasa.pl aa16717a60

Łamanie praworządności, demokracji i konstytucji czy nielegalna inwigilacja opozycji, bezprawne użycie systemu Pegasus, walka z prawami kobiet, okradanie państwa oraz działanie w interesie Federacji Rosyjskiej – to tylko część oskarżeń, jakie w latach 2015–2023 pod adresem rządu Prawa i Sprawiedliwości wysuwała ówczesna opozycja, z Platformą Obywatelską na czele. Na ich poparcie przedstawiano szereg treści kolportowanych w mediach społecznościowych, poprzez konta na platformach Twitter (obecnie X), Facebook, Instagram, Tik Tok czy kanały na YouTube. Były one zmanipulowane lub wprost kłamliwe, często zawierające wulgaryzmy. Uderzały nie tylko w PiS, lecz także w poszczególnych przedstawicieli tego ugrupowania. Kluczową rolę w tej kampanii nienawiści odgrywał Sok z Buraka, największy hejterski profil w polskim internecie, obserwowany na Facebooku przez ponad milion użytkowników i kolejne kilkadziesiąt tysięcy na platformie X. Potem podobny model funkcjonowania zaczęły powtarzać inne profile, konta i portale kojarzone z politykami lub sympatykami PO, w tym z Romanem Giertychem, adwokatem, obecnie posłem Koalicji Obywatelskiej. Dzięki bardzo dużym zasięgom hejterska machina w ciągu kilku lat rządów PiS wytworzyła atmosferę nienawiści wobec kierowanego przez Jarosława Kaczyńskiego ugrupowania, co doprowadziło do zmiany władzy po wyborach parlamentarnych w 2023 roku. Było to możliwe w wyniku braku skuteczności organów ścigania – zarówno prokuratury, kontrolowanej przez Zbigniewa Ziobro, jak i służb specjalnych (i mundurowych – policji), nadzorowanych przez Mariusza Kamińskiego. W trwającym sześć lat śledztwie (ostatecznie umorzonym w styczniu 2024 roku, po przejęciu kontroli nad prokuraturą przez Adama Bodnara, ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego) dotyczącym działalności Soku z Buraka, nie przesłuchano występujących w materiałach postępowania kluczowych świadków, w tym czołowych polityków PO, i pominięto istotne wątki sprawy. Z kolei w przypadku innych hejterskich profili i kont atakujących fałszywymi treściami rząd PiS odmawiano wszczęcia śledztwa lub jeśli już rozpoczynano postępowania, bardzo szybko były one umarzane. Jak to możliwe, że w czasie „reżimu PiS", oskarżonego o ręczne sterowanie organami ścigania, hejtarzy sprzyjający lub wprost związani z PO, atakujący rząd PiS fałszywymi treściami, pozostawali bezkarni?

Kierownictwo PO na talerzu śledczych

Założony w 2014 roku przez Mariusza Kozaka-Zagozdę profil Sok z Buraka to symbol machiny hejterskiej PO. To właśnie tam publikowano fałszywe treści uderzające w polityków Prawa i Sprawiedliwości. W 2018 roku Sok z Buraka wydatnie wspierał w samorządowej kampanii wyborczej walczącego o fotel prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego. Publikowane tam treści miały zdyskredytować jego kontrkandydata z PiS – Patryka Jakiego, obecnego europosła. Sok z Buraka atakował nie tylko samego polityka, lecz także jego rodzinę. W efekcie o sprawie powiadomił on prokuraturę. Śledztwo wszczęto jeszcze w 2018 roku. Ustalono, że za hejterskim profilem stoi Kozak-Zagozda. Śledczy uzyskali dostęp do jego poczty elektronicznej, zabezpieczając kilkadziesiąt tysięcy wiadomości, z czego ponad 400 zostało uznanych za dowody w sprawie. Łączyły one twórcę z Soku z Buraka z Platformą Obywatelską. O jego związkach z tym ugrupowaniem opowiedziała też śledczym była działaczka PO Aleksandra W. Zeznała, że Kozak-Zagozda spotkał się z ówczesnym szefem PO Grzegorzem Schetyną, a także posiadał relacje z innymi politykami tej partii – Piotrem Borysem i Mariuszem Witczakiem. Powiedziała, że o współpracy hejtera z PO rozmawiała też ze Sławomirem Neumannem, szefem klubu parlamentarnego partii. Z protokołu jej przesłuchania wynika, że o kontakt z Kozakiem-Zagozdą prosił ją m.in. Cezary Tomczyk, obecny wiceminister obrony narodowej, w 2018 roku szef sztabu wyborczego Trzaskowskiego, kandydującego na stanowisko prezydenta stolicy. „Czarek skontaktował się ze mną w celu skontaktowania się z Sokiem z Buraka. Nie wiedzieli, kto stoi za sokiem. Wiedzieli tylko, że Sok oznacza sukces. Ja skontaktowałam Mariusza z Czarkiem. Wiem, że Mariusz prowadził kampanię Rafała Trzaskowskiego w sieci. Nie wiem, jaka łączyła ich umowa" – zeznała W.

Umowy z PO i korespondencja z Giertychem

Śledczy ustalili, że Kozak-Zagozda na początku 2018 roku rozpoczął formalnie współpracę z PO. Od lutego 2018 do października 2019 roku pracował formalnie dla Klubu Parlamentarnego PO, jednocześnie w okresie sierpień–listopad 2018 roku oraz sierpień –październik 2019 roku pracował też na rzecz Komitetu Wyborczego KO. Zagozda, realizując zlecenia dla PO, pracował też m.in. dla Fundacji im. Roberta Schumana (marzec–maj 2019 roku). Śledczy ustalili również, że Kozak-Zagozda w marcu 2018 roku podpisał umowę zlecenie, a w kwietniu 2018 roku umowę o pracę ze spółką Towarzystwo Budownictwa Społecznego Warszawa-Południe, nadzorowaną przez ówczesną prezydent Stolicy Hannę Gronkiewicz-Waltz. Rafał Trzaskowski został prezydentem Warszawy pod koniec listopada 2018 roku. Zagozdę zatrudniono w ratuszu pół roku później – w kwietniu 2019 roku, jednocześnie realizując cały czas zlecenia dla PO. Ostatecznie hejter odszedł z pracy dla stołecznego ratusza 1 czerwca 2021 roku.

eprasa.pl aa16717a60

W materiałach śledztwa znajduje się też korespondencja Kozaka-Zagozdy z Romanem Giertychem. W 2020 roku jej fragmenty ujawniło TVP Info. Z korespondencji wynikało, że prawnik wspiera twórcę Soku z Buraka i ma wpływ na publikowane tam treści. Podejrzewano, że Giertych płaci Kozakowi-Zagozdzie, a pieniądze przekazuje przez pośrednika – swojego zaufanego człowieka Sebastiana Jarguta. Twórca Soku z Buraka usłyszał w śledztwie zarzuty zakłócania przebiegu wyborów samorządowych oraz pomówienia Patryka Jakiego. „[…] przy czym działania te miały sprawiać wrażenie spontanicznego wyrażania poglądów o kandydowaniu w/w na urząd Prezydenta Miasta Warszawy w wyborach samorządowych 2018 roku, podczas gdy rzeczywiście stanowiły zaplanowaną i skoordynowaną akcję w mediach społecznościowych" – wynika z treści zarzutu. Ostatecznie po blisko sześciu latach od rozpoczęcia postępowania – 17 stycznia 2024 roku Prokuratura Okręgowa w Warszawie umorzyła śledztwo w tej sprawie. Powód? Brak znamion czynu zabronionego. Decyzja w tej sprawie zapadła pięć dni po bezprawnym – zdaniem Sądu Najwyższego – odwołaniu ze stanowiska prokuratora krajowego Dariusza Barskiego i przejęciu kontroli nad prokuraturą przez Adama Bodnara, ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego.

Prokuratura za PiS chroniła kierownictwo PO?

Umorzenie śledztwa w sprawie Soku z Buraka wywołało wiele wątpliwości. Problem jednak w tym, że ze zgromadzonych materiałów wynika, iż prokuratura (za rządów PiS) przez sześć lat nie wykonała niezbędnych, wręcz elementarnych czynności. Nie tylko nie przesłuchała istotnych świadków, w tym najważniejszych polityków PO, których nazwiska pojawiały się w postępowaniu, lecz także zaniechała badania kluczowych wątków wskazujących na rolę i decyzyjność przedstawicieli tego ugrupowania w machinie hejtu. Aleksandra W. podczas przesłuchania wskazała nazwiska konkretnych polityków PO mających kontakt z Kozakiem-Zagozdą. Jedynym przesłuchanym (przez blisko sześć lat) przedstawicielem tego ugrupowania był obecny poseł Piotr Borys, o którego związkach z twórcą Soku z Buraka W. wprawdzie mówiła śledczym, ale bardzo ogólnie. Nie przesłuchano – mimo wniosków ze strony pełnomocnika Patryka Jakiego – tych, którzy mieli odgrywać w tych relacjach kluczową rolę. Wśród nich: Sławomira Neumanna, Mariusza Witczaka, Grzegorza Schetyny czy Cezarego Tomczyka. Na przesłuchanie nie wezwano też Romana Giertycha. Zeznania złożył tylko jego zaufany człowiek, Sebastian Jargut. Powiedział on śledczym, że Kozak-Zagozda był klientem kancelarii Giertycha, a on miał z nim kontakty tylko służbowe. Zeznał, że nie pamięta, aby twórcy Soku z Buraka dostarczał jakiekolwiek pieniądze lub przekazywał paczki. Wątek ten nie został jednak zweryfikowany.

Nielegalne finansowanie? Prokuratury to nie interesowało

Mimo zgromadzenia obszernego materiału dowodowego wskazującego, że Kozak-Zagozda prowadzi hejterski profil na zlecenie i w interesie Platformy Obywatelskiej, nie zbadano, czy wspieranie przez Sok z Buraka kampanii Trzaskowskiego w 2018 roku na stanowisko prezydenta Warszawy, a potem w 2020 roku na prezydenta RP było legalne. Nie prześwietlono okoliczności zatrudnienia Kozaka-Zagozdy, a potem pracy w warszawskim ratuszu, już kierowanym przez Trzaskowskiego. Przesłuchany został m.in. Konrad Niklewicz, zaufany człowiek Rafała Trzaskowskiego, który w 2018 roku brał aktywny udział w kampanii wiceszefa PO przed wyborami prezydenta Warszawy. Obecnie jest on członkiem zarządu kluczowej spółki podległej warszawskiemu ratuszowi – Tramwajów Warszawskich. Zeznał on, że Zagozdę poznał w 2020 roku, gdy jako pracownik stołecznego ratusza był przełożonym twórcy Soku z Buraka. Powiedział śledczym, że hejter informował go, jakie tematy w mediach społecznościowych są szczególnie popularne, oraz doradzał, w jaki sposób można usprawnić dotarcie tym kanałem do mieszkańców stolicy. Prokuratura nie drążyła tematu kampanii z 2018 roku. Nie przesłuchano ani innych członków sztabu, w tym wspomnianego już Cezarego Tomczyka, ani samego Trzaskowskiego, który publicznie przekonywał, że twórca Soku z Buraka to specjalista od mediów społecznościowych. „W kwietniu [2019 r.] w ratuszu została zatrudniona osoba, która ma jedne z lepszych kwalifikacji na rynku, by zarządzać profilami w internecie. W ramach 6-miesięcznego kontraktu dokonuje audytu naszych stron internetowych, ich rozpoznawalności i pomaga w rozbudowie zasięgu […] Teraz próbuje się sugerować, że wpływaliśmy na to, co ta osoba robi w czasie wolnym od pracy. Bzdura. Zresztą o tym, że ten pracownik jest zatrudniony na stanowisku pomocniczym, dowiedziałem się dopiero wtedy, gdy pojawiły się pytania o portal [Sok z Buraka]" – tłumaczył Trzaskowski w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej".

Jak pominięto kluczowe, hejterskie wątki

Prokuratura nie zainteresowała się też hejterską działalnością Soku z Buraka już po odejściu Kozaka-Zagozdy z prowadzenia hejterskiego profilu, a to wła-

eprasa.pl aa16717a60

śnie wtedy w latach 2021–2023 działalność tej machiny hejtu wymierzonej w PiS zaczęła się rozkręcać. Publikowane treści były zmanipulowane lub wprost nieprawdziwe. Ta kłamliwa narracja trafiała jednak do milionów użytkowników, budując atmosferę nienawiści wobec PiS. Ostatecznie odegrała ona istotną rolę w wyborach parlamentarnych w 2023 roku, dających władzę w Polsce Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drodze i Lewicy. Zresztą aktywny udział w budowaniu hejtu wobec ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego brała m.in. Fundacja „Otwarty Dialog", kierowana przez Ludmiłę Kozlovską (prezesa) i jej męża Bartosza Kramka (szefa rady fundacji). Obydwoje – za rządów PiS – byli rozpracowywani przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Kozlovska miała zakaz wjazdu do Polski, a Kramek był podejrzany o pranie brudnych pieniędzy. Problemy małżeństwa – zdjęcie zakazu i umorzenie śledztwa – zniknęły po objęciu 13 grudnia 2023 roku władzy w Polsce przez rząd Donalda Tuska. Fundacja „Otwarty Dialog" przez kilka miesięcy, w 2021 roku, zarządzała profilem Sok z Buraka. Wątek ten zupełnie nie interesował śledczych badających działalność tej machiny hejtu.

Od organizacji Kozlovskiej i Kramka prowadzenie Soku z Buraka przejęła spółka Mediana SA, którą kontrolował Szymon Gawryszczak. W radzie nadzorczej tego podmiotu zasiadał biznesmen Andrzej Moebus, prywatnie kolega z piłkarskiego boiska Donalda Tuska. Po przejęciu władzy przez uśmiechniętą koalicję obydwaj mogli liczyć na wymierne profity. Gawryszczak został wiceprezesem państwowego Totalizatora Sportowego, nadzorowanego przez swojego wieloletniego kolegę Roberta Kropiwnickiego, wiceministra aktywów państwowych. Wówczas zlecenia z tej firmy zaczął otrzymać Grzegorz Kopania, znany w internecie jako hejter Pablo Morales, którego wpisy atakujące PiS były kolportowane przez Sok z Buraka. Z kolei Moebus otrzymał intratny państwowy kontrakt m.in. na organizację pikniku z okazji obchodów 1000-lecia koronacji Bolesława Chrobrego. Wątek spółki Mediana i działalność w tym czasie Soku z Buraka również nie zostały zbadane przez śledczych prowadzących śledztwo w sprawie hejterskiego profilu.

▶ Medialne ramię Giertycha

Za rządów PiS – poza Sokiem z Buraka – zaczęły działać też inne grupy internetowych trolli trudniące się hejtem, mającym budować wokół ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego atmosferę nienawiści. Ta najbardziej znana – Sieć na Wybory – jest związana z Romanem Giertychem. W połowie października 2020 roku został on zatrzymany przez agentów CBA w związku z udziałem w aferze Polnordu. Prawnik jednak zemdlał podczas czynności. Potem przekonywał, że zarzuty nie zostały mu skutecznie przedstawione. Sąd odmówił aresztowania Giertycha, a prawnik wyjechał za granicę. W efekcie śledczy badający aferę Polnordu (miał w śledztwie status podejrzanego o udział w wielomilionowych nadużyciach finansowych) nie mogli wykonać z nim żadnych czynności. Po objęciu władzy w Polsce przez rząd Tuska śledztwo przeciwko prawnikowi, który w jesiennych wyborach uzyskał mandat posła z listy KO, zostało umorzone.

Z Giertychem od wielu lat jest kojarzona grupa związana z Janem Pińskim, prywatnie przyjacielem adwokata. To medialne ramię adwokata, które poprzez szereg kont na platformach X i Facebooku, a także kanał na YT oraz portal wiesci24.pl (wcześniej m.in. sluzbyspecjalne.pl) atakuje polityków PiS, jednocześnie chwaląc działania Giertycha i niektórych polityków PO. Z Pińskim współpracuje m.in. Tomasz Sz. Przed warszawskimi sądami toczą się dwa jego procesy. W jednym jest oskarżony o powoływanie się na wpływy, w drugim o składanie fałszywych zeznań. Z kolei w Prokuraturze Regionalnej w Lublinie trwa śledztwo, w którym na Sz. ciążą zarzuty m.in. wyłudzeń podatku VAT.

Mimo tworzenia zmanipulowanych lub wprost nieprawdziwych treści – za rządów PiS – działalność hejterska Pińskiego i jego grupy pozostawała bezkarna. Przykład? 6 października 2020 roku Prokuratura Rejonowa Warszawa-Śródmieście umorzyła postępowanie w sprawie publikacji w latach 2019–2020 na portalu wiesci24.pl zniesławiających i narażających na utratę zaufania potrzebnego do wykonywania zawodu dziennikarza (art. 212 KK) m.in. Tomasza Sakiewicza, prezesa Telewizji Republika i redaktora naczelnego „Gazety Polskiej", oraz Cezarego Gmyza, dziennikarza śledczego. W tym czasie portal nie miał jeszcze stopki redakcyjnej i oficjalnie nie było wiadomo, kto stoi za hejterskimi treściami. Prokuratura tego nie ustaliła. Umorzyła śledztwo, bo – jak wynika z uzasadnienia – wprawdzie zachodziło prawdopodobieństwo popełnienia czynu z art. 212, ale jest on ścigany z oskarżenia prywatnego. Jednak śledczy nie znaleźli interesu społecznego, aby prowadzić w tej sprawie postępowanie. – Stwierdzam to ze smutkiem, ale w czasie rządów PiS niestety uchowała się cała masa prokuratorów, którzy sabotowali śledztwa, w tym postępowania dotyczące fabryk hejtu, takich jak Sok z Buraka czy fabryki trolli Romana Giertycha – mówi Cezary Gmyz. – Jest to tym dziwniejsze, że w toku tych postępowań zdobyto jednoznaczne dowody świadczące o tym, że za tymi odrażającymi treściami stoją czołowi politycy Platformy Obywatelskiej bądź ludzie z nią związani – podkreśla. ■

eprasa.pl aa16717a60



Małgorzata Matuszak

Czym jest... tajemnica

Tajemnica jest tym, co ukryte, nieznane i niedające się poznać. W przeciwieństwie do zagadki, którą można odkryć i rozwiązać, tajemnica jest tym, co powinno nią pozostać. Jeśli ktoś mówi coś komuś w tajemnicy, to ów sposób powierzenia tego, co wypowiedziane, łączy te dwie osoby – jest tajemnicą dla świata poza tym dwojgiem ludzi, nie powinien więc wyjść na jaw, ale pozostać w ukryciu.

Istnieje jednak również inne rozumienie tajemnicy poza tym, co ma pozostać ukryte czasowo i dla pewnych ludzi. Jest nim poczucie tajemnicy, która towarzyszy człowiekowi od zawsze. Ono może inspirować, może nie dawać spokoju, może być celem ludzkich dociekań myślowych – czy to na polu filozofii, czy na polu nauki. Taka tajemnica jest tajemnicą odwieczną, niedającą się nigdy poznać i oswoić, wiecznie niepokojącą człowieka, który woli przecież raczej pewność od niepewności i wiedzę od niewiedzy. Dlatego tajemnica uczy człowieka mierzyć się z tym, co jest wbrew jego pragnieniom poznania. Uczy go wykraczać poza siebie na rzecz prawdy, prawdziwe poznanie zakłada bowiem również to, że wiemy o tym, co jest dla nas tajemnicą.

Tajemnica odmawia nam zatem w pewien sposób poznania i chce pozostać tym, czym jest – właśnie tajemnicą. Może tu chodzić o tajemnicę sensu naszego istnienia, może też o tajemnicę tego, jakim jest świat naprawdę, niezależnie od naszego, uwarunkowanego ludzkimi władzami poznawczymi i ludzkim umysłem, oglądem rzeczywistości. Tajemnicą może być również drugi człowiek, gdyż nie jesteśmy kimś drugim i możemy kogoś innego rozumieć tylko w pewnym zakresie i stopniu. Tajemnicą może też być dla nas nasza przyszłość, gdyż musimy przystać na to, że wiemy, co nam przyniesie. Tajemnicą jest wreszcie – i pozostanie – Bóg. Mimo objawień i wiedzy, którą posiadamy, zadajemy sobie sprawę, że wiemy o Nim tak naprawdę niewiele, co jest również wyrazem świadomości naszej ograniczoności w poznawaniu Boga i pełnego Jego zrozumienia.

Tajemnica wytycza zawsze człowiekowi i ludzkiemu rozumowi granicę, odmawiając mu pójścia dalej. Jest więc związana z ograniczonością ludzkiej natury. Mówi nam, że gdzieś się kończymy i nie możemy pójść dalej w poznaniu. Kończymy się, gdyż jesteśmy ograniczeni zarówno do „tu i teraz", jak i do własnego ciała. Kończymy się, gdyż nie możemy być wszystkim, bo jesteśmy tylko sobą. Kończymy się też w drugim człowieku, który pozostaje dla nas tajemnicą. I może dla siebie samych też jesteśmy w pewnym stopniu tajemnicą, gdyż któż z ludzi w pełni poznał siebie i rozumiał w pełni swoje zamiary we wszystkich sytuacjach życiowych?

Tajemnica wyznacza dla nas obszar nieznanego, czy to chwilowo, czy na zawsze. Jest tym, co niepoznane, a to, co niepoznane, może przecież być takim na razie tylko, bo nie wiemy jeszcze, jak je poznać, albo niepoznanym, bo niepoznawalnym, tajemnicą sensu stricte, na zawsze zakrytą, granicą ludzkiego rozumu. Tajemnica istnieje dlatego, że obszar istnienia jest większy i nie pokrywa się z obszarem poznania, że poza tym, co poznane, istnieje zawsze „coś więcej". Tajemnica istnieje również dlatego, że obszar możliwych pytań, które stawia i może postawić człowiek, jest większy niż obszar możliwych odpowiedzi na te pytania. Tajemnica nie jest więc tylko czystą negatywnością poznania, uznaniem, że dla ludzkiego rozumu nie ma już nic więcej do poznania, ale oznacza raczej, że człowiek wie, iż nie może poznać wszystkiego, co istnieje, i nie jest w stanie odpowiedzieć na wszystkie pytania, które zadaje rozum. Tajemnica ma więc wymiar pozytywny – jest tym, o czym rozum wie, że nie może tego poznać z natury samej rzeczy, a nie przez tylko chwilową jego słabość. Takie tajemnice jednakże inspirują ludzkie poznanie i nadają rozumowi walor pokory i samoświadomości, gdyż wiedzieć, czego się nie wie, jak uczył już Sokrates, i wiedzieć, że się nie wie, jest synonimem pewnej oświeconej mądrości. Tajemnica sprawia, że o tę granicę rozumu jesteśmy mądrzejsi. ■

> TAJEMNICA ISTNIEJE M.IN. DLATEGO, ŻE OBSZAR MOŻLIWYCH PYTAŃ, KTÓRE STAWIA I MOŻE POSTAWIĆ CZŁOWIEK, JEST WIĘKSZY NIŻ OBSZAR MOŻLIWYCH ODPOWIEDZI NA TE PYTANIA.

eprasa.pl aa16717a60



gen. Andrzej Kowalski

Powyborcza destrukcja służb specjalnych?

Jeżeli wykruszy się pierwszy kamień z muru tajemnicy chroniącego służby, to wiele znajdzie się osób, które zniszczą tę zasłonę doszczętnie. Wina jest zawsze po stronie polityków, którzy używają służb jako oręża w walce politycznej. Najgorsze jest jednak to, że rządowi Donalda Tuska udało się to w kilkanaście miesięcy.

eprasa.pl aa16717a60

Wyborczy kurz opadł, więc przyjrzyjmy się, czego dowiedzieliśmy się o polskich służbach specjalnych w ciągu ostatniego półrocza. Zacząć należy od tego, że 28 stycznia 2025 roku ministrowie spraw wewnętrznych i cyfryzacji anonsowali „program ochrony wyborów przed cyberzagrożeniami i dezinformacją". Minister Gawkowski mówił: „Bezpieczeństwo wyborów to ponadpolityczny wspólny cel". W ramach ochrony wyborów Ministerstwo Cyfryzacji oraz NASK (Naukowa i Akademicka Sieć Komputerowa) „mają wykrywać i przeciwdziałać dezinformacji wyborczej". Wdrożono program monitoringu mediów społecznościowych, a także weryfikację treści publikowanych w internecie. Działania te miały zapobiec szerzeniu niesprawdzonych informacji, które mogły wpłynąć na wynik wyborów i destabilizować społeczne zaufanie do procesu wyborczego. Wśród szczegółowych zadań znajdowało się także m.in.: wykrywanie dezinformacji wyborczej i mapowanie finansowania. Natomiast ABW miało zapewnić szkolenie „z zakresu technik socjotechnicznych, które mogą być wykorzystywane przez obce służby w celu zakłócenia procesu wyborczego". Analiza przedstawionych planów działania służb prowadzi nas do dwóch wniosków. Służby posiadały personel i zdolności sprzętowe, którymi mogły podołać nałożonym na nie zadaniom, gdyż to one pisały ministrom, co powinno znaleźć się w planie działania. Jednocześnie mogły zostać wykorzystane, w ramach zakreślonego zakresu kompetencji, do monitorowania wszystkich niezbędnych indykatorów ujawniających faktyczny wymiar wyborczej walki w nowoczesnych środkach komunikacji. Każdy proces monitorowania zagrożeń daje wiedzę o zachodzących procesach, ich wektorach, nasileniu, perspektywach rozwoju dynamiki zmian. Można sobie wyobrazić taki scenariusz, że pod „parasolem wyborczym" mogło dojść do wykorzystania struktur i narzędzi ministerialnych (w tym służb specjalnych) do pozyskiwania cennych danych o aktywności kontrkandydatów w internecie. Można skwitować, że po części takie jest wilcze prawo władzy, niemniej – kto w Polsce kontroluje kontrolujących? Przecież nie Państwowa Komisja Wyborcza, która nie ma żadnego zaplecza, żadnych narzędzi, a czasem nie ma nawet wyobraźni, co należałoby skontrolować. Nie twierdzę, że doszło do takich nadużyć, ale gdy niedźwiedź wie, gdzie leży miód, to czy po niego nie pójdzie? Kto teraz może to sprawdzić? Po wyborach nikt o to nie spyta!

Dopuszczenie do tajemnic państwa

Postępowanie sprawdzające, prowadzone przez służby specjalne, zostało opisane w ustawie z dnia 5 sierpnia 2010 roku o ochronie informacji niejawnych. Każdy urzędnik państwowy, który będzie zatrudniony na stanowisku wiążącym się z dostępem do materiałów niejawnych, musi przejść takie postępowanie. Warto to podkreślić, bo bardzo często o tym się zapomina: państwo wybiera tych pracowników, to nie oni samodzielnie wymyślają, że przejdą takie postępowanie. W świetle tej oczywistej prawdy twierdzenie użyte w portalu onet.pl: „Karol Nawrocki, jako prezes IPN, chciał mieć dostęp do informacji z klauzulą »ściśle tajne«" – jest bardzo tendencyjne, wręcz kłamliwe. Postępowanie sprawdzające, w pewnym sensie, jest bardzo trudną sytuacją dla obu stron. Pracownik musi zgodzić się na wypełnienie 25-stronicowej ankiety, do której należy dołączyć dużo różnych dokumentów i wyjaśnić najprzeróżniejsze wątpliwości. Odkrywa przed urzędem wszystkie aspekty swojego życia, od spraw rodzinnych (na przykład choroba psychiczna rodzica), poprzez przynależność do różnych organizacji, aż po kwestie majątkowe. Służby natomiast mocą ustawy są zobowiązane do najdalej posuniętej dyskrecji, gwarantując obywatelowi, że żadna z udzielonych przez niego informacji, wszystko, co zgromadzono w jego teczce, nigdy nie ujrzy światła dziennego, z wyjątkiem określonych w ustawie przypadków, ale nie jest tym przypadkiem udział w wyborach prezydenckich. Jakakolwiek wyrwa w tym systemie, na przykład wyciek informacji z tego zbioru, jest penalizowana.

Dziennikarskie schadzki

W czasie kampanii wyborczej pojawiła się informacja o nieruchomości przy warszawskiej ulicy Kieleckiej. Jest to podobno budynek hotelowy, w którym mieszkają funkcjonariusze ABW i często pojawiają się tam różni goście, w tym dziennikarze. Wskazanie tych okoliczności miało szokujący kontekst, mianowicie chodziło o podejrzenie, że tą drogą przekazywane są dziennikarzom informacje do publikacji przeciwko niektórym kandydatom na prezydenta RP. 5 maja 2025 roku na stronie ABW pojawiło się oświadczenie złożone przez szefa Agencji płk. R. Syrysko: „Oświadczam że – wbrew powielanym insynuacjom – ABW na żadnym etapie i w żadnej formie nie angażowała się i nie angażuje w przebieg kampanii wyborczej po stronie bądź przeciw któremukolwiek z kandydatów. Informacje te narażają na szwank dobre imię służby oraz funkcjonariuszy Agencji, w związku z czym planuję podjęcie stosownych kroków prawnych". Szkopuł w tym, że treść oświadczenia w żaden sposób nie wypełnia szerokiej palety możliwości, na przykład nie wyklucza, że przecieki mogły być nie efektem zaangażowania

fot. Filip Błażejowski/Gazeta Polska

eprasa.pl aa16717a60

ABW, ale pojedynczych funkcjonariuszy. Jest to smutne spostrzeżenie, ale nie można go wykluczyć, po publicznie wyrażanych opiniach, że K. Nawrocki rozpoznał jeden z dokumentów używanych w kampanii przeciwko niemu, został przez niego złożony do ABW w czasie postępowania sprawdzającego.

Niestety pojawiły się informacje, że ABW dodatkowo rozpoczęła procedurę badania informacji, które w czasie kampanii pojawiły się na temat K. Nawrockiego. Głównie chodziło o kontakty ze światem przestępczym, a przecież K. Nawrocki nawet napisał na ten temat książkę, pokazując szerokiej publiczności szemrany świat trójmiejskiej mafii. Skąd więc groźba wszczęcia postępowania kontrolnego, czyli dogłębnego sprawdzenia, czy daje rękojmię zachowania informacji niejawnych? Zaczęto snuć domysły, że kandydat zataił niektóre ze swoich kontaktów ze środowiskiem przestępczym w zakończonych już postępowaniach sprawdzających. Posunięto się nawet do tego, żeby poprzez dziennikarzy suflować pogląd, jakoby K. Nawrocki uzyskał poświadczenie ze względów politycznych, gdyż prowadzący postępowanie funkcjonariusz z gdańskiej delegatury ABW rekomendował niewydanie poświadczenia. Niestety zarówno dla władzy, jak i opinii publicznej jest to tylko splot różnorodnych sugestii, snutych przez dziennikarzy związanych z władzą. Oświadczenie byłego szefa ABW, K. Wacławka rozbiło tę grubymi nićmi szytą aferę, gdyż poświadczenie było wykonane i wydane przez centralę ABW w Warszawie, nie był w to zaangażowany funkcjonariusz z Gdańska, a wszystkie postępowania sprawdzające z lat 2015 –2023 były poddane audytowi wykonanemu już przez obecną władzę i nikt nie znalazł żadnych nieprawidłowości w interesującej nas sprawie. Najwyraźniej wydarzenia polityczne spowodowały „odświeżenie pamięci" i „wyostrzenie wzroku" wśród niektórych funkcjonariuszy, zwłaszcza medialnych.

Cyberbezpieczeństwo wyborów w praktyce

Kampania wyborcza w internecie została zdynamizowana poprzez pojawienie się spotów, filmików, ogłoszeń, które miały niejasne źródła finansowania i docierały do milionów odbiorców. Ośrodek Analiz Dezinformacji NASK 14 maja 2025 roku przekazał opinii publicznej komunikat, którego fragment należy włożyć w każdą prezentację szkoleniową o dezinformacji: „Działania miały pozornie wspierać jednego z kandydatów i dyskredytować innych. […] Analiza wskazuje na możliwą prowokację. Jej celem mogło być działanie na szkodę kandydata rzekomo wspieranego przez tego typu reklamy oraz destabilizacja sytuacji przed wyborami prezydenckimi". Materiały dostępne w internecie ewidentnie zostały wypuszczone w celu wspierania R. Trzaskowskiego i miały szkodzić K. Nawrockiemu i S. Mentzenowi. Pozbawienie owego oświadczenia jakichkolwiek faktów wzmacnia krytyczna ocenę jego redaktorów i ich intencji. Dopiero po kilku dniach dowiedzieliśmy się, że działania NASK były bardzo opieszałe, a dodatkowo uzyskaliśmy informację, że ABW także zostało poinformowane o tym „zagrożeniu". Była próba wmówienia opinii publicznej, że zaangażowane były podmioty rosyjskie oraz że META (właściciel Facebooka) zablokowała reklamy. Nic z tych rzeczy. Nawet na dzień przed wyborami na YouTube wyświetlały się bardzo agresywne spoty wyborcze, których pochodzenie świadczyło o finansowaniu kampanii jednego z kandydatów z pieniędzy niepochodzących od komitetu wyborczego. O całym tym procederze NASK wiedział, wiedziało ABW, podmioty, jak czytaliśmy powyżej, które były odpowiedzialne za cyberbezpieczeństwo wyborów i w jakiś zadziwiający sposób żadna reakcja nie nastąpiła. Można się zastanawiać, co kryło się pod szumnie sformułowanymi zadaniami? Czy cyberbezpieczeństwo to tylko uniemożliwienie ataku na serwery? Prawdopodobnie tak to było interpretowane i jeżeli kiedykolwiek jakaś prokuratura lub komisja sejmowa ustaliły, że w tak zawężający sposób potraktowano zadania ABW, to będzie to kolejny argument za koniecznością przebudowania systemu bezpieczeństwa RP.

Rozchwianie systemu

Powyżej opisane przypadki wzbogacają doświadczenia z wyborów 2023 roku. Wtedy także miały miejsce zadziwiające działania w internecie. Żadne służby nie podjęły najmniejszego wysiłku, aby podpowiedzieć politykom konieczny kierunek zmian w prawie wyborczym lub zrobiły to w sposób nieskuteczny. Nie stworzono specjalistycznych i efektywnych komórek obserwujących kampanię internetową. Jakby nikt w służbach nie rozumiał, jak potężnym orężem w rękach podmiotów zagranicznych może być polski internet z dziurawym prawem, które w żaden sposób nie zabezpiecza procesu demokratycznych wyborów. Od co najmniej kilkunastu lat obserwowane są na świecie najprzeróżniejsze kłopoty z upilnowaniem zasad gry fair w czasie kampanii wyborczych, najbardziej drastyczne ataki na system demokratyczny nastąpiły w USA i nie wyciągnęliśmy z tego żadnych wniosków. Czyżby klasa polityczna nie zdała tak ważnego egzaminu? Czyżby służby specjalne,

eprasa.pl aa16717a60

stworzone do ochrony porządku konstytucyjnego w RP, wiedząc o zagrożeniach, nie przeciwstawiły się im? To nie jest kwestia, którą można zapomnieć dzień po wyborach. Albo jesteśmy pewni, że kontrolujemy właściwy przebieg procesu wyborczego i nikt nam w tym nie przeszkadza, albo godzimy się na to, że ktoś nam w końcu podmieni państwo. Społeczeństwo zostanie tak zmanipulowane, że odda władzę wrogiemu polskiej racji stanu środowisku politycznemu. Dotykamy żywotnych interesów naszej ojczyzny!

Dalekosiężne konsekwencje międzynarodowe

Przekaz obecnej administracji amerykańskiej do partii prawicowych w Europie brzmi mniej więcej: „Jak wygracie w walce wyborczej, to będziemy waszym najsilniejszym sojusznikiem i przy naszym boku będziecie się rozwijać i będziecie bezpieczni, ale to wy musicie wygrać w waszych wyborach". Polskie służby dyplomatyczne i zapewne wywiadowcze nie mogą uwierzyć, że Amerykanie chcą budować wspólnotę wartości z tymi, którzy o te wartości walczą. Dlatego służby amerykańskie patrząc na Polskę, nie mają złudzeń, która część klasy politycznej rokuje na dobrą współpracę. Jestem przekonany, że raport, który z Ambasady Amerykańskiej w Warszawie wyszedł po wizycie Kristi Noem (sekretarz ds. bezpieczeństwa krajowego USA), odnotował, że CPAC (największa na świecie konferencja środowisk prawicowych) nie został przez główne media zauważony oraz że polski minister spraw wewnętrznych koniecznie chciał sobie zrobić zdjęcie z K. Noem. Na stronie DHS (Department of Homeland Security) jest wpis o wizycie w Polsce, ale trudno tam znaleźć najmniejszą wzmiankę potwierdzającą przekaz T. Siemoniaka: „To potwierdziło, że nasze relacje ze Stanami Zjednoczonymi są świetne", gdyż możemy przeczytać jedynie o spotkaniu z prezydentem A. Dudą, a przecież na pewno nie to miał na myśli nasz minister spraw wewnętrznych. Prawdziwy pogląd na nasze wybory wyraziła w przemówieniu na CPAC K. Noem. Wprost padły słowa potwierdzające, jak daleko jest obecnie rządzącej partii do dobrych relacji z USA. I żaden T. Siemoniak, pędzący do Rzeszowa, żeby sobie zrobić zdjęcia, tego nie zaczaruje. Politycy amerykańscy wyrazili swoją opinię o nieprawidłowościach w naszej kampanii wyborczej i z doświadczenia mogę tylko powiedzieć, że wiedzą o tym, co dzieje się w Polsce dużo lepiej, niż się wydaje, zwłaszcza o niezabezpieczonym przez polskie służby procesie wyborczym.

Wzburzenie wewnętrzne i brak perspektyw

Powyżej opisane symptomy działań (informacje zgromadzone w postępowaniu sprawdzającym znalazły się w obiegu publicznym) i braku działań (nic nie wiemy o reakcji służb w związku z finansowaniem z zagranicy kampanii informacyjnej wspierającej jednego z kandydatów) prowadzą nas do refleksji nad komplikującą się sytuacją wewnętrzną służb. Nie trzeba mieć szczególnej wyobraźni, aby przypuszczać, że są tam osoby, które nie godzą się na uwikłanie, może nie służb jako struktur, lecz z pewnością pojedynczych osób w walkę polityczną. Takie napięcie zawsze, wcześniej czy później, prowadzi do bardzo negatywnego procederu: służby zaczynają być nieszczelne. Jeszcze chwila i politycy opozycji zaczną się coraz więcej dowiadywać o codzienności w służbach. Kto jest czyim kochankiem, kto nadużywa i czego, kto kogo informuje na mieście, jaki dziennikarz dla kogo co pisze, kto ma kumpla posła, jakie sprawy są na biegu. Jest to proces nieunikniony, gdyż tzw. doły mogą mieć wrażenie, że taki jest standard. Jeżeli wykruszy się pierwszy kamień z muru tajemnicy chroniącego służby, to wiele znajdzie się osób, które zniszczą tę zasłonę doszczętnie. Wina jest zawsze po stronie polityków, którzy używają służb jako oręża w walce politycznej. Najgorsze jest jednak to, że rządowi D. Tuska udało się to w kilkanaście miesięcy.

Jesteśmy w przededniu poważnych zawirowań geopolitycznych (bardzo poważnie należy traktować wypowiedź sekretarza obrony USA o nadchodzącym konflikcie z Chinami), a nasze służby specjalne są sparaliżowane patologiczną wolą polityków, którzy są w stanie poświęcić wszystko w bezwzględnej walce o władzę. Wystąpienie D. Tuska w jednej z komercyjnych telewizji na kilka dni przed wyborami przejdzie do historii. Premier, odpowiedzialny za służby specjalne, ogłosił, że nie działają one na zadowalającym poziomie. System bezpieczeństwa państwa w premiera rękach się rozsypał. Czyż rekomendacje państwowej komisji do spraw badania rosyjskich wpływów ogłoszone w listopadzie 2023 roku nie mówiły o takim zagrożeniu? Nasi sojusznicy to widzą. Nasi wrogowie także. Konieczna jest twarda walka o zabezpieczenie podstawowych interesów RP, ale jak to uczynić, dysponując służbami specjalnymi, o których ich najwyższy zwierzchnik ma bardzo krytyczną opinię? Tego jeszcze po 1990 roku w Polsce nie było. Czy R. Syrysko podejmie jakieś kroki w związku z ewidentnym uderzeniem w dobre imię ABW? Nie spodziewam się, a nawet gdyby, to jaka z tego pociecha? Proces destrukcji, który zaczął się od aresztowania księdza, powoli zamienia się w lawinę. ■

eprasa.pl aa16717a60

Sztuka zapominania, niemiecka specjalność

Ewa Polak-Pałkiewicz



Plac Zamkowy, rok 1945



„Po latach od upadku systemu hitlerowskiego, gdy prawie cała konkretna treść kłamstw tego systemu uległa zapomnieniu, trudno niekiedy oprzeć się wrażeniu, że zakłamanie stało się integralną częścią niemieckiego charakteru narodowego" – pisała w latach 60. ubiegłego wieku Hannah Arendt.

FOT. WIKIPEDIA

Alexandra Richie, autorka książki „Warszawa 1944. Tragiczne powstanie", przyjechała do Warszawy w połowie lat 80. ubiegłego wieku i zobaczyła coś, co ją bardzo zdziwiło. Stolicę kraju komunistycznego, w której życie nie zamarło – tak jak w Berlinie Wschodnim, który dobrze poznała, a który był miejscem ponurym i przygnębiającym. Tu życie kipiało: akademickie, kulturalne, polityczne – w podziemiu, ale i na ulicach. Wszędzie widoczne było ożywienie, a nawet coś w rodzaju radości w ludzkich oczach; w Polsce był akurat stan wojenny.

Zakłamanie – integralna część niemieckiego charakteru narodowego

Zobaczyła też, że tkanka urbanistyczna Warszawy jest porwana w strzępy; zawiera wyrwy o nieprawdopodobnych wręcz rozmiarach, nieporównywalnych ze zniszczeniami wojennymi stolic europejskich. Do zachowanych od przedwojnia kamienic i pałacyków sprzed 200 lat dosztukowano nieudolnie budynki o kształtach, które urągają klasycznej estetyce, pozbawione harmonii i proporcji, koślawe, obce. Stoją, jak gdyby naigrawając się z resztek zachowanego tu piękna. Patronuje im architektoniczny potwór zwany Pałacem Kultury. „Tu musiało istnieć inne miasto" – pomyślała Kanadyjka, nieźle zorientowana w historii ostatniej wojny, z racji udziału w niej rodziny (jest żoną syna prof. Władysława Bartoszewskiego). Ale co się z nim stało? Jakiż to straszliwy kataklizm tędy przeszedł – o którym milczy cała historia oficjalna?

Była nieźle zorientowana, a jednak całkowicie pozbawiona wiedzy o tym, czym była okupacja niemiecka w Polsce, czym były zbrodnie wojenne Hitlera. I że oprócz powstania w getcie warszawskim, na Zachodzie wspominanego często, było jeszcze inne powstanie, które trwało 63 dni i w którym walczyły tysiące młodych przeważnie ludzi.

„Wymordować dziesiątki tysięcy cywilów, wygnać pozostałych przy życiu, a potem palić i wysadzać w powietrze całe miasto. To był po prostu jakiś krwawy szał nie do przewidzenia, bo nie można przewidzieć takiego wybuchu czystego zła" – pisała młoda Kanadyjka, Brytyjka z pochodzenia. Po latach badań, studiów i dociekań, mogła już sformułować pierwsze wnioski. Podkreśla w swojej książce, że Zachód nie dysponuje żadną wiedzą o tym, jak wyglądała wojna na naszych ziemiach, znane są tu dosłownie ścinki informacji o prawdziwym przebiegu okupacji niemieckiej. Panuje ignorancja, jeśli chodzi o znajomość rozmiarów i bestialstwo zbrodni Hitlera, zamysł i przebieg unicestwienia Warszawy. Jest to tym dziwniejsze, że w 1939 roku stolica Polski była prawdziwą perłą Europy, miastem zwanym Paryżem Północy, gdzie każdy szczegół mówił o historii kraju i kulturze jego mieszkańców.

Alexandra Richie podkreśla, że to, co uczynili Niemcy, było czymś w historii niespotykanym. To nie była żadna akcja odwetowa, ale planowe barbarzyństwo. Wojna na Zachodzie wyglądała inaczej, była bardziej cywilizowana. Nie towarzyszył jej zbrodniczy szał, duch zemsty. I komuś bardzo zależało, żeby stolica Polski, ten symbol piękna i trwania cywilizacji chrześcijańskiej, po prostu przestała istnieć. Nie było ku temu żadnego uzasadnienia militarnego, istniało coś, co autorka określa mianem nienawiści i wstrętu Hitlera do Polaków. Uczucia „o podłożu rasowym", jak sama pisze. Nienawiścią objęto cywili, których mordowano dziesiątkami tysięcy. Richie nazywa to zbrodnią bez precedensu w historii. A mimo to wygumkowano ją z oficjalnej wersji historii ostatniej wojny, jak usuwa się ze szpalt gazety niewygodny artykuł. Tak działa polityczna cenzura.

Pytanie, dlaczego ta tragedia jest nieobecna w podręcznikach szkolnych, w opracowaniach naukowych, nieznana z żadnego powstałego na Zachodzie filmu, wymaga namysłu.

Polska i Warszawa, które istniały przed wojną, z jej dorobkiem, kulturą, z całą jej tradycją rycerską, i „przyciężkim złomem zasad", jak mówił Wańkowicz, miały nigdy już nie ujrzeć światła dziennego. „Po latach od upadku systemu hitlerowskiego, gdy prawie cała konkretna treść kłamstw tego systemu uległa zapomnieniu, trudno niekiedy oprzeć się wrażeniu, że zakłamanie stało się integralną częścią niemieckiego charakteru narodowego" – pisała w latach 60. ubiegłego wieku Hannah Arendt.

„Dobra" niemiecka wojna

Patrząc na przebieg wydarzeń w Polsce, w ciągu ostatnich miesięcy, trudno oprzeć się przekonaniu, że Niemcy, nasi sąsiedzi, są jednym z najdziwniejszych zjawisk w historii Europy, a może i świata. Dobrze zdać sobie z tego sprawę; nie traktować ich tak, jakby byli podobni do innych. Przykładem najlepszym, najbardziej przekonującym i okazałym, można by rzec, jest sam Donald Tusk, ekstrakt niemieckości w rodzimym opakowaniu. Zderzenie z tym zjawiskiem było leitmotivem epoki politycznej, począwszy od początków XXI wielu, łącznie z zakończoną właśnie kampanią prezydencką.

Wielu polskich myślicieli mówiło o odrębnym charakterze narodowym Niemców, nawiązując do

eprasa.pl aa16717a60

kultu siły, żądzy podboju, które zawsze ich jednoczyły. Pomijano jednak najważniejsze. To nie sam charakter, kultura czy mentalność. Gdy Gilbert K. Chesterton charakteryzuje współczesnych Niemców, zaczyna od definicji „dobrej wojny" F. Nietschzego, „Powiadacie, iż słuszna sprawa uświęca nawet wojnę? Ja wam mówię: dobra wojna uświęca każdą sprawę". Stanowi to wciąż niezmiennie dewizę Prus i prusactwa.

Niemcy są w istocie oderwani od rzeczywistości. Przejawiali i nadal przejawiają skłonność do tworzenia mitów i wiary w nie. Gdy jakieś społeczeństwo lży i beszta inne narody – nie dlatego, że wyrządzają innym krzywdę – przyznaje się, że tak naprawdę ich nie rozumie. Lekceważymy, wyśmiewamy się z tego, kogo nie znamy, przypomina G. Chesterton. Tak przejawia się plemienność.

Zawsze zastanawiało mnie, jak szybko niektóre media chcąc opisać sytuację polityczną w Polsce, podchwyciły slogan o tym, że w Polsce egzystują „dwa plemiona", które nienawidzą się i zaciekle się zwalczają. Brzmi to zgrabnie, ale jest fałszem. Ktoś kto wymyślił „dwa plemiona" w Polsce, był nie tylko zazdrośnikiem; wstydził się w głębi duszy własnej historii i chciał, by inni także się wstydzili. Niszczenie instytucji kultury przez obecny resort kultury, ugodzenie w Instytut Pileckiego, w historyczne placówki muzealne w całym kraju nie wymaga komentarza.

Plemienność, że wszystkimi jej cechami – prymitywizmem, butą, prostactwem, awersją wobec uczuć wyższych – wyhodowana została właśnie za naszą zachodnią granicą. I jeżeli przejawia się w naszym kraju, to tylko w środowiskach, które są od tego obszaru w jakiś sposób uzależnione. Tym, co rzucało się w oczy podczas ostatnich miesięcy i lat, jest właśnie różnica, zdecydowana i całkowita, między metodami – i zachowaniem na co dzień – obecnej władzy i wszystkich sprzyjających jej sił a opozycją. Politycy PiS, dr Karol Nawrocki, mimo niezliczonych prowokacji, nie zniżyli się nigdy do poziomu kłamstw, obelg, zastraszania, kręcenia, nigdy niezrealizowanych obietnic, zapominania o tym, co twierdzili wczoraj w imię chwilowego poklasku.

Pokazali klasę – nie tylko polityczną, lecz także klasę kultury narodu, który nie narodził się wczoraj, który jest przeniknięty łacińskością, duchem chrześcijańskim. To traktowanie innych Polaków jak mierzwę, niewychowane, prymitywne stado, które łase jest na każdą przynętę, jest czymś aż nadto znanym – ale nie z polskiej historii. Niemieccy profesorowie od propagandy zagalopowali się, tworząc teorię o dwóch plemionach, której szkodliwość zawiera się w samym sformułowaniu, ale nie znajduje potwierdzenia w faktach.

Dobra i zła Germania

W wielu miejscach i publikacjach spotkać można wersję niemieckiej historii, która przeciwstawia tym złośliwym Niemcom militarystom – dobrych, pracowitych i pokojowych Niemców, pracujących wytrwale na rzecz nauki światowej i nowoczesnej gospodarki.

„Pewien brytyjski polityk, w samym środku wojny[1], oznajmił uroczyście, że istnieją dwie Germanie – zła Germania despotyzmu, militaryzmu i zbrojnej arystokracji, oraz dobra Germania nauki, handlu i przemysłu" – pisał Gilbert K. Chesterton w latach 30. ubiegłego wieku. „Pamiętam, że pomyślałem wtedy, że więcej sympatii budzi we mnie żołnierz ginący dla kajzera niż ekspert pracujący dla Kruppa. I znów należy zauważyć, że nikt nie kocha ekspertów, a zwłaszcza ekspertów od gazów bojowych. Lecz nawet teraz, po wszystkich potwornościach wojny, rozmaici idealiści nadal wysławiają Niemcy jako krainę nauki, przemysłu i postępu technicznego".

Dla pisarza Niemcy tacy, jakimi ich widzą ich apologeci, „są bez porównania bardziej odrażający niż Niemcy tacy, jakimi ich widzą ich wrogowie". Ci pierwsi przypominają jakiś ludzki rój, „na prostej drodze, by stać się rojem zupełnie nieludzkim". Gloryfikuje się w nim statystyki, specjalizację, naukowe prawodawstwo, wszystko higieniczne, spięte, posegregowane. „Sugerują, że tylko Niemiec, jedyny na świecie, jest naprawdę przedsiębiorczy, gdyż posiada doskonale działające przedsiębiorstwa i zakłady przemysłowe". Jest to jeden z mitów, Niemcy pękają z dumy, gdy go głoszą.

Chesterton, uczulony na mity, przypomina fakty: fanatyzm religijny, jaki przepełniał Niemcy w okresie wojny trzydziestoletniej, ustąpił w czasach współczesnych „nacjonalistycznemu, plemiennemu fanatyzmowi", tak dobrze widocznemu już po I wojnie światowej. To wtedy przywódcy polityczni tego kraju wpadli na pomysł, by „wyłamać cztery ramiona krzyża" – krzyża, który czcili ich przodkowie – „i w ten sposób upodobnić go do indyjskiej sztuki dekoracyjnej". Krzyż tak naprawdę stał się dla Niemców totemem. W miarę jak wyparowywały protestanckie dogmaty „rozpuszczane w kwasach niemieckiego sceptycyzmu w laboratoriach pruskich profesorów", pozostająca po nich

[1] Chodzi o I wojnę światową – przyp. E.P.P.

eprasa.pl aa16717a60

pustka wypełniała się nowymi wrzącymi pierwiastkami – „pychą plemienną, militaryzmem, imperializmem oraz owym patriotyzmem z klapkami na oczach, który nosi miano prusactwa". Ta pruska odmiana patriotyzmu jest groźna dla wszystkich, którzy sąsiadują z ich krajem. To jest właśnie mroczna strona więzi plemiennych – podkreśla Chesterton.

W Polsce nigdy nie udało się wskrzesić plemienności – od czasu jej chrztu. Nie było też takich ambicji, poza marginalnymi epizodami. „Państwa mocno zakorzenione w historii umieją zachowywać poczucie własnej wartości i jednocześnie z szacunkiem odnosić się do innych państw, ponieważ, powołując się na prawo do obrony własnych granic, nie przeczą, że mają obowiązek respektowania granic cudzych. Lecz duch plemienny jest niespokojny… Nie obchodzą go granice, reaguje na zew krwi". To dlatego Niemcy kwestionują swoją winę za rozpętanie ostatniej wojny, drwią z moralnej konieczności zadośćuczynienia zniszczonej przez nich, rozgrabionej i spustoszonej ludnościowo Polsce. Negują swoje zbrodnie. Próbują unicestwić lub zmarginalizować – przez swoje narzędzia, które udało im się zainstalować w naszym kraju – wszystkie instytucje, które przypominają o tych zbrodniach i zarazem ukazują bohaterstwo Polaków. Chcą nadal niszczyć i degradować Warszawę – także architektonicznie i kulturowo, znajdując ludzi, którzy im w tym pomagają, wznosząc nowoczesne klozety w parkach i muzea przypominające niemieckie bunkry, z trucicielską zawartością. Ale nie doprowadzi ich to do sukcesu, o jakim marzą. To jest droga donikąd. Ostatnie wybory prezydenckie w Polsce tę prawdę potwierdzają.

Forma instynktu stadnego

Mijającej kampanii wyborczej towarzyszyły wydarzenia, których od dawna w Polsce nie było, niezwykle brutalne, wręcz bestialskie zabójstwa, w tym zabójstwa dwóch kapłanów katolickich cieszących się szacunkiem, wdzięcznością i miłością swoich parafian. Przypadek? Nie, w taki właśnie sposób scenariusz nakreślony poza naszymi granicami miał dodatkowo uwiarygadniać tezę o dwóch plemionach, w istocie udowodnił prawdę o istnieniu jednego. Zabójstwa księży to rodzaj samoidentyfikacji sprawców: jesteśmy kimś spoza cywilizacji.

„Teza o wyższości sfery duchowej nad materialną powstała w szkole mnichów w Cluny [we wczesnym średniowieczu – przyp. E.P.P.]. Jest to szczyt cywilizacji chrześcijańskiej, bodaj najgenialniejsza myśl, na jaką zdobył się człowiek" (Feliks Koneczny).

„Księża na Księżyc", zamykanie do więzień ludzi opozycji, młodzi i starzy Polacy na emigrację – bo przeszkadzają władzy… To wszystko ma jedno źródło. Polska ma zniknąć w samych Polakach, mamy sami sobą pogardzać. Taka była stawka także obecnych wyborów. Chodzi o to, by było nas mniej i byśmy byli lepszymi niewolnikami. A dobrym niewolnikiem człowiek staje się, gdy zapomina o tym, że po „moich własnych" pięciu minutach na ziemi przychodzi cała wieczność, w niebie albo w piekle. Gdy potrafi plunąć na święte symbole. I zachować się jak zwierzę wypuszczone z klatki.

Warto zdać sobie sprawę z tych zależności i historycznych praw. Walka Karola Nawrockiego nie była walką tylko o fotel prezydencki. To zmaganie o prawdę w historii, o jeszcze jedno zwycięstwo naszej cywilizacji nad barbarzyńcami. O rycerskim obliczu naszej cywilizacji mogliśmy się raz jeszcze w ostatnich miesiącach przekonać, patrząc, jak Karol Nawrocki radził sobie ze swoim głównym przeciwnikiem i gromadą jego ideowych, czy raczej może biznesowych, przyjaciół. Właśnie tak jak razi sobie mąż stanu, który musi przywdziać od czasu do czasu zbroję rycerską – godnie, taktownie, elegancko, bo prawda ujawnia się w spokoju, kłamstwo wypowiadane jest wśród zgiełku niezdrowych emocji.

„Niemcy, jak sądzę, są jedynym narodem, którego cywilizacja i narodowa wspólnota stanowią formę instynktu stadnego" – twierdzi Chesterton. Cechuje ich swoista prehistoryczność. Dlatego tak lubią mity i z zapałem tworzą je wciąż na nowo. „Nawet ich uczeni profesorowie są w pewnym sensie prehistoryczni. Mam na myśli, że przy całej swojej uczoności sprawiają wrażenie, jakby nigdy nie słyszeli o historii". W takim ahistorycznym duchu opowiadają o swojej przeszłości. „Stworzyli kompletnie wyssaną z palca legendę, przedstawiającą teutońskich barbarzyńców jako złotowłosych bogów […] i uwierzyli w to, co stworzyli". Wygrana Karola Nawrockiego pozwoli im zburzyć niektóre z tych mitów – wrócić do rzeczywistości. Będzie to dobre dla nich, dla Europy, a przede wszystkim dla Polski.

Zmierzch

Warto przyjrzeć się książkom pisanym przez Niemców, zwłaszcza tym, w których mówiąc o sobie, zwracają się z pouczeniami do innych. Klasycznym przykładem jest Oswald Spengler i jego „Zmierzch Zachodu", głośna książka napisana po zakończeniu I wojny światowej. „Komentarz, który sam się nasuwał (zdaniem wielu osób) – pisze Chesterton – był taki, że ów

eprasa.pl aa16717a60

Niemiec, obejrzawszy na żywo zmierzch i upadek Cesarstwa Niemieckiego, odruchowo uznał, że i resztę nas powinno spotkać to samo. To przecież niemożliwe, by jakiś europejski naród okazał się do tego stopnia niewychowany i nietaktowny, żeby rozkwitnąć, kiedy Niemcy są w upadku – rozumował; o ile w ogóle ogarniał świadomością, że gdzieś tam na obrzeżach jego cesarstwa leżą podrzędne kraje zwane Francją, Anglią… Tak czy owak, zastosował swoją doktrynę do owego rdzenia naszej cywilizacji, który stanowi jej aktywną siłę napędową, obojętne, czy zgodnie z naszą konstrukcją mentalną nazwiemy go indo-germańską, czy też wolimy nazwać go chrześcijaństwem". Zasadnicza teza książki jest zdaniem Chestertona fałszywa, ponieważ jest „fatalistyczna, ahistoryczna i zawiera specyficzny fałsz odnoszący się do najgłębszego ducha wielkiej kultury, którą autor krytykuje. […] zasadnicza cecha tej kultury to ciągłość". Spengler zaś próbuje udowodnić, że składa się ona z luźnych, niepowiązanych ze sobą okresów. Oddzielił od siebie dwie zasadnicze części dziejów Europy, uznając, że jedna była zasługą muzułmańskich Arabów, druga – „przedstawicieli ludów faustycznych"[2], byli oni bowiem „chrześcijanami niewyraźnymi, wątpliwymi, a poza tym Niemcami". Chesterton, podważając taką wizję jako nonsensowną, zastanawia się jednak, czy w przyszłości nie okazałaby się ona prawdą – wtedy, gdy zapomnimy o naszej prawdziwej historii.

„Mam na myśli, że w dotychczasowych dziejach Europy ludzie wychowani w naszej odwiecznej tradycji dokładali wszelkich starań, żeby nie zapomnieć. Nawet kiedy zdetronizowali bogów greckich […] na dłuższą metę pozwolili im zostać, tak jak elfom. Lecz w naszych czasach ten lud, który zawsze pamięta, jest ze wszystkich stron zachęcany do zapominania. Nasze gazety, nasi politycy oczekują, że zapomnimy nie tylko to, co było tysiąc lat temu, ale i to, co było dwadzieścia lat temu czy dwa lata temu, a kiedy w grę wchodzi zmiana linii partyjnej albo wybielanie polityka, liczą, że wyleci nam z głowy to, co zdarzyło się przed dwoma miesiącami. I tutaj rzeczywiście sprawdza się pomysłowa Spenglerowska metoda, by każde zdarzenie rozpatrywać całkowicie osobno. Eony i przepaście zaczynają nas dzielić już nie od naszych przodków, ale od nas samych. To nowe zapominalstwo, widoczne w bieżącej kulturze, naprawdę uzasadnia pesymizm niemieckiego profesora".

„Tak zginął przyjaciel Rilkego"

Dzieje polskiego poety, krytyka i tłumacza Witolda Hulewicza (1895–1941) ps. „Olwid" i „Grzegorz" mogą być klamrą spinającą rozważania o niemieckiej sztuce zapominania i podążania za mgławicami myśli oderwanych od rzeczywistości. Był znawcą i miłośnikiem literatury niemieckiej, zwłaszcza poezji J.M. Rilkego, i autorem większości przekładów jego tomików. Mimo talentu i zasług, ten katolicki twórca jest postacią dziś zapomnianą[3]. Hołd poecie złożył w przedmowie do jednej z ostatniej jego książek, lirycznej biografii

[2] Spengler definiuje postawę faustyczną, przywołując niemiecki czasownik streben, oznaczający „dążyć do czegoś". Faust nie może nigdy ustać w dążeniu, nie może powiedzieć: „Chwilo, trwaj wiecznie, jesteś piękna", jego pragnienia nigdy nie mogą zostać zaspokojone. Profesor Feliks Koneczny zwrócił uwagę na to, że Spengler używa terminów „kultura" i „cywilizacja" do oznaczania różnych faz tego samego procesu. Dopóki rozwija się i kwitnie, jest kulturą, gdy przestaje być twórczą i wyczerpuje się, staje się cywilizacją. Zaliczył jego teorię do stanowiska biologicznego wobec historii, przyjmującego, że ludy, państwa i cywilizacje mają swoją młodość, wiek dojrzały i starość na podobieństwo życia pojedynczego człowieka.

[3] Był synem rodziny ziemiańskiej z Wielkopolski, matka była pianistką. Wcielony przymusowo do armii niemieckiej, znalazł się w czasie I wojny we Francji, po powrocie do kraju wziął udział w powstaniu wielkopolskim, wyszedł z powstania ze stopniem kapitana. Studiował na Uniwersytecie Poznańskim i na paryskiej Sorbonie. Wydawał z braćmi Jerzym i Bohdanem dwutygodnik literacki „Zdrój", był inicjatorem utworzenia poznańskiego oddziału Związku Zawodowego Literatów Polskich. Jako poeta Witold Hulewicz pozostawał pod wpływem ekspresjonistów, publikował swoje wojenne utwory w „Zdroju", wydane potem w 1921 roku w tomiku liryków „Płomień w garści", w 1927 roku opublikował powieść biograficzną o Beethovenie – „Przybłęda Boży", tłumaczył m.in. Tomasza Manna, Johanna Goethego, a najwięcej – swego przyjaciela, poznanego podczas spotkania w Szwajcarii – poezji Rainera Rilkego. W klasztorze pobazyliańskim w Wilnie odkrył pomieszczenie, w którym władze carskie więziły filomatów, w tym młodego Mickiewicza; urządzał tam „Literackie Środy". Był współzałożycielem wileńskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich.

Od grudnia 1927 roku był kierownikiem programowym Rozgłośni Wileńskiej Polskiego Radia. Po konflikcie ze Stanisławem Catem-Mackiewiczem przeniósł się do Warszawy. Był tu szefem Działu Literackiego Polskiego Radia. Hulewicz jest autorem pierwszego dramatu napisanego specjalnie dla Teatru Polskiego Radia: „Pogrzeb Kiejstuta". Podczas II wojny światowej był redaktorem naczelnym wydawanego w Warszawie konspiracyjnego pisma „Polska Żyje". 2 września 1940 roku został aresztowany przez Niemców, prowadzenie pisma objął jego brat Jerzy, szef Wydziału Propagandy Komendy Głównej Komendy Obrońców Polski. Osadzony na Pawiaku, wielokrotnie zabierany na przesłuchania na al. Szucha. 12 czerwca 1941 roku rozstrzelany w Palmirach w zbiorowej egzekucji. Pochowany na cmentarzu w Palmirach. Jego brat Je-

eprasa.pl aa16717a60

Beethovena, jego przedwojenny przyjaciel Jan Parandowski. Warto przypomnieć fragment tego wspomnienia.

„Rozdzielił nas okrutny wrzesień 1939 roku… Dopiero latem 1940 spotkaliśmy się u Władysława Zawistowskiego – ku radości, zdumieniu i zgrozie. […] Witold promieniał optymizmem, wymierzonym w cel pewny, choć może nie bliski. Sam żołnierz, znał wybornie i oceniał siłę militarną Niemiec, na którą wychowany w Wielkopolsce patrzył od dziecka i z którą się zmagał w powstaniu wielkopolskim. Ale wierzył niezachwianie w ostateczny tryumf nad hitlerowskim szaleństwem i miał swój udział w walce podziemnej. […] Widziałem go wtedy po raz ostatni […] nasz przyjaciel został aresztowany. I odtąd przez długie miesiące zbieraliśmy wiadomości z więzienia. Były przerażające: pędzono go w aleję Szucha na przesłuchania, bito, torturowano. Wszystko wytrzymał… Po dziesięciu miesiącach heroicznego męczeństwa został rozstrzelany w Palmirach o świcie 12 czerwca 1941 roku. Tak zginął przyjaciel Rilkego, jednego z największych mistrzów mowy niemieckiej, autor pełnej uwielbienia książki o jednym z największych kompozytorów niemieckich – Beethovenie.

Nikt jak on nie odróżniał dwóch rzeczy: dzikości narodu niemieckiego w jego polityce i w periodycznie nawiedzającym go szaleństwie wojennym od pracy twórczej tych duchów wybranych, które wchodzą do kultury ludzkiej jakby protestem przeciw swemu pochodzeniu i środowisku. Nie pamiętam, czy ktoś wcześniej tłumaczył w Polsce Rilkego… on jednak dał go poznać najpełniej. Spod jego pióra wyszły w języku polskim: »Księga obrazów«, »Elegie duinezyjskie«, »Księga godzin«… Pracując nad tymi przekładami nawiązał osobistą znajomość, która przerodziła się w przyjaźń z umiłowanym poetą, odwiedzał go, przebywał w jego domu w Szwajcarii, wymieniali częste listy. Ta korespondencja jest niepospolitym zjawiskiem w naszych stosunkach literackich… Rilke odpowiada swojemu przyjacielowi obszernymi traktami z zakresu filozofii sztuki, mówi o wykładach Mickiewicza w Collège de France, dziełach Wincentego Lutosławskiego, o prozie Berenta, pojawiają się imiona Słowackiego, Norwida… w Polskim Radio był świetnym łącznikiem między literaturą a muzyką i umiał kojarzyć te dwie sztuki w doskonale skomponowanych audycjach… Sądzę, że wielu pamięta jeszcze owe piękne audycje szopenowskie i równy, spokojny głos Hulewicza komentujący utwory wielkiego muzyka. Ten głos we wrześniu odezwał się w innej mowie i w innym tonie: Hulewicz przemawiał przez radio po niemiecku do Niemców w tym samym czasie co Starzyński do Polaków, wśród huku bomb i walących się domów…. Być może jego kaci na Pawiaku, w alei Szucha i w Palmirach pamiętali ów głos i mścili się na bezbronnym w sposób właściwy tym odczłowieczonym istotom… widzę mojego przyjaciela z zakneblowanymi ustami, przed lufami karabinów, w Palmirach" (1982).

Chesteron pisząc o różnicach między kulturą pogańska a chrześcijańską, wspomina o szczególnej właściwości tej ostatniej – zachodzi w niej niekończąca się odnowa wszystkich dzieł ludzkich. „Nie wierzymy w stracone sprawy, nie chcemy przyznać, że lojalność może być bezsensowna…" . To ten rodzaj dumnej nadziei stworzył rycerskiego ducha cywilizacji chrześcijańskiej. Potrafimy być wierni idei, którą traktujemy jako zadanie, i to mimo że dotkliwie odczuwamy całą naszą nicość, to, że nie nadajemy się zupełnie do tego dzieła. A jednak idziemy, walczymy, zwyciężamy. I tu pisarz posłużył się naszą historią. By odkryć, co rzeczywiście tkwi u podstaw naszej religii warto przyjrzeć się temu, co jeszcze przed chwilą nie istniało, bo starły je sąsiednie militarne potęgi. Jak państwo polskie przed 1918 rokiem.

„Kiedy przebywając w Polsce – dodaje pisarz – znów usłyszałem polski hymn narodowy, powiedziałem moim gospodarzom, że w jego słowach brzmi echo innych słów, które były stare, kiedy wszystkie pieśni były młode, i będą młode, kiedy wszystkie nasze pieśni będą stare: »Ja jestem Zmartwychwstaniem i Życiem«". ■

---

rzy zmarł 1 lipca 1941 roku zaraz po tym, jak dotarła do niego wieść o rozstrzelaniu Witolda.

Poezje Witolda Hulewicza ukazały się jeszcze w czasie wojny w wydanej w 1942 roku pod redakcją Czesława Miłosza podziemnej antologii „Pieśń niepodległa", obok poezji Baczyńskiego, Staffa, Słonimskiego, Tuwima i innych. W stulecie urodzin Hulewicza, w 1995 roku, Zarząd Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich i Oficyna Literatów i Dziennikarzy „Pod Wiatr" ustanowiły doroczną nagrodę jego imienia, przyznawaną podczas Warszawskiej Jesieni Poezji. Nagroda im. Witolda Hulewicza jest przyznawana w dziedzinach twórczości literackiej, artystycznej i naukowej oraz działalności organizacyjnej i społecznej. W roku 2012 powstało Stowarzyszenie im. Witolda Hulewicza, aby utrwalać pamięć o nim oraz popularyzować jego postać za granicą, szczególnie na obszarze państw niemieckojęzycznych, z uwagi na wybitne zasługi Hulewicza jako tłumacza literatury niemieckiej [informacje biograficzne za Wikipedia.org].

Cytaty: Gilbert K. Chesterton, „Obrona rozumu" i „Heretycy", przełożyła Jaga Rydzewska, wyd. Fronda, Warszawa.

eprasa.pl aa16717a60



Małgorzata Matuszak



SPOŁECZEŃSTWO NOWOCZESNE A BRUTALIZACJA WSPÓŁCZESNEGO ŚWIATA

We współczesnym świecie brutalizacja nie oznacza już wyłącznie fizycznego aktu przemocy. To zjawisko wielowarstwowe, przenikające nasze codzienne życie subtelnie, lecz nieubłaganie.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl aa16717a60

Przemoc towarzyszy ludzkości od zarania dziejów, jej cień od wieków kładzie się na naszej historii. Wydaje się jednak, że w dawnych czasach miała ona konkretne oblicze – wojny, walki, konflikty, które często były odległe od codziennego życia zwykłych ludzi. Dziś jednak, w erze globalnej komunikacji i natychmiastowego dostępu do informacji, brutalność nie tylko się nasila, lecz także przenika do każdej sfery naszego życia. Wirtualny świat pozwala nam widzieć i słyszeć o przemocy w mgnieniu oka, co sprawia, że wydaje się ona bardziej obecna i realna. Brutalność wdziera się w naszą codzienność, sprawiając, że czujemy się wobec niej coraz bardziej bezradni.

Okrucieństwo nowoczesności

Brutalizacja, rozumiana jako postępujące zobojętnienie na cierpienie innych, zanik empatii, dewaluacja słów i gestów, wdziera się w przestrzeń społeczną z siłą pozbawioną subtelności. Przestają dziwić krzyk, agresja, pogarda. Zaczynamy traktować je jak normę.

Współczesny świat wymusza na człowieku w wielkich miejskich skupiskach społecznych coraz szybsze tempo życia, kładąc nacisk na większą efektywność w środowisku zawodowym. Poddani jesteśmy nieustannej presji rozwoju zawodowego, rośnie potrzeba zapewnienia firmom zysku za wszelką cenę, a rzeczywistość stawia przed nami wyzwania, którym nie wszyscy są w stanie sprostać. Ciągłe zmiany w świecie oraz dynamizm życia wraz z koniecznością adaptacji do nich rodzą w ludziach dużo frustracji w sytuacjach, które przerastają nasze zdolność adaptacyjne, wywołując dużo stresu i lęku o własne życie i jego standard. Wielu ludzi jest w sytuacji bez wyjścia – muszą się przystosować lub wypaść na margines społeczeństwa.

Taka presja i świadomość egzystencji w rzeczywistości, która tak wiele wymaga, sprawia, że ci, którzy jej doświadczają, mogą odreagowywać swoje frustracje i niepowodzenia na innych ludziach, nie tylko bliskich, ale nawet nieznajomych, gdyż sieci społecznościowe stwarzają możliwość bycia wirtualnym uczestnikiem życia nie tylko znajomych ludzi. Szansa komentowania wpisów innych i podglądania ich życia sprawia, że łatwo odnieść wrażenie, iż komuś drugiemu można powiedzieć wszystko, pozostając przy tym anonimowym. W takich warunkach w sieci internetowej mamy do czynienia z falami hejtu, która przetacza się przez Internet wobec osób zarówno publicznych, jak i zwykłych obywateli. Nowe formy przemocy – cyberprzemoc, trolling, hejt – to wszystko jest nowoczesnym obliczem starożytnej walki, tylko w cyfrowym wydaniu.

Platformy społecznościowe to areny, na których brutalność rozgrywa się na oczach całego świata, często bez możliwości ucieczki. Każdy w Internecie może być potencjalnie ofiarą ataku i taki atak pozostaje najczęściej bezkarny. Korzystają z takiej możliwości osoby, których poziom napięcia, a jednocześnie szacunek do innych, jest żaden. Wraz z tym, jak rośnie brutalizacja ludzkiej rzeczywistości, wywołującej nieustanną presję zmian i odrzucającej tych, którzy im nie sprostają, jakby w odpowiedzi na ten stan rzeczy, rośnie również ogólna brutalność.

Ludzie, których stawia się w sytuacji trudnej do zniesienia i których godności się nie szanuje, mają skłonność do traktowania innych tak samo, jak ich potraktowano, gdyż wydaje im się, że skoro świat jest brutalny wobec nich, to i oni mają prawo być tacy sami wobec świata. W ten sposób spirala brutalności się nakręca. Przemoc rodzi bowiem przemoc. Relacje społeczne stają się coraz bardziej powierzchowne, instrumentalne oraz… brutalne.

Medialny lans okrucieństwa

Również w mediach mamy do czynienia z pewnym trendem, który akceptuje programy rozrywkowe polegające często na brutalnych rozgrywkach. Różne reality shows, aby przyciągnąć rzesze widzów i chcąc utrzymać ich uwagę, wielokrotnie serwują swoim odbiorcom i uczestnikom programów sytuacje społeczne opierające się na przemocy, czy to fizycznej, czy emocjonalnej, od przemocy werbalnej po zwykłe odzieranie z godności uczestników programu i badanie, kto i ile wytrzyma. Poddani próbom ludzie są jak gladiatorzy na dawnych spektaklach okrucieństwa. Nowoczesny świat nie zabija w mediach publicznych ludzi, ale pozbawia ich godności do tego stopnia, że można mówić o zabijaniu symbolicznym. Publiczność, która bywa znużona codziennym życiem, utrzymuje poziom uwagi wtedy tylko, gdy serwuje jej się przemocowe obrazy, gdyż te łatwiej przykuwają uwagę i ciekawość.

Jednocześnie jednak, poprzez pewien rodzaj modelowania, media uczą, co jest dopuszczalne i jakie traktowanie innych ludzi jest akceptowalne. Mówiąc krótko, uczą przemocy wobec innych. Na takie uczenie się przez media są szczególnie podatni młodzi ludzie, ale brutalny klimat w mediach udziela się też dorosłym w ich codziennym życiu, przekładając się na relacje społeczne, w których uczestniczą, o ile nie zachowają oni czujności i krytycyzmu wobec przekazu medialnego. Ten jednak, wobec wszechobecności mediów w naszym życiu, staje się coraz trudniejszy.

Pośredniość kontaktu z innymi, których spotykamy tylko przez media, osłabia ludzkie odruchy

eprasa.pl aa16717a60

i pozwala tolerować okrucieństwo programów medialnych. Również świat gier komputerowych, które wciągają nie tylko młodych ludzi, opiera się często na przemocowych działaniach i pokonywaniu wirtualnych przeciwników. Człowiekowi zaś, który walczy całymi godzinami w sieci, trudno zdobyć się potem na łagodność wobec swoich bliźnich. Podobne skutki może wywołać bezkrytyczne oglądanie filmów, w których eksponowana są przemoc i brutalne sceny.

Istnieją badania naukowe, które sugerują, że długotrwałe oglądanie brutalnych treści, takich jak filmy czy gry, może wpływać na obniżenie odczuwania empatii. Niektóre badania psychologiczne wykazały, że osoby regularnie oglądające treści pełne przemocy mogą mieć mniejszą wrażliwość na cierpienie innych, co przejawia się w słabszej reakcji emocjonalnej na sytuacje, w których inni doświadczają bólu czy krzywdy. Jednym z przykładów jest badanie opublikowane w czasopiśmie „Psychological Science", które pokazało, że uczestnicy, którzy oglądali brutalne filmy, mieli później mniejszą skłonność do okazywania współczucia i okazywania troski wobec innych. Kolejne badania sugerują, że powtarzające się ekspozycje na przemoc mogą prowadzić do desensytyzacji, czyli zmniejszenia reaktywności emocjonalnej na przemoc i cierpienie, co z kolei może osłabiać zdolność do empatii.

Drapieżny świat kapitalizmu

Kapitalizm, choć często chwalony jako siła napędowa postępu, ma swoje mroczne oblicze, które niestety przyczynia się do brutalizacji naszego świata. W pogoni za zyskiem firmy i korporacje coraz częściej zapominają o człowieku – o jego godności, potrzebach i emocjach. Zamiast troski i solidarności, pojawiają się wyzysk, nierówności i brak empatii. W świecie, gdzie wszystko ma swoją cenę, ludzie stają się towarami, a relacje międzyludzkie tracą na głębi. Konkurencja i chciwość prowadzą do agresji, przemocy i dehumanizacji, bo w tym systemie najważniejszy jest wynik, a nie dobro wspólne. Kapitalizm, choć daje możliwości, równocześnie tworzy przestrzeń dla brutalnych zjawisk, które z czasem mogą zatruwać serca i relacje międzyludzkie. Kapitalizm to nie jest tylko system ekonomiczny. To także system wartości, który kształtuje naszą codzienność i relacje z innymi.

Ekonomiczne prawa, nacisk na konsumpcję, materializm i instrumentalne podejście do ludzi na gruncie zawodowym wymuszone przez kapitalistyczny świat, traktowanie innych w kategoriach zysku i uprzedmiotowienie ludzi na gruncie gospodarczym – mogą wpływać na to, że coraz trudniej zobaczyć nam w kimś drugim istotę podobną do nas – czującą, wrażliwą i myślącą, nie tylko przedmiot, który można zawodowo wykorzystać czy z nim rywalizować o pozycję w pracy. Dlatego wiele osób próbuje przed materialistycznym i konsumpcyjnym modelem życia schronić się w życiu prywatnym i oprzeć na bliskich sobie więziach. Niektórzy bardziej cenią sobie spokój domowego ogniska niż świadomość, że jeśli w pracy jeszcze bardziej się zaangażują i pokonają rywali, będą mogli mieć jeszcze więcej. Niektórzy jednak ulegają temu modelowi życia i przenoszą ze sfery zawodowej na prywatną model relacji społecznych opartych na uprzedmiotowieniu i rywalizacji.

Brutalność kapitalizmu, niestety, coraz głębiej wdziera się w świat polityki, zmieniając ją w narzędzie walki o zyski i wpływy. W tym systemie, gdzie wszystko ma swoją cenę, polityka przestaje być służbą społeczeństwu, a staje się polem walki o interesy wielkich korporacji i bogatych elit. Decyzje podejmowane są często nie dla dobra wspólnego, lecz z myślą o zyskach, które można z nich wyciągnąć. Władza staje się towarem, a politycy – sprzedawcami, którym zdarza się zapominać o moralności i etyce. Ta brutalność przejawia się też w tym, jak system faworyzuje silnych, marginalizując tych najsłabszych, a konflikty i podziały pogłębiają się, bo liczy się tylko to, co przynosi korzyści. W ten sposób polityka zamiast służyć ludziom, staje się narzędziem w rękach tych, którzy chcą utrzymać i powiększyć swoje wpływy, często kosztem wartości i dobra wspólnego.

Istnieje jeszcze nadzieja

Te wszystkie czynniki wydają się być odpowiedzialne za rosnącą brutalizację we współczesnym świecie, nadal jednak istnieje nadzieja, że jest więcej ludzi dobrej woli, którzy zachowują się etycznie i szanują jak siebie samych swoich bliźnich, w czym na pewno podtrzymuje nas nasza chrześcijańska tradycja. Chociaż świat może być brutalny, nasza siła tkwi w tym, jak na tę brutalność reagujemy. Nie możemy na nią dawać przyzwolenia ani się do niej przyzwyczajać. Ważne jest, żeby być świadomym zagrożeń, ale też nie tracić nadziei i wiary w lepsze jutro. Nie możemy pozwolić na to, by brutalność zdefiniowała nasze życie.

Brutalizacja nie musi być losem nieuchronnym. Jest procesem społecznym, a więc takim, na który mamy wpływ. Przestrzeń dialogu, szacunku i uważności można odbudować, ale wymaga to świadomego wysiłku i konsekwencji w działaniu. ■

eprasa.pl aa16717a60



Jakub Augustyn Maciejewski



UNIONIZM – pogląd wyklęty

Najsłynniejsi historycy o nim nie wspominają – choćby krytycznie. W polityce temat pojawia się rzadko, a potem szybko gaśnie, czasem zdmuchnięty siłą z zagranicy. A przecież żyją tą sprawą miliony ludzi w dwóch graniczących ze sobą państwach. Unionizm to marzenie o połączeniu Rumunii i Mołdawii w jedno państwo i przekonanie, że oba społeczeństwa to jeden naród. Argumenty są bardzo mocne.

eprasa.pl aa16717a60

George Simion, lider prawicowej partii Sojusz na Rzecz Jedności Rumunów, przegrał wybory prezydenckie, ale zaistniał w polityce rumuńskiej z wielkim rozmachem. A wyrósł z ruchów unionistycznych, które od dekad odradzają się nad Dunajem i nad Prutem. Unionizm – czyli postulat połączenia (unii) Mołdawii i Rumunii w jedno państwo – to idea zdecydowanie oddolna, społeczna, naturalna. To zresztą nie jest do końca komplement – brak bowiem „ideologów" czy liderów, którzy by tej tematyce poświęcili swoje życie niczym Bismarck zjednoczeniu Niemiec czy Charles Maurras francuskiemu nacjonalizmowi integralnemu. A jednak sumując działania setek samorządowców, sponsorów, publicystów, naukowców, dodając do tego setki tysięcy obywateli obu państw, którzy różnymi działaniami przyczyniają się do zbliżenia obu społeczeństw, o idei unionizmu trzeba powiedzieć jasno, że istnieje, że jest bardzo silna i że w dalszej perspektywie Prut może przestać być granicą pomiędzy Rumunią a Mołdawią.

Mówią, że każdy Rumun po wypiciu czterech szklanek palinki (mocny alkohol z tamtych stron) piąty toast wzniesie już za przyłączenie Besarabii – historycznej krainy, w której dziś leży Republika Mołdowy. „Wy to byście czołgami już tam wjechali" – mówił mi jeden historyk rumuński, stwierdzając, że polski temperament jest mocniejszy niż determinacja Rumunów. Przy czym nie są to postulaty zbieżne z marginalnymi marzeniami o odzyskaniu Lwowa czy Wilna, bo unioniści są przekonani, że Mołdawianie są po prostu Rumunami, ale oderwanymi siłą przez Rosjan, a potem Sowietów, więc to połączenie obu krajów nie byłoby ani żadną aneksją, ani naruszeniem granic, lecz subtelnym wymazaniem jednej z nich – rumuńsko-mołdawskiej.

Oderwanie od Rumunii

Sprawa ma głębokie historyczne uzasadnienie. Obecna Rumunia powstała w 1859 roku z połączenia dwóch hospodarstw – rumuńskiego i mołdawskiego właśnie, ale... – tu dochodzi znany nam motyw – część księstwa mołdawskiego należała już do Imperium Rosyjskiego. Ta część nazywała się Bessarabia i taką nazwę otrzymała jako kolejna gubernia Cesarstwa, zajęta na koniec wojny rosyjsko-tureckiej w 1812 roku. Sama aneksja była zresztą bezprawna – Imperium Osmańskie nie miało całkowitej władzy nad hospodarstwem, by decydować o jego granicach, ale któż by słuchał peryferyjnego państewka w dobie układów wielkich mocarstw. Można więc powiedzieć, że powstały wtedy dwie Mołdawie. Zachodnia wkrótce weszła w skład Rumunii, rozwijając swoją kulturę, szkoły, europeizując się i przejmując francuskie rozwiązania polityczne, zaś wschodnia była niczym zamrożona politycznie kraina, konserwująca status mołdawskości na tym sprzed 1812 roku. – Bądź sobie Mołdawianinem, ale poddanym cara rosyjskiego – zdała się brzmieć doktryna dla tej guberni. W XIX wieku szybko rozbudowano Kiszyniów do rangi stolicy prowincji, kilkanaście miesięcy spędził tam na wygnaniu słynny poeta Aleksander Puszkin i krainę tę konstruowano od nowa – przed „rozbiorem" była to stepowa prowincja. W Rumunii zaś tworzono zręby nowoczesnego narodu, porzucono alfabet grecki na rzecz łacińskiego i umacniano się w przekonaniu, że istnieje wspólnota i kultura Rumunii. Kto wie, może Besarabia rozpłynęłaby się w rosyjskim imperium, a Rumuni poddaliby się w marzeniach o oderwaniu jej od Rosji, ale rok 1918 okazał się narodową rewolucją. Po pierwsze, w wyniku bolszewickiego przewrotu rozpadła się Rosja, a po drugie – besarabskie elity w Kiszyniowie zwołały zgromadzenie (Sfatul Țării), które szybko ogłosiło przyłączenie się do Rumunii – ogłosiło unię. I tak okazało się, że rumuńskojęzyczni poddani cara rosyjskiego przez lata zaczytywali się w narodowych wieszczach spod znaku Mihaia Eminescu, oglądali zza Prutu identyczną kulturę ludową, identyczną religię, słuchali tego samego języka, aż przy pierwszej politycznej okazji wybrali nie Moskwę, lecz Bukareszt.

Rumunia na I wojnie światowej zyskała tak wiele terytoriów ze wszystkich stron, że do dziś funkcjonuje w historiografii jako „Wielka Rumunia". Dla samej Besarabii był to okres „reromanizacji", czyli usuwania rosyjskich wpływów oraz edukowania i odbudowywania krainy w duchu już stricte rumuńskim. I wtedy doprawdy mieszkańcy dawnej rosyjskiej guberni mówili tym samym językiem co reszta kraju, choć z niektórymi rusycyzmami. Okres „Wielkiej Rumunii" trwał ledwie 21 lat, zaś Besarabia została od państwa oderwana na mocy Paktu Ribbentrop–Mołotow, tego samego, który zniszczył Polskę. Ale te dwie dekady wystarczyły, by wychować całe pokolenie patriotów, tak jak w Polsce międzywojnie dało nam pokolenie Kolumbów. Z tej generacji poznałem jednego człowieka – Tadeusza Gaydamowicza, Polaka wychowanego w Besarabii. Urodzony w 1923 roku na tamtejsze prowincji, jako Polak był w gronie tamtejszej szlachty, więc szybko rodzina pchnęła go ku wyższemu wykształceniu. Szybko wylądował w Bukareszcie, choć realia II wojny światowej przeniosły go ostatecznie do Polski, do Krakowa, gdzie już został na

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl aa16717a60

stałe. Do końca życia jednak potrafił mówić przepięknym rumuńskim, znając tamtejsze obyczaje, wspólne dla całego narodu. Gaydamowicz nie mówił, że jest „Mołdawianinem" – całe jego pokolenie, choć przetrzebione wojną, miało świadomość swojej przynależności narodowej, choć Besarabia w 1945 roku znowu trafiła pod okupację sowiecką – już do końca istnienia ZSRS.

Rusyfikacja i mołdawianizacja

Stalin jednak był mocniejszym inżynierem społecznym niż Romanowowie – między Prutem a Dniestrem mieli już żyć nie Rumuni jako poddani Kremla, ale Mołdawianie – zupełnie nowy naród.

Już w pierwszych latach ZSRS na skraweczku Besarabii, który pozostał pod władzą komunistów, wprowadzono tzw. język mołdawski, który był po prostu językiem rumuńskim, ale pisanym cyrylicą. Po zajęciu całej Besarabii w czasie II wojny światowej taki „mołdawski" wprowadzono w całej socjalistycznej republice. Do dziś całe pokolenia w Republice Mołdowy kojarzą swój język jako mołdawski, bo pisany jest przecież innymi „bukwami". Tożsamość Mołdawii miała jednak opierać się nie tylko na alfabecie. Mołdawia, jako wysunięta na zachód komunistycznego imperium republika, była dobrze doinwestowana. Wznoszono tam wiele charakterystycznych budowli, z których „Mołdawianie" są dumni do dziś. Do Kiszyniowa od strony lotniska wjeżdża się przez „Bramę miasta", czyli 24-piętrowe bloki w kształcie schodkowym, między którymi przejeżdża się do stolicy. Monumentalny betonowy gmach cyrku czy faktycznie zaprojektowany z rozmachem Park Valea Morilor z jeziorami, klasycyzującymi schodami i mnóstwem zieleni. Mołdawia szczyciła się także tym, że w latach 50. zarządzał nią młodziutki Leonid Breżniew – późniejszy przywódca całych Sowietów.

Mołdawianizacja miała jednak również swoje krwawe oblicze – w latach 40. komuniści zorganizowali tam wielki głód – na podobieństwo ukraińskiego Hołodomoru z lat 30. Oporni i najbardziej przywiązani do ziemi chłopi zmarli w strasznym cierpieniu. Do dziś starsi ludzie opowiadają o tym z płaczem i w drgawkach. Potem intensywnie zasiedlano miasta – Kiszyniów, Bielce, Bendery i Tyraspol – nową urzędniczą elitę – Rosjanami. „50 lat tutaj są i nie nauczyli się rumuńskiego/mołdawskiego" – słyszałem wielokrotnie od mieszkańców Republiki Mołdowy, gdy patrzyli na rosyjskojęzycznych obywateli. Tacy to „Mołdawianie», że narodowych poetów muszą czytać w tłumaczeniu na rosyjski...

Mołdawianizacja trwała na jeszcze innych płaszczyznach. Gwałtowna industrializacja zmieniała oblicze niegdyś stepowej krainy. Kołchozy na potęgę produkowały kukurydzę, słoneczniki i wino – kolejna mołdawska marka. Podkiszyniowska Cricova to królestwo wina – dawną kopalnię przerobiono na tunele ze składami wina, tunele liczące ponad 100 kilometrów. Faktycznie Rumunii nie byłoby wówczas stać na taki prestiżowy projekt, a więc sowiecka Mołdawia miała zupełnie „swoje", nierumuńskie, powody do dumy.

> Ostatni akord „mołdawianizacji", zupełnie nieudany, brzmiał jeszcze w XXI wieku. Wtedy to dwa autorytety intelektualno-kulturalne Mołdawii ogłosiły, że język mołdawski istnieje, jest odmienny od rumuńskiego, jak cała mołdawska kultura i historia.

W czasie rozsypywania się komunistycznej Rosji mieszkańcy Besarabii – wtedy już Mołdawskiej Sowieckiej Republiki Socjalistycznej – powtórzyli akcję z 1918 roku, ogłaszając jeszcze nie połączenie z Rumunią, ale niepodległość od Rosji. I wtedy ruszyła wielopiętrowa prowokacja na wschodzie republiki – „najprawdziwsi" Mołdawianie, czyli de facto Rosjanie, ogłosili, że oni są „Mołdawianami", którzy niepodległości nie chcą, i oderwali skrawek małego kraju, organizując tam nigdzie nieuznawane państewko. Naddniestrze istnieje do dziś i paraliżuje wschodnią część Mołdawii.

Ostatni akord „mołdawianizacji", akord jednak zupełnie nieudany, brzmiał jeszcze w XXI wieku. Wtedy to dwa autorytety intelektualno-kulturalne Mołdawii ogłosiły, że język mołdawski istnieje, jest odmienny od rumuńskiego, jak cała mołdawska kultura i historia. W 2003 roku historyk i lingwista Vasile Stati opublikował słownik rumuń-

eprasa.pl aa16717a60

sko-mołdawski. Stati atakuje mocno tych, którzy określenie „język mołdawski" piszą w cudzysłowie, uznając go za język rumuński. „Dyskryminacja lingwistycznego języka mołdawskiego ma na celu wynarodowienie Mołdawian, przekształcenie ich w rumuński tłum, który jutro będzie już głosował za wszystkim, z włączeniem Mołdawii do nowej Wielkiej Rumunii włącznie" – pisał Stati we wstępie. Tymczasem słów różnych w języku rumuńskim i „mołdawskim" znaleziono około stu. To już drugorzędna gwara bardziej się wyróżnia niż język „mołdawski". W 2013 roku Trybunał Konstytucyjny w Moldawii uznał, że językiem państwowym w kraju jest jednak rumuński. „Mołdawski" – nie istnieje.

Wszyscy zresztą wiedzieli, że nazwa języka państwowego w Mołdawii to sprawa polityczna. Jesteś za „językiem mołdawskim"? Głosujesz na partie prorosyjskie. Jesteś za „językiem rumuńskim"? Popierasz Europę i USA. No są ci, którzy nie znali ani jednego, ani „drugiego" , uznawali mołdawski, ale sami go nie znali – do dziś spora część obywateli Republiki Mołdawii mówi tylko po rosyjsku. Statiego poparli nieliczni, o odrębności Mołdawii pisał m.in. faktycznie wybitny pisarz z Mołdawskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej – Ion Druță. Byłby jednak bardziej wiarygodnym autorytetem, gdyby na emeryturze nie przeniósł się na stałe do Moskwy. Tacy to „mołdawscy" patrioci...

Unioniści w kontrze

Wśród działań unionistów można wymienić wiele poważnych przedsięwzięć. Prezydent Rumunii Traian Basescu, proamerykański, twardo prorosyjski, doprowadził na przykład do ułatwionej procedury przyznawania rumuńskiego obywatelstwa mieszkańcom Mołdawii. W kolejkach po ten lepszy, bo przecież też należący do UE, paszport ustawiają się do dziś nawet najbardziej zawzięci „Mołdawianie". Basescu organizował też fundusze dla odnawiania cerkwi prawosławnych po sowieckiej dewastacji, czym życzliwie zapisał się w pamięci członków wielu tamtejszych parafii. Basesci był również NATO-wskim „jastrzębiem", znienawidzonym przez Rosjan, który twardo krytykował separatystyczne Naddniestrze i postulował unię Mołdawii i Rumunii, także ze względów bezpieczeństwa narodowego i odsunięcia rosyjskich wpływów z Europy. Proeuropejski prezydent Mołdawii przyznał mu obywatelstwo mołdawskie, by rok później prorosyjski prezydent Mołdawii mu je odebrał. Po prezydenturze Rumunii Basescu stał się nieoficjalnym patronem wielu środowisk unionistycznych.

Wśród wysokich urzędników idei unionistycznej nie brakuje i obywateli Mołdawii. Anatol Şalaru był ministrem obrony swojego kraju i swoje parcie w stronę NATO łatwo rozciągnął na rzecz połączenia obu krajów. Vlad Bilețchi przedstawia z kolei młode pokolenie (nie ukończył jeszcze 30 lat), a już organizuje tłumy młodzieży na rozmaite rocznice, marsze i patriotyczne przedsięwzięcia, na których z mołdawskiej flagi często wycięty jest herb w kształcie orła – i zostaje wtedy trójkolorowa flaga Rumunii. Unioniści mają swoje pieśni, tańce i uroczystości. W 2018 roku, w marcu, w rocznicę zjednoczenia Besarabii z Wielką Rumunią, zorganizowano ponadtysiącklometrowy marsz z Alba Iulia, przez rumuńskie miasta, aż po Kiszyniów. W stolicy Mołdawii maszerujących witały doprawdy nieprzebrane tłumy, wznoszące okrzyki o „Wielkiej Rumunii", „Trzech kolorach jednej flagi" i zjednoczeniu. W marszu brali udział i obywatele Rumunii, i Mołdawii – przez kilka tygodni marszu i tysiąc kilometrów wspólnej trasy rozmawiali o swoich prywatnych sprawach, polityce, historii – nie było widać żadnej różnicy. To w tych marszach pierwsze szlify polityczne i aktywistyczne zebrał George Simion – dziś lider największej partii opozycyjnej w rumuńskim parlamencie i niedoszły prezydent. Co prawda w maju przegrał wybory, ale nie mając jeszcze 40 lat, a dysponując pokładami energii i pomysłów na dalszą politykę, ma przed sobą ogromne szanse na prezydencki fotel.

Nie ma zatem jednej księgi głównej unionistów, którą można by zacytować, nie ma grona ideologów, którzy wyliczyliby założenia i drogi realizacji swoich celów. A przez lata podróżując po obu krajach, widzę, gdzie bije serce unionistów. W zsowietyzowanej Mołdawii też przecież szeptano, że Rumunia to ich ojczyzna, tylko wcielona do Rosji. Ileż to razy słyszałem od rumuńskojęzycznych (nie rosyjskojęzycznych) Mołdawian, że wpajano im odrębność narodową od Rumunów, ale potem słuchali rumuńskich pieśni, wierszy i przysłów – a wszystko to przecież słyszeli w rodzinnych domach od rodziców, dziadków i krewnych.

Rumuni znaleźli pewną analogię z sytuacją rumuńsko-mołdawską. W 2012 roku przedstawiono ją nawet na uniwersyteckiej debacie. Jedna ze studentek zapytała wtedy niemieckiego ambasadora w Bukareszcie, Andreasa von Mattenheima, czy nie widzi podobieństwa między ich sytuacją a RFN i NRD. Wskazała przy tym, że i w przypadki Rumunii i Mołdawii mogłoby dojść do zjednoczenia. Dyplomata powiedział, że tych dwóch sytuacji nie wolno porównywać. Na szczęście nie on decyduje, co wolno, a czego nie wolno mówić. ■

eprasa.pl aa16717a60



Dorota Matyszkowicz – pielęgniarka w trakcie specjalizacji z opieki paliatywnej. Ukończyła studia podyplomowe z Negocjacji i Mediacji oraz Psychologii Kryzysu i Interwencji Kryzysowej. Obecnie pracuje w poznańskim Hospicjum Palium. Prywatnie mama czwórki dzieci.

Krzysztof Wołodźko



Pielęgniarstwo nie jest dla grzecznych dziewczynek

Dla mnie ważnym punktem odniesienia jest nieustannie Florence Nightingale, „dama z lampą", która od podstaw stworzyła nowoczesne pielęgniarstwo. To nie była egzaltowana paniusia od dobroczynności. To była twarda kobieta, która z bliska widziała grozę, brud wojny i – powiem mocno – bebechy umierających żołnierzy. Widziała też, co trzeba systemowo zmienić, żeby żołnierze mieli znacznie większe szanse na przeżycie. Misja i profesjonalizm w jednym – z Dorotą Matyszkowicz, pielęgniarką w trakcie specjalizacji z opieki paliatywnej, rozmawia Krzysztof Wołodźko.

eprasa.pl aa16717a60

Blisko 25 lat pracuje Pani jako pielęgniarka. W jakich miejscach? Jakie wykonywała pani obowiązki?

25 lat temu dostałam dyplom pielęgniarki. W tym czasie miałam przerwy na wychowywanie dzieci, samej pracy będzie więc około 20 lat. Mam tytuł starszej pielęgniarki. Przez lata albo pracowałam na intensywnej terapii, albo zajmowałam się opieką paliatywną i pracą w hospicjach. Po latach zawodowo zatoczyłam koło: i tak jak na początku swojej drogi pracuję w hospicjum.

To bardzo wymagająca i wypalająca praca?

Musielibyśmy zacząć szalenie ryzykowną rozmowę o tym, czy praca pielęgniarki jest zawodem jak każdy inny, czy powołaniem. Do tej pracy z pewnością trzeba mieć predyspozycje. A przed wypaleniem zawodowym może chronić również to, czy się ją tak po ludzku lubi. Na wypalenie zawodowe składa się wiele czynników związanych z konkretnym miejscem, sprawy osobiste, predyspozycje psychofizyczne. Poczucie sensu wykonywanej pracy, w dobrym zespole medycznym, moim zdaniem ogranicza ryzyko wypalenia.

Nie ukrywam: jestem przed pięćdziesiątką. Widzę koleżanki – pielęgniarki w moim wieku – i wiem, że ryzyko wypalenia zawodowego z czasem rośnie. Martwi mnie jednak co innego: pielęgniarki się starzeją, jest nas coraz mniej. To poważne ryzyko dla całego systemu ochrony zdrowia.

Zaczynała Pani pracę pielęgniarki w momencie, gdy system wyglądał nieco inaczej. Rzadko kto się wtedy martwił, że może was być za mało.

Moje pokolenie pielęgniarek jedną nogą stoi w czasach transformacji, drugą – w epoce dużego technologicznego postępu i lepszych pensji. Mogłoby się wydawać, że po tylu dekadach przemian będziemy mogły w spokoju cieszyć się zmianami na lepsze. To obiecywano nie tylko pacjentom, lecz także nam. Sprawa jest niestety bardziej skomplikowana: z jednej strony bez żalu wspominamy czasy, gdy zarabiałyśmy naprawdę mało, 600 złotych na rękę; z drugiej – wiele z nas jest tak przeciążonych pracą, że nie jest to dobre ani dla nas, ani dla pacjentów.

Dziś pensje w moim zawodzie są porównywalne z francuskimi. Jakiś czas temu dostałam propozycję pracy we Francji, mogłam wybrać północ lub południe. Okazało się, że nie są to płace aż tak różne od polskich. Za to odległość od bliskich znacznie większa.

Plusem jest też to, że dziś nie musicie obijać się za pracą od drzwi do drzwi.

Znam dziewczyny w moim wieku, które zaczynają studia pielęgniarskie, bo wiedzą, że po ich zakończeniu bez trudności znajdą pracę. I to nieźle płatną jak na polskie realia. Gdy kończyłam studia pielęgniarskie, pracy trzeba było szukać. Dziś właściwie wszędzie jest znacznie lepiej – dla nas. Z jednym wyjątkiem.

Jakim?

Mniejsze miejscowości, w których likwidowane są szpitale lub konkretne oddziały szpitalne. Tak jest choćby w wielkopolskim Gostyniu, gdzie mimo protestów mieszkańców zamykane są nierentowne oddziały – ginekologiczno-położniczy i noworodkowy. Wie pan, co powstanie w ich miejscu?

Proszę nie trzymać mnie w niepewności.

Oddział geriatryczny – a przecież badania śmiertelności noworodków i skali powikłań okołoporodowych związanych z odległością do szpitala nie są dla specjalistów wiedzą tajemną.

To mi przypomina historię sprzed dekad z rodzinnej wioski: tam na miejscu zlikwidowanej publicznej szkoły podstawowej stworzono prywatny dom spokojnej starości. Wróćmy do Pani opowieści.

Zarabiamy więcej niż kiedyś. Ale wciąż brakuje pielęgniarek. Motywacja finansowa jest zaspokojona, a jednak nie wystarcza. Przy okazji – dziś nikogo już nie dziwi, że dziewczyny idą do tego zawodu, żeby dobrze zarobić, a nie z powołania.

Czasem powołaniem pielęgniarskim zatykano wam buzię, gdy chciałyście lepszych warunkach pracy i płacy.

Czy da się mówić o pielęgniarstwie bez pytania o powołanie? Pracujemy z ludźmi, z tym, co mają najcenniejsze, nie z przedmiotami.

Pamięta Pani, dlaczego wybrała taki, a nie inny zawód?

Wracamy do powołania pielęgniarskiego lub – jeśli ktoś woli – motywacji zawodowych. Gdy kończyłam liceum, moja babcia umierała na bardzo późno zdiagnozowanego raka. W tamtym czasie myślałam o studiach pedagogicznych. W wielkopolskim Lesznie chyba nie było wtedy onkologii – babcia umierała w domu. Rodzina prywatnie opłacała pielęgniarkę, która przychodziła i wykonywała swoje obowiązki. Zwykle temu towarzyszyłam, siedziałam przy babci, czytałam książki. Ta pielęgniarka niemal w kompletnym milczeniu robiła swoje i wychodziła. Pewnego dnia powiedziała: „W szpitalu tacy ludzie umierają na podłodze, żeby było im łatwiej". Czytałam wtedy mnóstwo literatury z czasów II wojny światowej, miałam w głowie obrazy obozowej śmierci, ludzi skulonych w agonii, opuszczonych. To stwierdzenie niebywale mnie zszokowało, przeraziło – nawet jeśli tamta osoba nie miała złych intencji. Pewnego dnia pielęgniarka nie mogła

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl aa16717a60

przyjść. Na zastępstwie pojawiła się inna osoba. Ta kobieta mówiła do mojej babci, opowiadała jej, co właśnie robi, głaskała ją po buzi, choć staruszka była bez kontaktu. Zapytałam: „Dlaczego pani mówi do mojej babci, choć ona kompletnie nie reaguje?". Odpowiedziała: „Bo to jest człowiek". Byłam nastolatką, bardzo radykalnie patrzyłam na świat. To było jak wskazanie dwóch możliwych dróg podejścia do człowieka. Dziś pewnie byłabym w stanie bronić tej pierwszej pielęgniarki, ale wtedy uznałam, że chcę być w życiu taka, jak ta kobieta, która przyszła na zastępstwo.

Bardzo zmienił się zawód pielęgniarki przez ćwierć wieku?

Medycyna, rozumiana także jako technologia, niesamowicie poszła do przodu. Gdy rozmawiam ze starszymi koleżankami, opowiadają o tym, jak różna pod tym względem była praca z pacjentem, jak skromniejsze środki dotyczące pielęgnacji, uśmierzania bólu, zdrowienia. O takim sprzęcie, który mamy dzisiaj, a który nie odbiega od zachodnich standardów, można było sobie tylko pomarzyć. Nawet jeśli pojawiają się braki w sprzęcie, niedobory leków, to całościowo różnica jest jak między ziemią a niebem.

Ale to nie wyczerpuje naszej pracy. Kiedyś mnie zdumiewało, gdy nagle na praktykach zaczęły pojawiać się osoby, które na studiach w ogóle nie miały kontaktu z żywym człowiekiem. Teraz mnie to już nie dziwi.

Kontakt z człowiekiem przestaje być priorytetem?

Nie chcę przesądzać w tej sprawie. Z całą pewnością w systemie najmocniej liczą się procedury. W naszym zawodzie nie da się jednak uniknąć kontaktu z człowiekiem. Także motywacja będzie decydowała o tym, jakie będzie podejście do pacjentów, kiedy pojawi się wypalenie zawodowe, jak będą przeżywane kryzysy w pracy.

Z daleka może tego nie widać, ale ludzie nie zmieniają się tylko dlatego, że trafiają do szpitala, hospicjum, na oddział ratunkowy. Jedni są złośliwi i egoistyczni, roszczeniowi i lekkomyślni, bez kultury osobistej i higienicznej; drudzy są pogodni, życzliwi, wdzięczni, zadbani i dbający o siebie; płaczą i śmieją się, czują wściekłość, rozpacz, nadzieję, ulgę. Nie da się z tym nie spotkać w naszej pracy, przeciwnie – to jest codzienność. Tacy są pacjenci czy – jak to teraz niekiedy słyszę – klienci.

Moje odczucie jest takie, że aby przyciągnąć młodych na studia pielęgniarskie, jak najmniej im się mówi o tej dramatycznej, tragicznej stronie zawodowych realiów. Żeby tylko nie uciekli. Ale to nie jest dobry sposób, bo w ten sposób wejdą na minę.

Poruszę inny wątek – od jakiegoś czasu spotykam się z matkami dzieci z niepełnosprawnością. Często to kobiety samotnie wychowujące potomstwo. Widzę, jak wielka jest skala wyzwań, z jakimi borykają się na co dzień. I wtedy myślę: „Kto tak naprawdę jest silny w tym systemie? Kto naprawdę musi sam sobie radzić, mając mocno ograniczoną pomoc ze strony państwa i często bardzo niewielkie środki finansowe? Komu powinno się bić w Polsce brawo?". Namawiam jedną z takich matek na studia pielęgniarskie, ona mi mówi: „Ale co ja potrafię, tylko opiekować się swoim dzieckiem". Mówię jej: „Dziewczyno, to naprawdę dobry punkt wyjścia".

Jaka jest rola pielęgniarki w zespole medycznym?

Zacznijmy od tego, że zespoły medyczne także się zmieniły przez te lata.

Dlaczego?

Duża część pielęgniarek pracuje nie na jeden etat, ale na dwa lub trzy etaty. Jest dużo pielęgniarek kontraktowych. To już nie są czasy, gdy pielęgniarka na etacie pracowała całe życie w jednym miejscu, od stażu do emerytury. I to jest problem dla zespołów medycznych – trudniej się konsolidują i integrują. W tej układance często niemal każdemu brak czasu, od lekarza przez pielęgniarkę po ratowników medycznych.

Kiedyś teoria i praktyka pracy zespołowej opierała się na tym, że się dobrze znamy, rozumiemy swoje słabe i mocne punkty, styl pracy lekarzy. To się zmienia, jest bardzo duża rotacja. Dodaj presję czasową – jest praca do zrobienia w takim, a nie innym czasie.

Mówiła Pani o pacjentach traktowanych jak klienci.

To wciąż domena prywatnych placówek.

W czym się przejawia?

W „niewchodzeniu" w historię choroby pacjenta i pacjentki. W medycznych sieciówkach masz limitowany czas na przyjęcie danej osoby. Powiedzmy, że są to punkty pobrań. Jeśli się nie wyrabiasz, bo pacjent jest zdenerwowany lub agresywny, zrobiło mu się słabo, niedosłyszy, bierze leki przeciwzakrzepowe, które powodują, że trudniej pobrać krew, przychodzi przełożona sprawdzić, dlaczego zrobił się zator. Z pretensjami, nie z troski.

I to także jest przyczynek do dyskusji o powołaniu w pielęgniarstwie. Czy możemy o nim wciąż mówić, czy wystarczy się skupić na określonych kompetencjach zawodowych i efektywnym wykonywaniu procedur.

Kolejki są duże, system ma być efektywny, a pacjenci czują się jak intruzi.

Na szczęście nie zawsze tak jest. W opiece paliatywnej i hospicyjnej widzimy człowieka. Mogłabym mocno powiedzieć: dostrzegamy człowieka w systemie dopiero, gdy umiera. Dlatego uważam, że potrzebne jest holistyczne, ca-

eprasa.pl aa16717a60

łościowe podejście do pacjenta. Choruje cały człowiek, a nie tylko ręka, wątroba, głowa. Cierpi całe ciało, cała dusza i psyche; wiele chorób ma złożone podstawy. A w debacie publicznej mówimy o zakontraktowanych przez NFZ usługach.

W opiece paliatywnej staramy się widzieć całego człowieka. Tak było zawsze, tak pracował świętej pamięci prof. Jacek Łuczak, wielki autorytet w tej dziedzinie, który w Poznaniu uczył mnie podstaw tej pracy. Dla niego pacjent był najważniejszy, co dla zespołu medycznego nie było łatwe, ale jasno wskazywało cel. To nie było działanie w stylu: „Mam dla pana / pani pięć minut, proszę jasno powiedzieć, co najbardziej boli, dać mi to zapisać w systemie i do widzenia".

▶ Wróćmy do roli pielęgniarek w zespole medycznym.

Pierwsza rzecz to profesjonalne wykonywanie obowiązków medycznych w granicach określonych zawodem. Gdybym miała to powiedzieć od serca – czasem pielęgniarka jest oczami i uszami pacjenta, czasem jest dla pacjenta tłumaczem języka medycznego; wsparciem; pośrednikiem między nim a lekarzem.

Najłatwiej podać mi przykład z paliatywu – praca na oddziale paliatywnym czy w hospicjum często wiąże się z dużą bliskością z pacjentami. Wiele umierających osób otwiera się na pielęgniarki czy pielęgniarzy. Nie chcę tworzyć sielankowego obrazu. Czasem mówię, że pielęgniarstwo nie jest dla grzecznych dziewczynek [śmiech]. Musimy być stanowcze i zdystansowane w bardzo wielu sytuacjach. Musimy mówić prawdę – w granicach określonych tajemnicą medyczną. Musimy pamiętać, że nie jesteśmy rodziną i bliskimi chorych i umierających. Nie z egoizmu, ale żeby profesjonalnie wykonywać pracę i nie dać się wypaleniu zawodowemu.

Dla mnie ważnym punktem odniesienia jest nieustannie Florence Nightingale, „dama z lampą", która od podstaw stworzyła nowoczesne pielęgniarstwo. To nie była egzaltowana paniusia od dobroczynności. To była twarda kobieta, która z bliska widziała grozę, brud wojny i – powiem mocno – bebechy umierających żołnierzy. Widziała też, co trzeba systemowo zmienić, żeby żołnierze mieli znacznie większe szanse na przeżycie. Misja i profesjonalizm w jednym.

▶ W każdej poważnej rozmowie musi przyjść czas na statystyki. Przygotowany w 2023 roku przez Naczelną Izbę Pielęgniarek i Położnych raport dotyczący tych zawodów wskazuje, że to zawody mocno sfeminizowane. Aktywne zawodowo są najczęściej pielęgniarki w wieku 41–70 lat. W styczniu 2023 roku w Polsce zarejestrowanych było blisko 316 tys. pielęgniarek i około 42 tys. położnych. Ponad 25 proc. pielęgniarek i 30 proc. położnych zarejestrowanych w Izbach Pielęgniarek i Położnych nie pracuje w zawodzie.

To są dane, które chyba dotarły już i do polityków, i do opinii publicznej. Moim zdaniem przybyło nieco pielęgniarzy i mężczyzn – położnych. Także dlatego, że przy obecnym poziomie rozwoju nauk medycznych pielęgniarz nie musi już wykonywać wielu „babskich prac", kojarzonych z intymną pracą opiekuńczą. Mamy też świetnych położnych i część kobiet, mając do wyboru położną i położnego, decyduje się na faceta.

▶ Zahaczyliśmy już o sprawę wypalenia zawodowego. Jaki są objawy?

Przewlekłe zmęczenie, wycofywanie się z pracy, narastająca niechęć do niej. Z moich obserwacji wynika, że starsze pokolenie, moje pokolenie pielęgniarek, nie było uczone tego, by mówić, że jest nam źle. To było bardzo prywatne, kończyło się depresją. Brakowało systemowych i psychicznych bezpieczników, które pozwoliłyby powiedzieć: „Dość, daj sobie odpocząć, zostań w domu".

Jeszcze jedno: proszę pomyśleć o pielęgniarkach, które pracują na dwa, trzy etaty. Jeśli choruje jedna pielęgniarka, zostaje w domu albo sama ląduje w szpitalu, to puste miejsce po niej pojawia się w dwóch, trzech placówkach medycznych. Łatwo w obecnej sytuacji wyobrazić sobie konsekwencje takiego stanu rzeczy. Nie bez powodu pielęgniarki często biorą leki i wracają do szpitala czy przychodni. Ale są coraz starsze. Będą cierpieć na choroby, z których nie będzie już powrotu do pracy. Pielęgniarki – poza paroma wyjątkami – pracują do 60. roku życia. W teorii, bo wiele z nas pracuje również po osiągnięciu wieku emerytalnego.

▶ A jak sobie z tym radzić?

Nie istnieje żaden cudowny przycisk „STOP", który automatycznie chroni każdą z nas przed wypaleniem zawodowym – każda pielęgniarka musi znaleźć własne powody, żeby z tym walczyć.

▶ Kilka lat temu branżowy portal Rynek Zdrowia informował: „Pielęgniarki umierają młodo. Średnia wieku spadła poniżej 62 lat i jest już o dwadzieścia lat niższa niż statystycznej Polki". To przeraża.

A jednak można udawać, że się tego nie wie i nie widzi. To szerszy problem i nie dotyczy tylko naszego zawodu: w dzisiejszym świecie idealny pracownik czy pracownica to osoba, która nie ma małych dzieci, nie choruje, nie potrzebuje regularnego odpoczynku, nie dotykają jej żadne osobiste, paraliżujące również zawodowo problemy. Tylko ilu jest takich ludzi?

▶ Z małymi dziećmi? Coraz mniej.

To absurdalna sytuacja. I szkodliwa.

eprasa.pl aa16717a60

Wracając do pielęgniarstwa: jeśli dziewczyny z moich roczników zaczną masowo odchodzić na emerytury, to ubędzie przynajmniej jedna trzecia osób pracujących w tym zawodzie. Nie pomoże na to nawet praca do samej śmierci. To straszne, że pielęgniarki po przejściu na emeryturę żyją tak krótko, znacznie krócej niż inne kobiety.

Czytałam niedawno pana artykuł o wykluczeniu komunikacyjnym [„Zabierz babci zniżkę. Władza gmera w komunikacji publicznej", „Codzienna", Numer 3929 – 07.05.2025 – przyp. K.W.]. Uświadomiłam sobie, że to również problem pielęgniarek, szczególnie w mniejszych miejscowościach. Tam zostają zwykle osoby mocno zakorzenione, z całymi rodzinami na głowie. Niekoniecznie to ich wybór, czasem życiowa konieczność. One dojeżdżają z domu do pracy i z pracy do pracy w mniejszych ośrodkach. To zabiera czas, paliwo, energię życiową.

Moim zdaniem placówki w wielkich miastach są bardziej popularne, bo szybciej możesz dojechać autem, komunikacją zbiorową czy przejść z jednego szpitala do drugiego. Pielęgniarka, która kończy dyżur dzienny w jednym szpitalu, szybko udaje się do drugiego, który mieści się po drugiej strony ulicy. A czasem ma jeszcze trzecią pracę.

Nietrudno zorientować się, dlaczego taki tryb życia jest dla pielęgniarek wycieńczający, dlaczego – statystycznie – umierają szybciej niż inne kobiety. Co będzie, gdy ta maszyna...

Totalnie się...?

Nie wytrzyma. Były czasy, gdy postulowano: jedna pielęgniarka – jeden etat. Ale to nie przeszło, nie miało prawa przejść, bo system momentalnie pada.

Bardzo ciekawe byłoby sprawdzenie nie tylko, ile jest pielęgniarek aktywnych zawodowo, ale ile jest miejsc pracy, w których znajdują zatrudnienie pielęgniarki. To by urealniło wiedzę na temat funkcjonowania publicznej, komercyjnej, prywatnej ochrony zdrowia.

Filozofia publiczna jest taka: trudno, jakoś trzeba z tym żyć.

Albo i nie żyć.

Zna Pani starsze i młodsze od siebie pielęgniarki i pielęgniarzy. Widzi Pani różnice w ich podejściu do zawodu?

O starszych już mówiłam. Młodsi rzeczywiście bardziej uważają na to, jak są traktowani, bardziej pilnują swoich potrzeb. Znacznie więcej uwagi – wedle moich obserwacji – zwracają na procedury. Pielęgniarkom z mojego pokolenia mówiono: „To przecież twoje powołanie!", i to miało załatwić każdy problem. Znacznie młodsze pielęgniarki chyba częściej potrafią powiedzieć: „Nie zrobię, nie przyjdę, mam urlop"; częściej nie chcą pracy na dwa etaty. Często jeszcze nie myślą o dzieciach, nie mają kredytu na mieszkanie.

Pytanie, czy to deklaracje, czy rzeczywistość. Presja finansowa też robi swoje.

Zarobki są dziś lepsze w pielęgniarstwie. Przed trzydziestym rokiem życia możesz dostać 10 tys. złotych na rękę. Żeby było jasne – to nie są pieniądze za darmo, to trudna praca, wymagająca coraz lepszych kwalifikacji. Zwrócę uwagę na jeszcze jedną rzecz: procedury, konsekwencje prawne błędów czy zaniechań w naszej pracy.

To coraz większe wyzwanie?

Tak. I młodsze pielęgniarki są na to bardziej wyczulone: albo znają przepisy prawa, albo błyskawicznie potrafią wyszukać co trzeba.

Jakiś przykład?

Bywało, że praktyka wyglądała tak, iż lekarz mówił: „Proszę iść podać pacjentowi taki a taki lek, a ja to później wpiszę w zlecenie". Młodsi mówią, że jeśli nie będzie zlecenia w karcie, to tego leku nie podadzą. Nas też tak uczono, ale z realiami było różnie.

Delikatna sprawa.

To się wiązało z tym, o czym już była mowa: niegdyś zespoły medyczne były bardzo trwałe, świetnie się znały. Znałyśmy lekarzy od bardzo ludzkiej strony, ich nawyków, zachowań, sposobu pracy. I odwrotnie. Dziś w wielu miejscach o to trudniej, nie tylko dlatego, że personel medyczny jest zarobiony, jest też większa rotacja w pracy, młodsi – mam wrażenie – są bardziej zdystansowani do całego otoczenia w miejscach pracy.

Pacjenci bardzo często narzekają dziś, że lekarze, czy szerzej – personel medyczny, nie mają dla nich czasu. Jak to wygląda z Pani perspektywy?

Coraz mniej (coraz bardziej przepracowanego) personelu, coraz więcej rzeczy do zrobienia. Coraz większa ostrożność w wykonywanych obowiązkach, bo ciężar odpowiedzialności prawnej jest duży. No i doskwiera nowy czynnik – lęk przed pacjentem. To są mniej lub bardziej głośne sprawy – agresja wobec medyków.

Obawia się Pani tego?

Martwię się, że doprowadzi to do znacznie większego wycofania ze strony personelu medycznego. I nie myślę o tym, że zdenerwowany, starszy, schorowany pacjent nagle wtargnie do gabinetu. Mówię o przemocy zagrażającej zdrowiu i życiu personelu medycznego albo osób postronnych.

eprasa.pl aa16717a60

Przez lata jeździłam na konferencje dotyczące ratownictwa medycznego albo konferencje z udziałem ratowników medycznych. Wtedy uświadomiłam sobie, jak bardzo niebezpieczna jest ich praca. Uczono ich, że gdy wchodzą do mieszkania, z którego było wezwanie, jeden ratownik powinien zająć się pacjentem, drugi sprawdzić dom. Zdarzały się sytuacje, gdy ratownicy zajmowali się osobą, do której wezwano karetkę, a w pomieszczeniu obok czekał ktoś z nożem.

Zabójstwo ortopedy w kwietniu w Szpitalu Uniwersyteckim w Krakowie pokazuje, że to zjawisko może się rozszerzać, dotarło już przecież do renomowanych placówek. System nie jest przygotowany ani na naprawdę agresywnego pacjenta, ani na potencjalnego napastnika. Paliatyw, w którym teraz pracuję, jest pierwszym miejscem, które posiada przycisk alarmowy. Dotychczas na żadnym z oddziałów, które poznałam, a nie pracuję rok czy dwa lata w ochronie zdrowia, nie spotkałam takich zabezpieczeń.

Jako personel medyczny mamy pełne prawo do bezpieczeństwa, a zagrożenie samo zaczyna pukać do naszych drzwi. To jest ostatni moment, żeby coś z tym zrobić, dla dobra nas wszystkich.

▶ Kiedy to zaczęło narastać?

To mogły być czasy pandemii. Pamiętamy akcje klaskania medykom, ale mniej się mówiło o rosnącej frustracji i agresji ludzi, często kierowanej właśnie przeciw pracownicom i pracownikom ochrony zdrowia. Nie każdy ma świadomość, jak często w czasie pandemii medykom rysowano samochody.

Boję się tego, że im więcej w ochronie zdrowia będzie rutyny, coraz mniejsza uważność wobec pacjenta, traktowanie go wręcz jako intruza czy numeru w procedurach – tym większa będzie niechęć i złość wobec nas. To jest droga donikąd, bo nie postawisz policjanta czy ochroniarza na każdym szpitalnym korytarzu.

▶ Tym bardziej, że ochroniarz pewnie będzie na emeryturze lub rencie.

Spotkanie z ochroną zdrowia zdarza się ludziom na ogół w kryzysowych sytuacjach. Trudno o silniejszy wyzwalacz emocji. Na wejściu pojawia się lęk, smutek, złość. Jako pielęgniarka ukończyłam studia podyplomowe z psychologii kryzysu i interwencji kryzysowej, stąd widzę też szerszy kontekst. Z badań wynika, że często sam kontakt z „białym personelem" jest dla chorego stresujący, a co dopiero sytuacja, gdy zagrożone jest jego życie czy zdrowie. My tych emocji często nie widzimy. A dla pacjentów są czymś niezwykle ważnym, są częścią ich życia, mają wpływ na ich kondycję. A przecież naprawdę świadome podejście do medycyny zakłada całościową wiedzę o pacjentach. Podam mocny, ale znamienny przykład. Gdy przed laty pracowałam w hospicjum Krakowie, w jednym ze szpitali był specjalny oddział dla pacjentów po niemieckich obozach koncentracyjnych. Uważano, że personel dla pacjentów po silnych traumach powinien być zupełnie inaczej przygotowany. Tego typu sprawy trzeba brać pod uwagę. W bardzo różnych kontekstach. Niestety, w Polsce kobiety, które są po poronieniach, leżą na salach z matkami, które szczęśliwie urodziły. [załamuje się głos]

▶ Niemal cała dyskusja o emocjach, samostanowieniu, podmiotowości pacjentów w ochronie zdrowia koncentruje się na medialnych sprawach. Takich jak aborcja. To politycznie gra, polaryzuje, świetnie się klika. Ale pacjent w systemie ochrony zdrowia to przecież także cierpienie, samoświadomość, całe życie człowieka, który dowiaduje się o chorobie nowotworowej; przeżywa nagłą śmierć osoby bliskiej i widzi wokół siebie znieczulicę; człowieka, który wręcz obelżywie traktowany jest na SOR albo słyszy sarkanie personelu medycznego, gdy czeka w długiej kolejce do pobrania krwi. To się dzieje, wpływa na postrzeganie systemu, lecz jest prawie niewidzialne w mainstreamowej debacie publicznej.

Nie zmienimy systemu za tych, którzy mają największe możliwości jego kształtowania. Myślę, że my jako personel medyczny musimy odrobić lekcję ze złych i dobrych emocji. Także z własnej bezradności wobec cierpienia pacjentów. W Polsce niedomaga miękka medycyna, jesteśmy bardzo zhierarchizowani, pryncypialni wobec tych, którzy przychodzą ze swoimi obawami i chorobami. Nie jesteśmy tacy tylko wobec pacjentów – czasem samych siebie traktujemy jak automaty, skupione na efektywności w wykonywaniu procedur.

Schemat jest szerszy: protesty pielęgniarek często kończą się tak, że dostajemy jakieś podwyżki i pada pytanie: „Czego wy jeszcze chcecie, dostałyście pieniądze". To jak z tą żoną, którą wciąż boli głowa. Ale mąż nigdy nie pyta, dlaczego właściwie tak jest. [śmiech]

Pracuję w opiece paliatywnej. Doskonale wiem, że bliscy osób, które umierają, często są wdzięczni po prostu za to, że jesteśmy przy odchodzących, że pośredniczymy w tym systemie między lekarzami, umierającymi a nimi. Naprawdę chciałabym mieć pewność, że gdy kiedyś skończę pracę zawodową, na moje miejsce będzie dość osób, by pracować z pacjentami. Bo to mnie obchodzi, obchodzi mnie ten zawód, los ludzi. Ale chciałabym mieć też czas dla siebie, na własne życie. To jasne, że nikt nie płaci mi za „dobre serduszko", ale za kompetencje i godziny pracy. Ale w tym się mój zawód nie wyczerpuje.

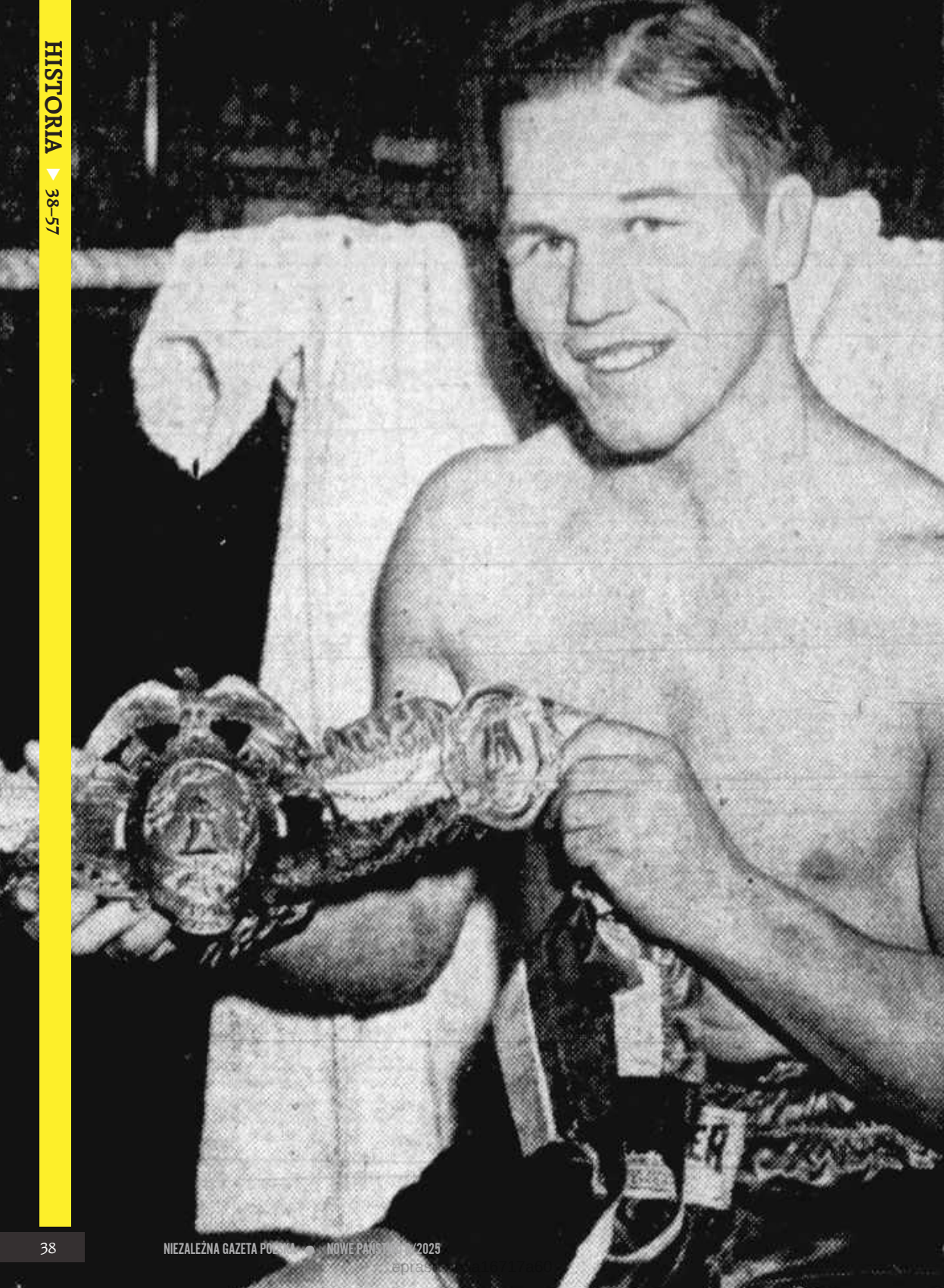
▶ Miękka medycyna to jaka?

Taka, która ma emocje.

▶ Nie wiem, na ile by to wycenił NFZ.

Bo to bezcenne. ■

eprasa.pl aa16717a60



Piotr Lisiewicz



Człowiek ze stali. Historia polskiego boksera z Ameryki

Człowiek ze stali, bohater Ameryki, mistrz świata w boksie w wadze średniej. Uczestnik walk, które przeszły do historii światowego boksu, występujący w kultowych filmach. Tony Zale, czyli Antoni Florian Załęski, którego rodzice wywodzili się z Mokrej Wsi koło Starego Sącza, choć urodził się w USA, przez całe życie czuł się polskim patriotą, antykomunistą, który odmawiał przyjazdu do PRL, bo nie ufał komunistycznym władzom. Po skończeniu kariery uczył boksu swoich następców w Organizacji Młodzieży Katolickiej. Ostatnio w sprawę odnalezienia jego skradzionych trofeów zaangażował się Mike Tyson.

FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl aa16717a60

Jest tylko jeden sposób, żeby z nim wygrać. Trzeba go zabić" – powiedział o nim jego wielki rywal, inny mistrz świata Rocky Graziano. W 2008 roku stacja ESPN wybrała 10 najbardziej emocjonujących bokserskich trylogii w dziejach. Numerem jeden okazały się nieprawdopodobne walki stoczone przez Muhammada Alego i Joego Fraziera. Numerem dwa – pojedynki Graziano z Zale'em. „Kiedy Zale uderzał mnie w brzuch, miałem wrażenie, że moje ciało przeszywa rozżarzony pogrzebacz" – wspominał kolejny mistrz świata w tej samej kategorii Billy Soose.

Byliśmy biedni, ale trzymaliśmy poziom

Antoni Florian Załęski urodził się w 1913 roku w Gary, w stanie Indiana, gdzie został ochrzczony. Antek był szóstym dzieckiem Józefa i Katarzyny Załęskich, imigrantów z Mokrej Wsi koło Starego Sącza. Rodzice przybyli do Ameryki dwa lata wcześniej, w 1911 roku, w ramach wielkiej fali galicyjskiej emigracji zarobkowej z przełomu XIX i XX wieku. Początkowo mieszkali w Chicago, aby ostatecznie osiedlić się we wspomnianym Gary, mieście słynącym z przemysłu metalurgicznego. W jednej z tamtejszych stalowni znalazł bowiem pracę ojciec Antka, Józef.

Gdy Antek miał niecałe 3 lata, przeżył niewyobrażalną tragedię – jego ojciec zginął, jadąc na rowerze, potrącony przez samochód. Jechał po leki dla chorego Antka. „Po śmierci ojca Tony reagował na każdego mężczyznę przejeżdżającego rowerem. Wystarczyło, że zobaczył kogoś takiego na ulicy, by po chwili krzyczeć do mamy i rodzeństwa: »Tata wraca!«. Wszyscy mówili mu, że ojciec nie może wrócić do domu, bo jest w niebie. Kiedy podrósł, poznał okoliczności wypadku. Czuł się winny i to miało wpływ na jego charakter. Podobne wyrzuty sumienia dręczyły też starszego brata – a mojego ojca – Józefa, który usunął hamulce z roweru – wspominał Thad Zale, bratanek słynnego boksera, na portalu TVP Sport. Jak pisał autor artykułu Kacper Bartosiak, siódemką dzieci musiała zacząć rządzić twardą ręką matka. „Byliśmy biedni, ale dzięki niej trzymaliśmy poziom. Była dla nas matką i ojcem w jednym" – opowiadał po latach sam Tony. Był nieśmiały, więc gdy matka zabierała go do ludzi, to w panice chował się za nią. Tę nieśmiałość przełamać miał boks.

Pod egidą Związku Narodowego Polskiego

Dla rodziny odejście ojca wydawało się wyrokiem. Starsze rodzeństwo przyszłego boksera musiało podjąć pracę w stalowniach w bardzo wczesnym wieku. On sam, gdy miał kilkanaście lat, naukę łączył z dorabianiem w hucie.

Dwaj jego starsi bracia w wolnym czasie amatorsko trenowali boks w lokalnym klubie działającym pod egidą Związku Narodowego Polskiego. Antek poszedł w ich ślady. Jako 15-latek stoczył swą pierwszą walkę. Występował w wadze lekkiej, a później w półśredniej i średniej. Jego talent bokserski ujawnił się szybko. W sumie stoczył 95 amatorskich walk, z których aż 87 wygrał, w tym ponad połowę przez nokaut.

Niewiele brakowało, by pojechał wówczas na igrzyska olimpijskie. W 1931 roku 18-latek w krajowych kwalifikacjach doszedł do finału. Ostatnim rywalem był Carmen Barth. „Tony został uderzony przez niego głową, a narożnik nie potrafił sobie poradzić z krwawieniem. Rana nie dała się zamknąć. Barth wygrał walkę i poleciał na igrzyska, gdzie zdobył złoty medal" – wspominał bratanek Zale'a.

Tony zamiast Antoniego

W 1934 roku, w wieku 21 lat, postanowił porzucić pracę w hucie i rozpocząć karierę zawodowego boksera. To wtedy został Tonym Zale. Jak pisze Bartosiak, „chcąc zrobić karierę w boksie stanął przed podobnym wyborem, co kilkanaście lat wcześniej Stanisław Kiecal. Jego nazwisko w oryginalnej wersji było również nie do przyjęcia – wymagało wersji zrozumiałej dla przeciętnego Amerykanina. Dlatego Stanisław stał się Stanleyem Ketchelem, a Antoni Tonym Zalem". Jak stwierdza autor, pięściarskie początki Zale'a nie miały wiele wspólnego z „american dream": „Najpierw boks był odskocznią od katorżniczej pracy. Tony podpatrywał starszych braci. Poświęcił się nowej pasji, bo miał naturalny dryg. W ringu znikała jego chorobliwa nieśmiałość". Cztery razy triumfował w lokalnych zawodach Golden Gloves.

Jak pisze James B. Lane w książce „City of the Century: A History of Gary, Indiana", ówczesny menedżer Zale'a nie był rzetelnym promotorem. Ponad możliwości eksploatował on młodego zawodnika. W samym tylko okresie od czerwca do grudnia 1934 roku kazał mu walczyć w aż… 21 pojedynkach. Przez to Zale często walczył przemęczony i z niezaleczonymi kontuzjami. W efekcie w następnym roku przegrał trzy walki z rzędu – dwie przed czasem i jedną na punkty. Wtedy zniechęcił się do występów na ringu. „Stryj uważał, że był źle prowadzony. Nikt o niego nie dbał. W 1935 roku powiedział: dość i wrócił do huty. Wygarniał popiół z wnętrza wielkich pieców. Podejmował się każdej ciężkiej roboty, bo zauważył, że taka praca poprawia muskulaturę i wytrzymałość. Harował tak półtora roku" – opowiadał Thad Zale w TVP Sport.

11 razy na deskach

Do zawodowego boksu Tony powrócił w 1937 roku. To wtedy przeprowadził się do Chicago, gdzie nawiązał współpracę ze znakomitym menedżerskim duetem w osobach Sama Piana, który odpowiadał za

eprasa.pl aa16717a60

finanse i sprawy organizacyjne, oraz trenera Arta Wincha. Winch doprowadził kilka lat wcześniej innego słynnego chicagowskiego boksera żydowskiego pochodzenia Barneya Rossa do potrójnego mistrzostwa świata. Pod opieką Wincha Zale poprawił znacznie technikę.

„W 1938 roku rozochoconego Zale'a powalił Jimmy Clark (15-8) – do niedawna jeden z najlepszych amatorów w kraju, który nie wiadomo dlaczego nie wrócił z medalem igrzysk olimpijskich w Berlinie. Tony przegrał z nim przez nokaut już w pierwszej rundzie – po prostu nadział się na mocny cios i nie zdążył dojść do siebie. To miało miejsce w lutym, ale w czerwcu Zale zrewanżował się Clarkowi, by w październiku rozstrzygnąć trylogię na swoją korzyść. W trzeciej walce rywal lądował na deskach aż jedenaście razy przez niecałe pięć minut!" – pisze Kacper Bartosiak.

Zaczął wygrywać z coraz bardziej wymagającymi rywalami i piąć się w rankingach. W 1939 roku wygrał siedem walk z rzędu, w tym sześć przed czasem. Był już wówczas notowany w pierwszej dziesiątce wagi średniej na świecie.

„Człowiek ze stali"

Wielki przełom w karierze Zale'a dokonał się na początku 1940 roku, gdy Pianowi udało się zakontraktować towarzyską walkę z Alem Hostakiem, mistrzem świata w wersji National Boxing Association. Hostak, notabene Czech z pochodzenia, legitymował się imponującym bilansem zawodowych walk 51-2-8. Był więc zdecydowanym faworytem. Walka odbyła się 29 stycznia 1940 roku w Chicago. Rozpoczęło się od ataków Hostaka, który w pierwszej i piątej rundzie doprowadził do ciężkich nokdaunów Polaka. Zale jednak wytrzymał napór rywala i od szóstej rundy zaczął dominować, głównie dzięki świetnym seriom ciosów na korpus. I ostatecznie wygrał walkę przez jednogłośną decyzję sędziów. Stał się bohaterem mediów. Jego wytrzymałość i nieprawdopodobna odporność na ciosy w połączeniu z jego robotniczym pochodzeniem i pracą przy produkcji stali spowodowały, że po tej walce został ochrzczony przez prasę „Człowiekiem ze stali" (Man of Steel). „Miało to podwójne znaczenie, Zale pochodził z miasta słynącego z produkcji stali, a przy tym był twardy jak stal, o czym przekonało się wielu jego rywali" – pisał Zbigniew Marszałek w polonijnym „Kurierze Plus".

Pojedynek z Hostakiem miał niby jedynie rangę towarzyskiego, więc Czech zachował mistrzostwo świata NBA. Niemniej Zale miał w przypadku swojego zwycięstwa zagwarantowane w kontrakcie prawo do drugiej walki, której stawką miał być tytuł mistrza świata.

Mistrz świata

Dlatego 19 lipca 1940 roku doszło w Seattle do rewanżu. A w nim Zale przeważał od samego początku. W połowie walki Hostak miał już tak zapuchnięte oczy, że ledwie mógł cokolwiek widzieć. Leżał na deskach w dziewiątej i 12. rundzie. Po jego trzecim nokdaunie w 13. rundzie sędzia przerwał pojedynek i ogłosił techniczny nokaut. Zale został nowym mistrzem świata NBA w wadze średniej!

Zaledwie miesiąc później Zale stoczył towarzyską walkę z kolejnym mistrzem świata – Billym Soose'em. Mimo że Zale w pierwszych rundach miał przewagę, ostatecznie przegrał wyraźnie na punkty. Dziewięć miesięcy później Soose został mistrzem świata NYSAC. Zale stoczył natomiast w Chicago dwie walki w obronie swojego mistrzostwa NBA. Najpierw w lutym 1941 roku znokautował w 14. rundzie Steve'a Mamakosa, a potem w maju potrzebował niecałych dwóch rund, aby uporać się po raz trzeci z Hostakiem.

Tymczasem Soose przeszedł do wagi półciężkiej, pozostawiając mistrzostwo NYSAC nieobsadzone. Stworzyło to szansę na unifikację mistrzostwa świata w wadze średniej. NBA i NYSAC porozumiały się co do pretendenta – został nim Georgie Abrams. Pięściarz ten w przeszłości trzykrotnie pokonał niedawnego mistrza Billy'ego Soose'a.

Walka pomiędzy oboma bokserami została rozegrana 28 listopada 1941 roku w nowojorskiej hali Madison Square Garden, w obecności ponad 10 tys. widzów. Abrams dobrze rozpoczął, powalając w pierwszej rundzie ciosem sierpowym Zale'a. Począwszy od trzeciej rundy Polak z pochodzenia przejął inicjatywę, obijając korpus słabnącego przeciwnika. Abrams chciał jeszcze odwrócić losy walki w ósmej rundzie, gdy kolejnym sierpowym w szczękę zachwiał Zale'em. Ten przełamał kryzys i już do końca pojedynku kontrolował sytuację. Ostatecznie Zale wygrał przez jednogłośną decyzję. Był zdaniem korespondenta „The New York Times" lepszym w 11 z 15 rund i został mistrzem świata.

Sława nie przewróciła mu w głowie

„Zale to jeden z najtwardszych i najlepiej bijących w korpus zawodników, jakich kiedykolwiek spotkałem w ringu. Gdybym nie był dziś w życiowej formie, to skończyłbym rozbryzgany na macie. Po pierwszej rundzie wróciłem do narożnika i pomyślałem: »Łatwizna! Zaraz wygram przez nokaut i będę mistrzem świata kategorii średniej!«. W drugiej sytuacja się odwróciła, a w trzeciej po rozcięciu przestałem cokolwiek widzieć" – mówił Abrams zaraz po porażce.

Jak mówił bratanek, sława nie przewróciła Zale'owi w głowie. „Kiedy został mistrzem i ludzie zaczęli rozpoznawać go na ulicy, to często się nie przyznawał. »Nie je-

eprasa.pl aa16717a60

stem Tonym Zalem – on jest dużo twardszy ode mnie«" – mawiał. Niektórzy chcieli się z nim bić na ulicy, ale on nie szukał przygód i deklarował, że bije się tylko w ringu. „Nie potrzebował uwagi świata. Był pokornym człowiekiem wielkiej wiary, który nie pił ani nie palił. W najlepszych czasach oferowano mu reklamowanie papierosów Marlborough i piwa Pabst Blue Ribbon, ale nigdy nie chciał, by jego nazwisko kojarzyło się z czymś tak szkodliwym. Nie zmieniło się to nawet wtedy, gdy potem potrzebował pieniędzy. Do końca pozostał pozytywnie usposobiony" – opowiadał Thad Zale w TVP Sport. W 1942 roku ożenił się z Adelaine, z którą miał dwie córki – Mary Aline i Therese Louise.

Ochotnik do marynarki. „Od czasu napaści Niemiec na Polskę żył wojną"

Atak na Polskę we wrześniu 1939 roku był ciosem także dla rodziny Zaleskich. Gdy Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny, Tony zgłosił się do armii na ochotnika. „Japończycy zaatakowali Pearl Harbor, w reakcji na co Stany Zjednoczone przystąpiły do II wojny światowej. Zale od czasu napaści Niemiec na Polskę żył wojną. Teraz zgłosił się na ochotnika do marynarki wojennej. Służył w niej do jesieni 1945 roku w roli instruktora zaprawy fizycznej. Przez wojnę stracił jednak cztery lata kariery w najlepszym sportowym momencie. Nie trafił na front – był instruktorem przygotowania fizycznego młodych rekrutów. Zyskał jednak godnego rywala" – pisze Kacper Bartosiak.

Tym rywalem był awanturnik Thomas Rocco Barbarella, który dostał powołanie do armii, ale zbiegł z niej po… zaatakowaniu przełożonego. W konsekwencji odbył karę pozbawienia wolności i został wydalony z armii. Po wyjściu na wolność Barrbarella jako Rocky Graziano zaczął robić zawodową karierę pięściarską. Po kilku zwycięstwach odwiedziła go… wojskowa delegacja, Graziano bojąc się aresztu, znów uciekł. Ale zgłosił się z powrotem po kilku dniach.

„Z tym wojskiem to dziwna sprawa – Graziano po latach wyznał, że zgłosił się do armii tylko po to, by uniknąć aresztu. Pod względem charakteru był przeciwieństwem Zale'a" – pisze Kacper Bartosiak. „Ukradłem w życiu wszystko, co dało się unieść" – przyznawał po latach Graziano. Według Bartosiaka kradzieże, bójki i rozboje to była norma w życiu harcownika, który według historyka boksu Berta Sugara „miał na twarzy mapę Nowego Jorku". W ringu Rocky ufał sile swojej niesamowitej prawej pięści. Nie przejmował się tym, że rywal zadał mu osiem ciosów, bo wiedział, że jedno jego uderzenie może zakończyć walkę w dowolnym momencie.

Historyczne walki z Graziano

W połowie 1946 roku Graziano miał już na koncie 54 zawodowe walki, z czego 43 wygrane (w tym 23 przed czasem). Tylko w 1945 roku zanotował sześć zwycięstw z rzędu przez nokaut, w tym nad Alem „Bummym" Davisem, Haroldem Greenem oraz dwukrotnie Freddym Cochrane-'em – ówczesnym mistrzem świata w wadze półśredniej. Pierwsza jego walka z tym ostatnim została uznana przez magazyn „The Ring" pojedynkiem roku. Pozycję pretendenta do tytułu Graziano ugruntował na początku 1946 roku, gdy rozprawił się w niecałe dwie rundy z Martym Servo, przyszłym mistrzem kategorii półśredniej.

Menedżerowie Zale'a zgodzili się na walkę z Graziano, jednak wcześniej zafundowali swojemu zawodnikowi sześć walk towarzyskich. Zale wygrał wszystkie przez nokaut. Do słynnej walki o mistrzostwo świata doszło 27 września 1946 roku na nowojorskim Yankee Stadium, w obecności około 40 tys. widzów. Zale bronił tytułu, ale bukmacherzy upatrywali faworyta w Graziano. Wynikało to z faktu, że Polak miał już 33 lata i potencjalnie najlepsze lata kariery stracił, służąc w marynarce wojennej. Ponadto dopiero co wyzdrowiał po przebytym zapaleniu płuc, z którego to powodu pojedynek został przełożony o dwa tygodnie. Graziano był 9 lat młodszy i nieprzerwanie od trzech lat toczył walki na najwyższym poziomie.

Początek pojedynku należał jednak do obrońcy tytułu, który wykorzystał manierę rywala do opuszczania gardy, powalając go lewym sierpowym w szczękę. Graziano powstał jednak szybko i w końcówce rundy przypuścił żywiołowy kontratak, w wyniku którego Zale nie był w stanie o własnych siłach trafić do swojego narożnika. Potem było jeszcze gorzej. Dwie następne rundy stały już pod znakiem całkowitej dominacji pretendenta. Zale był liczony, jego twarz była porozbijana, a prawy kciuk złamany. W piątej rundzie był znów na krawędzi nokautu. Sędzia ringowy Ruby Goldstein był w tym momencie bardzo bliski podjęcia decyzji o zakończeniu walki. W szóstej rundzie Graziano, nie dbając zupełnie o obronę i chcąc w końcu znokautować przeciwnika, podkręcił tempo i zaczął bić ciężkie ciosy. Ale wtedy stało się niemożliwe: odporność i doświadczenie Zale'a wzięły górę. Przeczekał napór i niespodziewanie wyprowadził kombinację prawy sierpowy w korpus – lewy sierpowy w głowę. Trafiony nią Graziano bezwładnie osunął się na deski. Mimo że z trudem zdołał dźwignąć się na nogi, został wyliczony przez sędziego, po raz pierwszy w swojej karierze przegrywając przed czasem! Według Nata Fleischera, redaktora naczelnego „The Ring", była to najbardziej dramatyczna walka bokserska od czasów pojedynku Dempseya z Firpo. Obaj pięściarze otrzymali w ramach wynagrodzenia rekordową sumę 78 890 dolarów. Gdy Zale powrócił do Gary, był witany przez 30-tys. tłum i otrzymał od władz symboliczne klucze do miasta.

16 lipca 1947 roku w hali Chicago Stadium doszło powszechnie oczekiwanego rewanżu. Był on nie mniej zacięty i brutalny niż pierwsza walka, ale toczony w znacznie gorszych warunkach – wewnątrz hali panował zaduch,

eprasa.pl aa16717a60

temperatura sięgała prawie 50°C. Tym razem to Zale miał przewagę w pierwszych rundach – w trzeciej Graziano był liczony, a w piątej miał już porozcinaną twarz i całkowicie zapuchnięte prawe oko. Mimo to w szóstej rundzie zadał Zale'owi kilkanaście silnych ciosów, po których ten zaczął się chwiać. Wyczerpany Zale upadł na kolana, z głową wysuniętą za liny. Arbiter Johnny Behr liczył tylko do dwóch, po czym – uznając, że Załęski nie będzie się już w stanie bronić – ogłosił nokaut. Zale i jego kibice kwestionowali później tę decyzję, uważając ją za przedwczesną. Behr w słynnych słowach odpowiedział: „Chcieliście, żebym dopuścił do morderstwa?".

Przez kolejne pół roku Zale nie walczył, po czym w krótkim czasie stoczył trzy wygrane przed czasem pojedynki, w tym z pretendującym do walki o mistrzostwo Lou Woodsem. Zapewniło mu to prawo do kolejnej walki z Graziano i szansę odzyskania mistrzostwa. Ostatnia konfrontacja odbyła się 10 czerwca 1948 roku na Ruppert Stadium w Newark. Od pierwszego gongu zdecydowaną przewagę uzyskał Zale, szybko doprowadzając do nokdaunu mistrza. Graziano próbował kontratakować w drugiej rundzie, jednak nie przyniosło to efektu. W trzeciej rundzie Zale odzyskał inicjatywę i po raz drugi powalił rywala. Graziano wstał, ale był zamroczony. Wkrótce potem Zale wyprowadził nokautującą kombinację: lewy sierpowy w wątrobę – prawy sierpowy w szczękę, po której obrońca tytułu upadł nieprzytomny na plecy i ze wstrząśnieniem mózgu został odwieziony do szpitala. Zale okazał się tym samym pierwszym od czasów rodaka Stanleya Ketchela niekwestionowanym czempionem wagi średniej, któremu udało się odzyskać mistrzostwo.

Walki Zale'a z Graziano, które można dziś obejrzeć na YouTube, uznawane są powszechnie za jedną z najlepszych i najbardziej dramatycznych trylogii w historii zawodowego pięściarstwa. Warto podkreślić, że mimo zaciekłej rywalizacji obaj pięściarze darzyli się wzajemnym szacunkiem, a potem nawet się zaprzyjaźnili.

Zawsze podkreślał swoje polskie korzenie

21 września 1948 roku Zale stanął do obrony odzyskanego tytułu. Zmierzył się w Jersey City z mistrzem Europy, Marcelem Cerdanem. Równo z gongiem kończącym 11. starcie został trafiony lewym sierpowym, po którym upadł na kolana. Został zawleczony do narożnika przez sekundantów, ale nie był już w stanie walczyć. Stracił mistrzostwo świata i wkrótce potem, mając 35 lat, zakończył pięściarską karierę.

Po jej zakończeniu uzyskał licencję sędziego ringowego. W latach 1949–1970 uczył boksu w Organizacji Młodzieży Katolickiej. W 1956 roku został zaangażowany do filmu „Między linami ringu", opowiadającym o życiu Rocky'ego Graziano. Miał w nim zagrać siebie samego. Podczas zdjęć przypadkowo… znokautował odtwarzającego rolę Graziano Paula Newmana. W 1951 roku rozpadło się pierwsze małżeństwo Zale'a. Ożenił się powtórnie w 1970 roku – z Philomeną, byłą zawodową baseballistką, pierwszą kobietą w historii, która grała zawodowo w baseball w Lidze Amerykańskiej.

Mimo że urodził w USA, uważał się za Polaka, mówił i pisał po polsku, był aktywny w środowisku amerykańskiej Polonii, gościł u siebie sportowców z Polski. Zbigniew Marszałek pisał o tym: „Polacy w USA cieszą się z rodaka, jest ich dumą. Zale zawsze podkreśla swoje polskie korzenie, znakomicie zna język polski, świetnie mówi i pisze po polsku… W latach 60. był kilkukrotnie zapraszany przez różne instytucje społeczne do kraju, jednak będąc nieufnym wobec komunistycznych władz odmawiał przyjazdu".

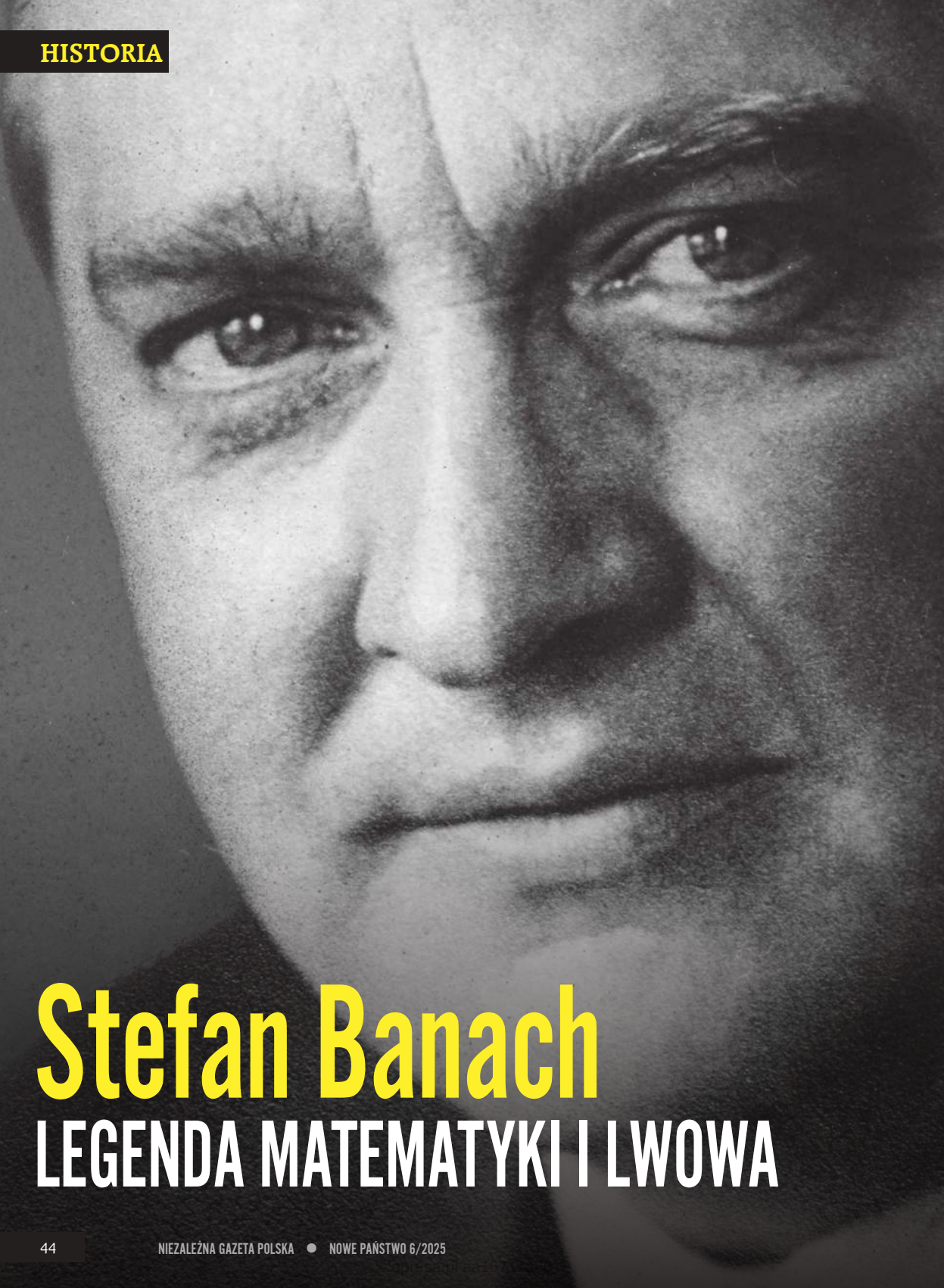
Mike Tyson i skradzione trofea

Ameryka uhonorowała go wiele razy. Marszałek pisał: „W czerwcu 1991 r. Zale [został] wprowadzony do Międzynarodowego Bokserskiego Hallu Sławy (głosują dziennikarze piszący o boksie). Miałem okazję być na tej uroczystości, spędzić trochę czasu z nim i jego żoną. Już wtedy był na wózku inwalidzkim – częściowo sparaliżowany. Nie mógł rozmawiać, nie mógł chodzić. Bardzo troskliwie opiekowała się nim żona Philomena. W pewnym momencie Zale po cichu powiedział mi do ucha po polsku: »Nazywałem się Antoni Załęski«. Chciałem kontynuować rozmowę, ale widziałem, że mówienie sprawia mu wielką trudność. Natomiast wiele rozmawiałem z jego żoną, wspaniałą kobietą. Kiedy powiedziałem, że bardzo czule opiekuje się mężem, odpowiedziała: »On kiedyś bardzo ciężko pracował, utrzymywał całą rodzinę, niczego nam nie brakowało, był bardzo dobry dla nas. Nigdy, nigdzie go nie oddam«".

Zale cierpiał na chorobę Parkinsona. Philomena Zale zmarła w 1992 roku. Jak pisze Marszałek, „[…] po śmierci żony, Zale potrzebował specjalnej opieki, dlatego też ostatnie pięć lat przebywał w nursing home. Od tamtego czasu nie pokazywał się publicznie, 20 marca 1997 r., dzienniki sportowe doniosły, że w Portage w stanie Indiana zmarł w wieku 83 lat były mistrz świata w boksie Tony Zale, jeden z najlepszych zawodników w historii boksu zawodowego". „Zapamiętajmy go nie tylko jako znakomitego boksera, ale także jako wspaniałego Polaka i patriotę" – pisał ze wzruszeniem.

W listopadzie 2015 roku z Galerii Bokserskich Sław w Canastocie ukradziono cztery oryginalne mistrzowskie pasy – Carmena Basilio i Tony'ego Zale'a. Kilka miesięcy później Mike Tyson wyznaczył nagrodę za pomoc w odnalezieniu trofeów. W 2023 roku postawiono zarzuty dziewięciu osobom od lat kradnącym pamiątki sportowe i artystyczne. ■

eprasa.pl aa16717a60



Stefan Banach
LEGENDA MATEMATYKI I LWOWA

Dariusz Jarosiński



Matematyczny geniusz uwielbiał tańczyć, bawić się, biesiadować, był wiernym kibicem piłkarskiej drużyny Pogoń Lwów. Bardziej niż zaszczyty cenił możliwość pracy naukowej i odkrywanie prawd matematycznych. Potrafił skupić wokół siebie podobnych zapaleńców, przyjaciół i uczniów, potrafiących zgodnie współpracować. Nie znosił nudnych narad, zebrań. Gdy dostawał zaproszenie na jakieś posiedzenie, mówił: „Wiem, gdzie nie będę".

FOT. NAC

Ożywczy powiew wolności intelektualnej pojawił się we Lwowie w pierwszej połowie XIX wieku za sprawą artystów i literatów. Tutaj żyli i tworzyli znakomici twórcy polskiej literatury, m.in.: Aleksander hrabia Fredro, Seweryn Goszczyński, Leopold Staff, Jan Kasprowicz, Gabriela Zapolska, Maria Konopnicka. To oni stworzyli atmosferę fermentu umysłowego kresowego miasta. Lwów był obok Krakowa drugą stolicą Młodej Polski.

Twórczy ferment dotarł też do sal wykładowych, gabinetów Uniwersytetu, który od listopada 1919 roku nosił imię założyciela tej uczelni – króla Jana Kazimierza, a w którym wykładali uczeni o światowej renomie: Stefan Banach, Rudolf Weigl, Eugeniusz Romer, Roman Ingarden, Kazimierz Twardowski, Jan Czekanowski. Lwowski uniwersytet był trzecim pod względem znaczenia i osiągnięć naukowych po Uniwersytecie Warszawskim i Uniwersytecie Jagiellońskim w odrodzonej Polsce.

Lwowski Kopernik

W mowie inaugurującej rok akademicki 1919/1920 rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, prof. Alfred Halban, mówił m.in.: „Nie bylibyśmy godni opieki, jaką nas otacza społeczeństwo kresowe, gdybyśmy choćby na chwilę zapomnieli, że w tym przedmurzu, jakim dla Europy były zawsze kresy polskie, jesteśmy placówką ważną. Ta świadomość musi i naszej pracy naukowej nadawać kierunek właściwy". Pamiętajmy, że od 1 listopada 1918 do 17 lipca 1919 roku toczyły się polsko-ukraińskie walki o Lwów.

To tutaj, we lwowskiej uczelni powstały środowiska wybitnych uczonych, które przeszły do historii nauki pod nazwami: lwowska szkoła antropologiczna, lwowsko-warszawska szkoła filozoficzna, lwowska szkoła matematyczna. Tej ostatniej szkoły, matematycznej, najwybitniejszym przedstawicielem był niewątpliwie Stefan Banach. Uznawany za geniusza przez wielu historyków nauki. Lwów, za sprawą m.in. wspomnianego Banacha oraz Hugona Steinhausa, Stanisława Ulama i Stanisława Mazura, stał się stolicą światowej matematyki. Lwowska szkoła matematyczna zasłynęła na świecie przede wszystkim ze swojego wkładu w dział analizy funkcjonalnej.

W opinii wybitnego uczonego, Jana Czekanowskiego, wkład Banacha w rozwój światowej nauki jest znacznie większy niż Marii Skłodowskiej-Curie, dwukrotnej laureatki nagrody Nobla. Podobne zdanie mają zachodni historycy nauki. Profesor Roman Duda, matematyk, były rektor Uniwersytetu Wrocławskiego, uważa że „w pewnym sensie waga jego dokonań porównywalna jest z odkryciami Kopernika. Banach odkrył i zdefiniował nowy typ przestrzeni. Ten typ przestrzeni został

16717a60

później nazwany »przestrzenią Banacha« i stał się podstawowym pojęciem matematyki w XX wieku". Odkrycia lwowskiego matematyka mają zastosowanie w naukach przyrodniczych, przemyśle, medycynie.

O wkładzie polskiego matematyka w rozwój światowej nauki tak mówił Per Henrik Enflo, pochodzący ze Szwecji jeden z najwybitniejszych matematyków dwudziestego stulecia, profesor Uniwersytetu Stanowego Kent w USA: „Stworzył ramy, na których opiera się obecnie świat cyfrowy. […] Wykorzystanie metod i technik matematycznych, jakie stworzył Banach, umożliwia skomplikowane obliczenia komputerowe przydatne na przykład w pracach nad sztuczną inteligencją, w finansach czy w projektowaniu wieżowców. […] Technologie stosujące metody Banacha dopiero zaczynają się rozwijać".

Stefan Banach nigdy nie był zainteresowany formalnym wykształceniem, zaliczył jedynie dwa lata studiów, i to nie matematycznych, a na Wydziale Inżynierii Politechniki Lwowskiej; można powiedzieć, że był samoukiem; mimo to został asystentem w katedrze matematyki prof. Antoniego Łomnickiego na Politechnice Lwowskiej, a pierwszym uzyskanym przez niego tytułem naukowym był od razu doktorat na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Ponieważ nie interesowały go tytuły naukowe, na obronę doktoratu został zwabiony podstępem.

Matematyczny geniusz uwielbiał tańczyć, bawić się, biesiadować, był wiernym kibicem piłkarskiej drużyny Pogoń Lwów. Bardziej niż zaszczyty cenił możliwość pracy naukowej i odkrywanie prawd matematycznych. Potrafił skupić wokół siebie podobnych zapaleńców, przyjaciół i uczniów, potrafiących zgodnie współpracować. Nie znosił nudnych narad, zebrań. Gdy dostawał zaproszenie na jakieś posiedzenie, mówił: „Wiem, gdzie nie będę". Miejscem spotkań lwowskich matematyków uczynił kawiarnię „Szkocką" przy palcu Akademickim. W kawiarnianym zgiełku, tytoniowym dymie, przy wybornym piwie lwowskim, zdaniem smakoszy najlepszym w przedwojennej Polsce, stawiane były problemy, nazywane problematami, i rozwiązywane. Wszystkie działania zapisywano ołówkiem na marmurowych blatach stołów. Gdy dobrze matematykom się myślało, dyskutowało, potrafili spędzić w kawiarni nawet kilkanaście godzin. W związku z tym, że ważne przemyślenia znikały następnego dnia pod ścierką pani sprzątającej, zaczęto zapisywać je w zeszycie, zwanym Księgą Szkocką.

Stefan Banach pozostawił po sobie 58 publikacji, wśród nich podręczniki akademickie i szkolne. Z jego nazwiskiem związane są m.in. takie pojęcia, jak: algebra Banacha, przestrzeń Banacha, twierdzenie Hahna–Banacha, twierdzenie Banacha–Steinhausa, paradoks Banacha–Tarskiego. Banach jest po Euklidesie najczęściej cytowanym matematykiem, a jego nazwisko widnieje na tablicy upamiętniającej matematyków wszech czasów w chicagowskim Museum of Science.

Potomek górali

Stefan Banach urodził się 30 marca 1892 roku w Krakowie. Pochodził z nieformalnego związku; jego matką była prosta dziewczyna, Katarzyna Banach, a ojcem Stefan Greczek, krakowski urzędnik. Oboje rodzice pochodzili z góralskich rodzin z podhalańskich wiosek.

Wczesny okres dzieciństwa spędził chłopiec w Ostrowsku pod Nowym Targiem u babki Antoniny Greczek, matki ojca. Kiedy babka zachorowała, Stefan Greczek oddał syna do rodziny zastępczej, jego wychowaniem zajmowała się właścicielka krakowskiej pralni, Franciszka Płowa. Matki nigdy nie poznał; o tym, kim była, dowiedział się dopiero, gdy miał 51 lat, z listu ojca w roku 1943, na dwa lata przed śmiercią. Stefan Greczek założył swoją rodzinę, ale utrzymywał kontakt z synem, łożył na niego pieniądze; ich relacje były poprawne, aczkolwiek bez jakichś czułości. Jak wynika ze wspomnień rodzinnych, Greczek był człowiekiem religijnym, oczytanym, znał język niemiecki, łacinę.

Rodzina Franciszki Płowej mieszkała przy ulicy Podwale 14, sąsiadem i przyjacielem rodziny był Juliusz Mien, Francuz od kilkudziesięciu lat mieszkający w Polsce, pisarz, tłumacz literatury polskiej, fotografik. Mien miał duży wpływ na wychowanie, rozwój intelektualny Stefana, chłopiec darzył go zaufaniem i autorytetem. Stefan już we wczesnym dzieciństwie znał świetnie język francuski, czym wyróżniał się później na międzynarodowych kongresach. Juliusz Mien figurował w dzienniku szkolnym Stefana jako jego opiekun, a po śmierci w 1905 roku do dziennika został wpisany jako opiekun ojciec, Stefan Greczek. Dodajmy, że Stefan Banach nigdy nie miał kompleksów z powodu swego urodzenia, nigdy też nie narzekał na swój los. Franciszkę Płową, opiekunkę, traktował jak swoją matkę.

Stefan po ukończeniu szkoły powszechnej uczęszczał do Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza. Z zachowanych wspomnień kolegów szkolnych dowiadujemy się, że Stefan był pogodnym chłopcem, wyróżniającym się dużą kulturą osobistą. Poza matematyką niewiele przedmiotów go interesowało. Już w gimnazjum zarabiał pieniądze, udzielając młodszym kolegom korepetycji z matematyki, kolegom z klasy pomagał bezinteresownie. Matematykę traktował jak najlepszą zabawę, rozrywkę intelektualną.

Najbliższym szkolnym kolegą Stefana był Witold Wilkosz, podobnie jak on wybitny umysł; miał wyjątkową zdolność szybkiego myślenia, uczenia się, miał hopla na punkcie matematyki. Dla obydwu, Stefana i Witolda, nie było w szkole zadania, którego by nie rozwiązali. Wilkosz swobodnie posługiwał się językiem francuskim,

eprasa.pl aa16717a60

niemieckim, łaciną, greką, w trzy godziny potrafił opanować esperanto. Przyjaźń Wilkosza i Banacha trwała także po maturze. Wilkosz studiował sanskryt, hebrajski i inne języki wschodnie w Bejrucie, studiował też matematykę w Turynie i w Krakowie; był profesorem matematyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Nie podzielił losu profesorów UJ zamordowanych przez Niemców w roku 1939, jednak zmarł wcześnie, bo w 1941 roku.

Największe odkrycie Hugona Steinhausa

W czerwcu 1910 roku Stefan zdał egzamin maturalny. Okres 10 lat jego życia po otrzymaniu świadectwa maturalnego jest mało znany, kryje w sobie wiele luk, zagadek. Na studia nie było go stać, ale też chyba nie miał sprecyzowanych planów, co dalej robić. Przez jakiś czas pracował w księgarni, dużo czytał i oczywiście zajmował się matematyką; słuchał też wykładów prof. Stanisława Zaremby na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zapisał się na Politechnikę Lwowską, gdzie studiował na Wydziale Inżynierii Lądowej. Na utrzymanie zarabiał korepetycjami, statystował też w operze lwowskiej – tańczył mazura w „Halce", nosił byka w „Carmen". Późną wiosną 1914 roku zdał egzamin przed „cesarsko-królewską komisją dla egzaminów państwowych" i otrzymał tzw. półdyplom. Zaliczył dwa lata studiów i to była cała jego formalna edukacja po maturze.

Kilka miesięcy po wybuchu I wojny światowej wyjechał do Krakowa, gdzie przez jakiś czas pracował jako nadzorca robotników przy budowie dróg. Nadal dużo czytał, studiował książki francuskich matematyków, udzielał korepetycji. Gdy do Krakowa powrócił jego przyjaciel, Witold Wilkosz, który przerwał studia w Turynie, odnowiła się ich przyjaźń. Spotykali się niemal codziennie i jak dawniej, w gimnazjum, zgłębiali matematyczne problemy, dyskutowali. Do Stefana i Witolda dołączył trzeci nieprzeciętny umysł, Otto Nikodym, absolwent studiów matematycznych na Uniwersytecie Lwowskim, nauczyciel matematyki w krakowskim gimnazjum.

W lipcowy wieczór 1916 roku Stefan i Otto siedzieli na ulubionej ławce na Plantach i zawzięcie dyskutowali. Traf chciał, że przechodził obok nich doktor Hugo Steinhaus, który tak wspominał tamto spotkanie po latach: ,,Idąc letnim wieczorem 1916 roku wzdłuż Plant usłyszałem rozmowę, a raczej tylko kilka słów: wyrazy »całka Lebesgue'a« były tak nieoczekiwane, że zbliżyłem się do ławki i zapoznałem z dyskutantami: to Stefan Banach i Otto Nikodym rozmawiali o matematyce. Powiedzieli mi, że mają jeszcze trzeciego kompana, Wilkosza. Tę trójkę łączyła nie tylko matematyka, ale i beznadziejność sytuacji młodych ludzi w twierdzy, jaką był wówczas Kraków, niepewność jutra, brak sposobności do pracy zarobkowej i brak kontaktu nie tylko z uczonymi zagranicznymi, ale nawet z polskimi – taka była atmosfera krakowska 1916 roku. Ale to nie przeszkadzało owej trójce przesiadywać w kawiarni i rozwiązywać zagadnienia w tłoku i zgiełku – Banacha hałas nie odstraszał, a nawet (nie wiadomo dlaczego) wybierał stoliki blisko orkiestry".

„Odkrycie Banacha było moim największym odkryciem" – zwykł był mawiać prof. Steinhaus. Nie wiadomo, jak dalej potoczyłyby się losy Stefana, gdyby nie to spotkanie na Plantach. Steinhaus był o pięć lat starszy od Banacha, pochodził z zamożnej rodziny żydowskiej, miał już ugruntowaną pozycję w świecie naukowym, był po doktoracie z matematyki. To on wprowadził Banacha w środowisko naukowe. W 1918 roku wspólnie opublikowali artykuł naukowy. W niedługim czasie po odzyskaniu przez Polskę niepodległości Banach znalazł się w gronie współzałożycieli Polskiego Towarzystwa Matematycznego. Pozycję wybitnego matematyka zyskał bardzo szybko w środowisku naukowym dzięki publikacjom swoich prac w czasopismach naukowych. Kiedy Steinhaus uzyskał habilitację, został profesorem i objął katedrę matematyki na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, zarekomendował prof. Antoniemu Łomnickiemu z Politechniki Lwowskiej młodszego kolegę. Profesor Łomnicki nie zważając na to, że Banach nie ukończył studiów, zatrudnił go jako swego asystenta w Katedrze Matematyki Wydziału Mechanicznego. Początkowo Banach mieszkał i stołował się u swojego profesora. Córka profesora Łomnickiego, Irena Wachlowska, wspominała po latach: „Banach prawdopodobnie nocował w gabinecie ojca. Mieszkał u nas niedługo – może kilka miesięcy, zanim nie urządził się we Lwowie. Ubrany był nader skromnie: w pocerowanym garniturze, w połatanych butach. Pozostawił wrażenie miłego, nie przeszkadzającego domownikom pana. Moja matka Władysława lubiła literaturę i miała dużo książek. Banach czasami pożyczał coś do czytania. Matka dziwiła się, że tak szybko czyta i świetnie pamięta szczegóły z przeczytanej lektury".

O roku ów!

Rok 1920 okazał się być ważny nie tylko dla Polski, bo był to rok zwycięskiej wojny z bolszewikami, lecz także przełomowy w życiu młodego uczonego lwowskiego. W sposób nietypowy, niemający precedensu, zdobył tytuł doktora. Ksiądz prof. Andrzej Turowicz wykładał na Politechnice Lwowskiej w tym samym czasie co Banach, podzielił się swoimi wspomnieniami, jak to wyglądało: ,,Banach nie tylko nie skończył studiów, ale i doktorem został w sposób dość niezwykły. Gdy rozpoczął pracę we Lwowie, był już autorem wielu doniosłych rezultatów i wciąż uzyskiwał kolejne. Jednak na uwagi, że powinien wkrótce przedstawić pracę doktorską, odpowiadał, że ma jeszcze czas i może wymyślić coś lepszego, niż to, co osiągnął do tej pory. W końcu więc zwierzchnicy Bana-

eprasa.pl aa16717a60

cha zniecierpliwili się. Ktoś spisał najnowsze rezultaty jego pracy, co zostało uznane za znakomitą pracę doktorską. Przepisy jednak wymagały również egzaminu. Pewnego dnia zaczepiono Banacha na korytarzu Uniwersytetu Jana Kazimierza: »Czy mógłby pan wpaść do dziekanatu, są tam jacyś ludzie, którzy mają pewne problemy matematyczne, a pan na pewno potrafi im wszystko wyjaśnić«. Banach udał się zatem do wskazanego pokoju i chętnie odpowiedział na wszystkie pytania, nieświadom tego, że właśnie zdaje egzamin doktorski przed komisją specjalnie w tym celu przybyłą z Warszawy".

Banach był częstym gościem rodziny prof. Steinhausa i przy okazji odwiedzin poznał Łucję Braus, która zdobyła jego serce. Dnia 19 września 1920 roku, w krakowskim kościele Na Piasku, należącym do ojców Karmelitów, Stefan Banach poślubił Łucję Braus. Świadkiem na ślubie pana młodego był Witold Wilkosz. Łucja Braus była sekretarką, stenotypistką, pracowała m.in. w kancelarii Władysława Steinhausa, kuzyna profesora. Po ślubie młoda para zamieszkała w gmachu uniwersytetu przy ulicy św. Mikołaja. Miesiąc miodowy spędzili nowożeńcy w zakopiańskiej willi „Gerlach" należącej do rodziny Leona Chwistka, kolegi matematyka, który bardziej jest znany jako teoretyk sztuki, filozof, artysta malarz, przyjaciel Witkacego. W 1922 roku przyszedł na świat jedyny syn małżeństwa Banachów, który otrzymał imię po dziadku i po ojcu – Stefan. Banach junior ukończył studia medyczne i był cenionym lekarzem chirurgiem.

W czerwcu 1922 roku, w wieku 30 lat, Banach habilitował się i został powołany na kierownika II Katedry Matematyki Wydziału Matematyczno-Fizycznego Uniwersytetu Jana Kazimierza. Funkcję kierownika katedry pełnił do 1939 roku. W 1924 roku Polska Akademia Umiejętności powołała Banacha na swojego członka korespondenta. W roku akademickim 1924/1925 otrzymał roczny, płatny urlop naukowy i wyjechał do Paryża jako stypendysta Rządu RP.

Przy kawiarnianym stoliku

Wokół Stefana Banacha i wydawanego przez niego pisma „Studia Mathematica", sztandarowego czasopisma lwowskiej szkoły matematycznej, poświęconego analizie funkcjonalnej, skupiła się liczna grupa młodych matematyków, która w krótkim czasie stała się silnym ośrodkiem intelektualnym, zwanym lwowską szkołą matematyczną. Należeli do niej m.in.: Stefan Kaczmarz, Juliusz Schauder, Władysław Nikliborc, Herman Auerbach, Władysław Orlicz, Zygmunt Birbaum, Stanisław Mazur, Stanisław Ulam. W większości byli oni wychowankami Uniwersytetu Jana Kazimierza i jako najzdolniejsi studenci jeszcze w czasie studiów albo tuż po ich ukończeniu, znajdowali zatrudnienie na uczelni w charakterze asystentów.

Jest takie powiedzenie, że umysły wybitne pobudzają innych ludzi do wybitnych osiągnięć, i tak właśnie się działo we Lwowie. Na miejsce spotkań lwowskich matematyków Stefan Banach wybrał kawiarnię „Szkocką" położoną niedaleko Uniwersytetu przy placu Akademickim. Banach źle się czuł w profesorskim gabinecie, bardziej odpowiadała mu atmosfera lwowskiej kawiarni. Hugo Steinhaus raczej nie był entuzjastą takiej formy pracy naukowej, ale nie sprzeciwiał się temu.

Najważniejszy stolik tworzyli Stefan Banach, Stanisław Mazur i Stanisław Ulam. Ulam, uczeń Banacha, od 1935 roku robiący karierę naukową w USA, tak opowiadał o sesjach w „Szkockiej": „Stoły kawiarniane były pokryte płytami marmurowymi, na których można było pisać ołówkiem, i co ważniejsze, szybko ścierać. W naszych matematycznych rozmowach częstokroć słowo lub gest bez żadnego dodatkowego wyjaśnienia wystarczały do zrozumienia znaczenia. Czasem cała dyskusja składała się z kilku słów rzuconych w ciągu długich okresów rozmyślania. Widz siedzący przy innym stole mógł zauważyć nagłe krótkie wybuchy konwersacji, napisanie kilku wierszy na stole, od czasu do czasu śmiech jednego z siedzących, po czym następowały okresy długiego milczenia, w czasie których tylko piliśmy kawę i patrzyliśmy nieprzytomnie na siebie. Tak wytworzony nawyk wytrwałości i koncentracji, trwającej czasami godzinami, stał się dla nas jednym z najistotniejszych elementów prawdziwej pracy matematycznej […]. Sądzę, że te wielogodzinne kawiarniane dyskusje z Banachem, a częściej z Banachem i Mazurem, były czymś unikalnym. Nigdzie i nigdy nie zdarzyło mi się nic, co by przewyższało, dorównywało lub choćby zbliżało się do skali i natężenia naszej ówczesnej współpracy – z wyjątkiem być może Los Alamos w latach wojny". Stanisław Ulam opowiadał, że najdłuższa sesja trwała 17 godzin.

Z czasem zamiast na blatach stołów działania zapisywano w zeszycie, który przeszedł do historii jako Księga Szkocka. Za rozwiązanie matematycznego problemu ustanowione zostały nagrody. Ostatniego zapisu w Księdze dokonano w maju 1941 roku, ostatnią zaś nagrodę, żywą gęś, otrzymał w 1972 roku matematyk, prof. Per Enflo. Fundatorem nagrody był prof. Stanisław Mazur, który 36 lat wcześniej zapisał zadanie w Księdze Szkockiej.

Jako dopełnienie swojej działalności dydaktycznej Banach zaczął pisać podręczniki akademickie. Pisał też wspólnie z Włodzimierzem Stożkiem i Wacławem Sierpińskim podręczniki do szkół średnich. Publikacje te miały zaradzić trudnej sytuacji materialnej Banacha w owym czasie. Profesor Hugo Steinhaus napisał: „Banach umiał pracować zawsze i wszędzie. Nie był przyzwyczajony do wygód i nie potrzebował komfortu, więc pensja profesorska powinna mu była wystarczyć. Ale zamiłowanie do życia kawiarnianego i zupełny brak mieszk-

eprasa.pl aa16717a60

czańskiej oszczędności oraz regularności w sprawach codziennych wpędziły go w długi, a w końcu w sytuację bardzo trudną. Chcąc z niej wyjść, zabrał się do pisania podręczników".

Sława o genialnym polskim matematyku dotarła i za ocean. Profesor Banach trzykrotnie był namawiany do wyjazdu do USA i podjęcia pracy w zespole prof. Norberta Wienera, matematyka, ojca cybernetyki, później współtwórcę komputera. W jego imieniu przyjeżdżał na rozmowy do Lwowa prof. John von Neumann, amerykański matematyk węgierskiego pochodzenia. Po raz ostatni przyjechał w 1937 roku. Wręczył Banachowi czek z propozycją dopisania do cyfry „1" takiej liczby zer, jaką zechce. Banach, mimo kłopotów finansowych, odrzucił propozycję i odpowiedział, że „To za mało, by opuścić Polskę i Lwów".

Stanisław Ulam, uczeń Banacha, skorzystał z zaproszenia i wyjechał do USA. Po wojnie trafił do amerykańskiego ośrodka badań jądrowych w Los Alamos i brał udział w projekcie „Manhattan", czyli budowy bomby atomowej. Stosując innowacyjne metody matematyczne, dowiódł m.in., że koncepcja obrana przez kierownika projektu budowy bomby była błędna, a następnie zaproponował własne rozwiązanie, które doprowadziło przedsięwzięcie do sukcesu; później pracował nad stworzeniem napędu nuklearnego do rakiet kosmicznych.

Ulam wyjechał do USA, ale utrzymywał bliski kontakt z rodzinnym Lwowem, ostatni raz odwiedził Lwów latem 1939 roku. Zachowane listy Stefana Banacha do Ulama świadczą o nieprzerwanej współpracy obu uczonych aż do wybuchu II wojny światowej.

Ostatni taki pogrzeb we Lwowie

23 września 1939 roku zaczęła się okupacja Lwowa przez Sowietów. Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie i Politechnika Lwowska zostały zamknięte, ale już w listopadzie 1939 roku uruchomiono w ich miejsce uniwersytet ukraiński. Stefan Banach oraz jego współpracownicy podjęli tam pracę.

Od 30 czerwca 1941 do 27 lipca 1944 roku Lwów okupowali Niemcy. Już w lipcu 1941 roku Niemcy rozstrzelali wielu polskich profesorów, m.in. matematyków: Łomnickiego, Stożka z synami, Bartla i zamknęli uczelnie, bo według nich „Polacy nie zasługują na wyższe wykształcenie". Uczniowie Banacha pochodzenia żydowskiego trafili do obozu w Bełżcu. Banach, podejrzewany o przemyt marek niemieckich, został aresztowany przez Niemców i przez kilka tygodni przebywał w więzieniu.

Od jesieni 1941 do końca marca 1944 roku Banach razem z synem Stefanem oraz kolegami – Barańskim, Knasterem i Orliczem – pracowali w Instytucie Badań nad Tyfusem Plamistym i Wirusami prof. Rudolfa Weigla. Z wszy karmionych ludzką krwią uzyskiwano masę bakteryjną, z której następnie produkowano szczepionkę przeciwko tyfusowi plamistemu. Szczepionka robiona była dla Niemców, dla armii niemieckiej, ale była też przemycana do polskiego podziemia i getta.

Choć praca ta była wyniszczająca, miała też dobre strony, karmiciele otrzymywali większe przydziały żywnościowe, a legitymacja z Instytutu Weigla pozwalała w miarę bezpiecznie przetrwać okupację.

Jak wspominał Zdzisław Ruziewicz, po wojnie profesor Politechniki Wrocławskiej: „Istniał stół, przy którym wszy skarmiali humaniści, i stół, gdzie siedzieli karmiciele zajmujący się naukami ścisłymi. Banach siadywał przy jednym stole z Bronisławem Knasterem i nawet, zdaje się, prowadzili tutaj rozmowy matematyczne. Około dwóch tysięcy przedstawicieli lwowskiej inteligencji karmiło wszy". Karmicielami wszy byli m.in. poeta Zbigniew Herbert, aktor Andrzej Szczepkowski.

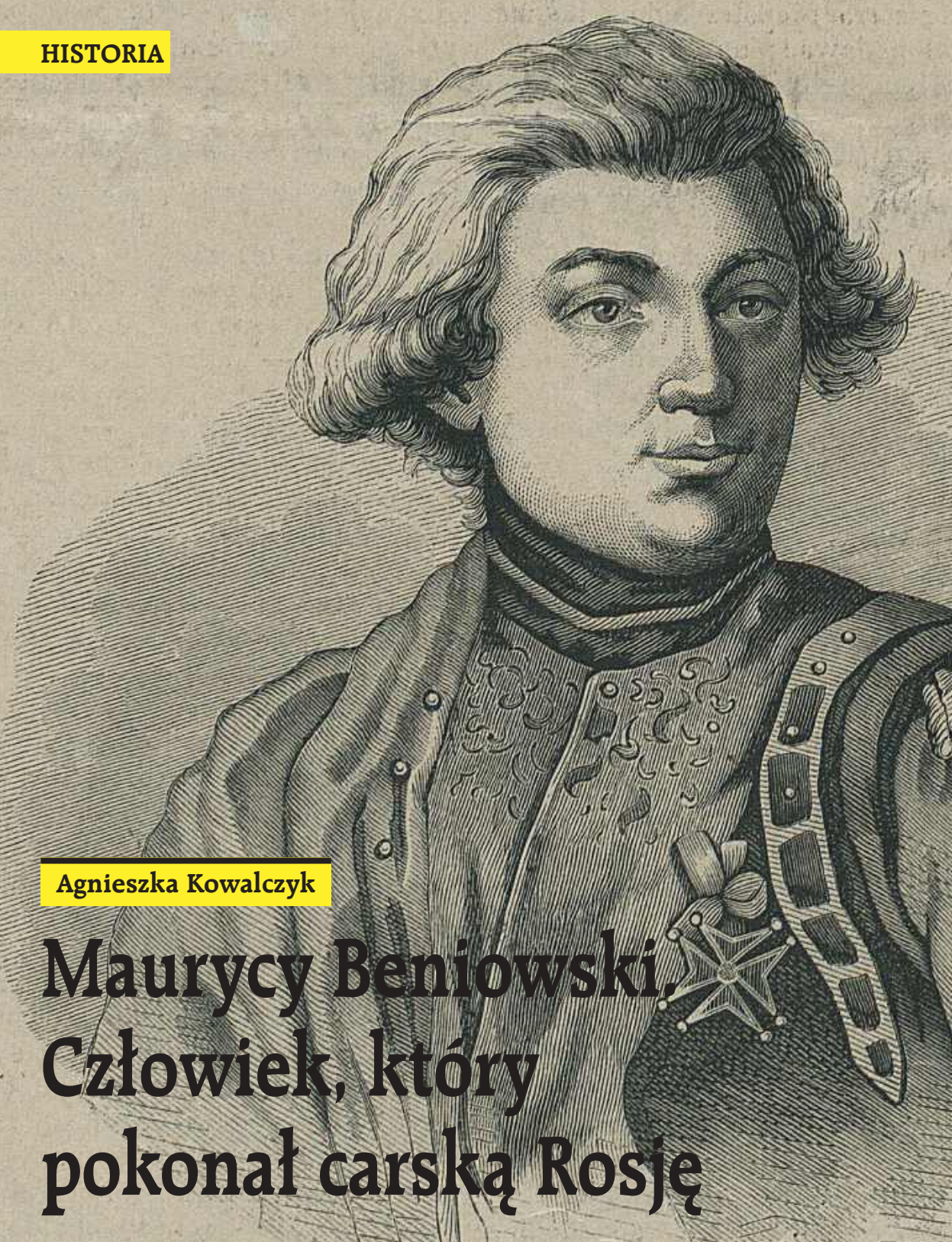
Tak mówił Banach w 1945 roku w czasie przesłuchania przez sowieckich urzędników o niemieckiej okupacji: „Do dzisiejszego dnia nie mogę bez dreszczu wspominać tego strasznego czasu. [...] Bez przesady mogę powiedzieć: z każdym świtaniem umieraliśmy. Jedynym wytchnieniem w naszym życiu był sen. Te liczone godziny, kiedy każdy z nas zmęczony i poderwany ohydną pracą naszą, przenosił się w daleki świat zainteresowań naukowych, który zapadł się w przeszłość, przestał dla nas istnieć z przyjściem Niemców".

W 1944 roku, po zajęciu Lwowa przez Sowietów, Stefan Banach powrócił na uczelnię. Przeniósł się z żoną Łucją do jednego z mieszkań państwa Riedlów przy ulicy Dwernickiego 12.

Przez cały rok akademicki 1944/1945 Banach aktywnie pracował naukowo. Wiosną 1945 roku ujawnił się nowotwór płuc – nic dziwnego, matematyczny geniusz palił nawet pięć paczek papierosów dziennie. Latem 1945 roku stan zdrowia Banacha gwałtownie się pogorszył. Nie tracił jednak nadziei na wyjście z choroby, zamierzał skorzystać z propozycji i objąć katedrę matematyki na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.

Śmierć przyszła 31 sierpnia 1945 roku o godzinie siódmej wieczorem. Lwowski uczony miał zaledwie 53 lata. Pogrzeb odbył się 3 września, kondukt pogrzebowy wyruszył z ulicy Dwernickiego w kierunku Starego Gmachu Uniwersytetu Jana Kazimierza przy ulicy św. Mikołaja, gdzie odbyła się uroczystość żałobna, a stamtąd na Cmentarz Łyczakowski. Tam żegnało go 16 mówców. Banach został pochowany w grobowcu rodzinnym Riedlów. „Był to ostatni oficjalny pogrzeb katolicki w mieście z przejściem konduktu przez miasto (z księdzem!). Stało się to na życzenie mojej Matki, a władze sowieckie w tym wypadku były potulne" – wspominał Stefan Banach junior. ■

eprasa.pl aa16717a60

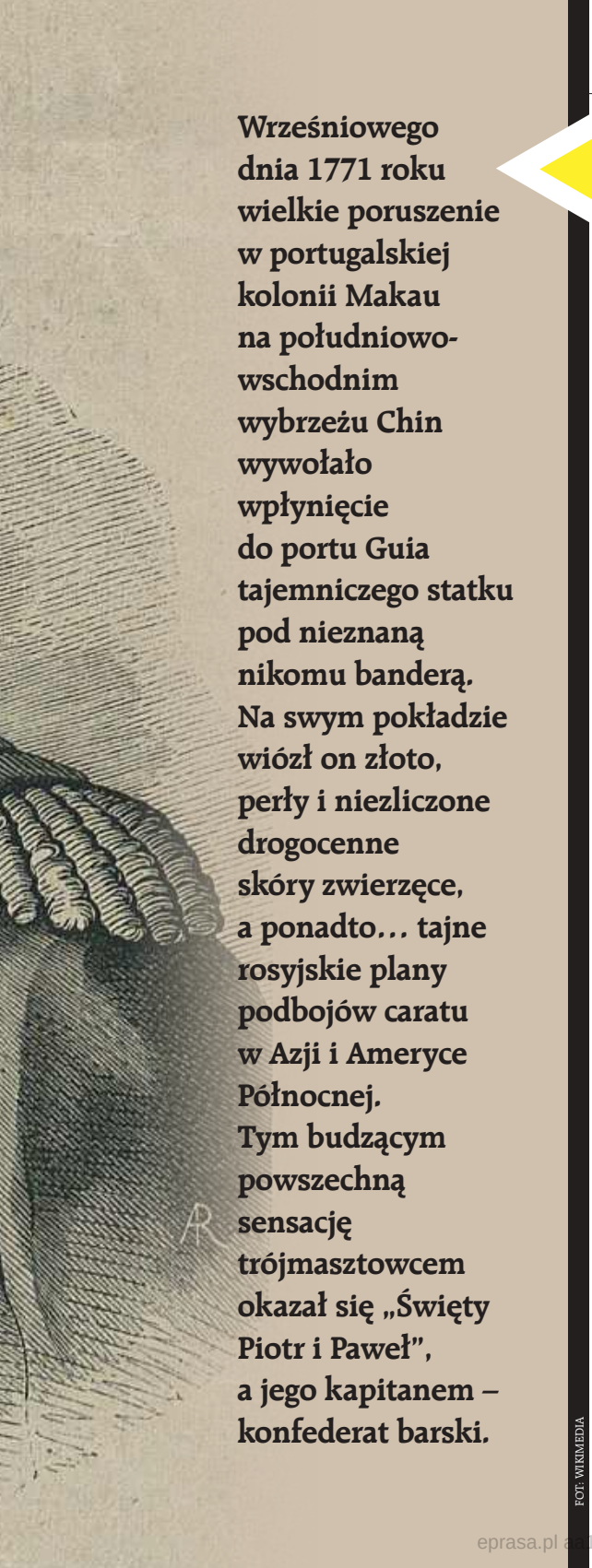


Agnieszka Kowalczyk

Maurycy Beniowski. Człowiek, który pokonał carską Rosję

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
prasa.pl/aa16717a60

Wrześniowego dnia 1771 roku wielkie poruszenie w portugalskiej kolonii Makau na południowo-wschodnim wybrzeżu Chin wywołało wpłynięcie do portu Guia tajemniczego statku pod nieznaną nikomu banderą. Na swym pokładzie wiózł on złoto, perły i niezliczone drogocenne skóry zwierzęce, a ponadto… tajne rosyjskie plany podbojów caratu w Azji i Ameryce Północnej. Tym budzącym powszechną sensację trójmasztowcem okazał się „Święty Piotr i Paweł", a jego kapitanem – konfederat barski.



FOT. WIKIMEDIA

Owym konfederatem barskim, do tego więźniem caratu, zesłańcem politycznym i zarazem śmiałym podróżnikiem, odkrywcą nowego morskiego szlaku na Alaskę, okazał się hrabia Maurycy August Beniowski (1741–1786). Nikt chyba nie był w stanie wyobrazić sobie, że ów dzielny szlachcic z Polski zaledwie kilka miesięcy wcześniej stanął na czele antyrosyjskiego buntu na Kamczatce.

▶ „Siedmioma ranami od kul, szabel i pik zasłużył się ojczyźnie"

Choć Maurycy urodził się na Węgrzech we wsi Werbowie jako syn generała w służbie austriackiej Samuela Beniowskiego i węgierskiej baronówny Róży de Ravay, swój los związał z Rzeczpospolitą. W 1758 roku odziedziczył majątek na Litwie po bezdzietnym stryju i wtedy też ów 17-letni młodzian o rycerskiej fantazji, który zdążył już odbyć swą pierwszą wyprawę wojenną na Prusy, „poczuł w sobie polską krew". Toteż nie mogło go zabraknąć w szeregach konfederatów barskich, którzy 29 lutego 1768 roku w Barze na Podolu zawiązali antyrosyjskie sprzysiężenie w obronie niepodległości Rzeczypospolitej, przeciwstawiając się ingerencji carycy Katarzyny II w wewnętrzne sprawy Polski i uległości Stanisława Augusta Poniatowskiego wobec imperatorowej. Gdy Beniowski dołączył do konfederatów, był już świeżo upieczonym małżonkiem (jego wybranką została szlachcianka Zuzanna Heńska) i żeglarzem, który zdążył zdobyć morskie szlify podczas rejsów do Hamburga, Amsterdamu i Plymouth, a planował nawet wielką wyprawę do Indii.

W oblężonym przez Rosjan Krakowie Maurycy został mianowany pułkownikiem, dowódcą kawalerii i generalnym kwatermistrzem. Za jego to sprawą przeszedł na stronę konfederatów cały rządowy pułk z Nowego Targu oraz załoga fortecy w Lanckoronie. Ten młody szlachcic o gorącej głowie, jak się okazało, miał niebywały dar przekonywania, szaleńczą odwagę i młodzieńczą brawurę. Gdy tylko usłyszał, że na Kraków ciągną siły generała Apraksina, popędził co koń wyskoczy do dawnej stolicy Polski, zabierając z sobą ściągnięte w ramach kontrybucji wozy ze zbożem, a do tego sześć setek wołów. Po drodze zdążył jeszcze rozbić pod Wieliczką rosyjski oddział, uprowadzić 30 jeńców i skonfiskować sumę 980 tys. zł przeznaczoną dla króla z żup solnych. Tymczasem za murami Krakowa zebrało się 13 tys. konfederackich żołnierzy, a rosyjskie oddziały zaczęły zacieśniać pętlę wokół miasta, próbując odciąć konfederatów od dostaw żywności i broni. Beniowski jednak i temu zaradził, wyprawiając się na czele kilku tysięcy konnych po prowiant. Zapasy udało się zdobyć, ale u samych bram Krakowa wywiązała się bitwa z Moskalami. Nie chcąc zrezygnować ze zdobyczy dla bro-

eprasa.pl a16717a60

niących się współtowarzyszy, Maurycy zdołał zatrzymać na sobie siły wroga, by tabory pod wodzą pułkownika Kluszewskiego zdążyły przedrzeć się do miasta. Wówczas to, 11 sierpnia 1768 roku o trzeciej nad ranem, uderzył ze swymi 3 tys. konnych na obozy rosyjskie. Tym razem jednak los mu nie sprzyjał. Dwukrotnie ranny w starciu z nieprzyjacielem dostał się do niewoli. Zaproponowano mu przejście na służbę carycy Katarzyny II, ale kategorycznie odmówił. Już-już miał zostać odesłany jako jeniec do Kijowa, a potem wywieziony w głąb Rosji, gdy nieoczekiwanie przyszło wybawienie i za okup w wysokości 2 tys. dukatów odzyskał wolność. Przyjaciele go nie zawiedli. Dalej więc bił się dzielnie z Rosjanami i królewskimi stronnikami, tak iż, jak pisze Mieczysław Lepecki, „bojami po stronie konfederatów, siedmioma ranami od kul, szabel i pik sprzymierzeńców Stanisława Augusta […] zasłużył się ojczyźnie dobrze".

Na zesłańczym szlaku

W czasie walk, 19 maja 1769 roku, ranny odłamkiem kartacza, dwukrotnie pocięty szablą Beniowski znalazł się znów w rosyjskiej niewoli. Nie pozwolono opatrzeć mu ran, zakuto w kajdany i zamknięto w ciemnicy o chlebie i wodzie. Szlak więźnia wiódł od Tarnopola, przez Kijów, aż do leżącego u ujścia Wołgi Kazania, gdzie utworzono obóz polskich jeńców wojennych. W tym rosyjsko-tatarskim mieście „szlachta moskiewska" szykowała właśnie wystąpienie przeciwko carycy Katarzynie II, domagając się od niej przyrzeczenia „tych swobód i zaszczytów, których używają inne narody". Beniowski nie dał się jednak wciągnąć w spisek, ale gdy w wyniku zdrady sprzysiężenie odkryto, to właśnie jego i innych Polaków wskazano jako inicjatorów powstania, którzy wraz z Tatarami zamierzali napaść na miasto. Przemyślnemu szlachcicowi z Polski udało się jednak zbiec z Kazania wraz z przyjacielem majorem Wynbladhem, Szwedem, który walczył po stronie konfederatów.

Uciekinierzy udawali oficerów rosyjskich jadących z ważnymi papierami do Petersburga, gdzie przez Nowogród i Moskwę dotarli 19 listopada. Maurycy tym razem grał rolę arystokraty, a Wynbladh – jego kamerdynera. Udało im się nawiązać kontakt z kapitanem okrętu holenderskiego, któremu Beniowski obiecał w zamian za zabranie na pokład 500 czerwonych złotych. Holender zastawił jednak na uciekinierów pułapkę, bo w umówionym miejscu spotkania nad Newą czekało na nich kilkuset żołnierzy. Beniowski został pojmany i zamknięty w lochach Twierdzy Petropawłowskiej, gdzie dopiero trzeciego dnia otrzymał suchary i wodę. Podczas sądu zarzucono mu kłamstwo i grożono torturami. „Nie była to żadna przenośnia retoryczna […]. Musiały mu przemknąć wtedy przez myśl sceny wyrywania paznokci, przypiekania gorącym żelazem, łamania kości, bicia, tortur wody […] znanych ówczesnym sądownikom i katom". Zachował jednak zimną krew i nie zaprzeczył swoim dotychczasowym zeznaniom, twierdząc odważnie, że kłamstwo trzeba udowodnić i powołując się sprytnie na „sprawiedliwy osąd" Katarzyny II, dla której, jak mówił, bezprawie dokonane na nim byłoby najokrutniejszym barbarzyństwem. Wiele wskazywało na to, że zostanie uwolniony… Stało się jednak inaczej – pod koniec listopada 1769 roku wsadzono go do kibitki i wywieziono na najdalsze krańce Azji – na Kamczatkę.

Z Krakowa na Kamczatkę

Podróż Beniowskiego do miejsca zesłania – na półwysep Kamczatka oddzielający Morze Ochockie od Morza Beringa i Pacyfiku – trwała niemal rok. Najpierw był transportowany w kajdanach, z niezagojonymi ranami do Tobolska, potem, na początku lutego 1770 roku, wyruszył do Tomska, gdzie z powodu roztopów zatrzymał się na prawie trzy tygodnie, zyskując duże uznanie wśród miejscowych Tatarów, którzy na pomoc zesłańcom zebrali prawie tysiąc rubli. W czerwcu skazańcy dotarli do Krasnojarska, by stamtąd wyruszyć w nieprzystępne góry pnące się między Jenisejem a Angarą. Po drodze stracili wszystkie konie, z głodu żywili się nawet korą brzozową rozgotowaną w wodzie. Dopiero po miesiącu ponadludzkich wysiłków trafili do miasta Ilimsk, gdzie w zamian za alkohol otrzymali od Tatarów mięso reniferów i suszoną rybę. Dalej, pokonawszy nurty rzeki Leny, dostali się do Jakucka. Ostatni etap zesłańczego szlaku stanowiła droga do Ochocka, gdzie zakuto Beniowskiego w kajdany i odesłano statkiem do osady Bolszerieck na południowo-wschodnim wybrzeżu Kamczatki. Ta właśnie dzika i niedostępna ziemia, oblana wodami mórz arktycznych i najeżona górami wulkanicznymi, stanowiła – jak pisze Marek Klecel w swej najnowszej książce „Sybir" – „miejsce zesłania najgroźniejszych przeciwników władz carskich, uczestników spisków i przewrotów pałacowych, pretendentów do tronu i ich popleczników, a także wysokich urzędników, którzy wypadli z łask monarszych".

Skoro Beniowski trafił na Kamczatkę, oznaczało to, że i jego uznano za człowieka niebezpiecznego dla carskiej władzy. Tym sposobem niepokorny Polak znalazł się w osadzie Bolszerieck, gdzie wzdłuż jednej długiej ulicy ciągnęło się około 500 domów zamieszkanych głównie przez kozaków, najliczniejszą grupę tutejszych osadników, co świadczyć miało o tym, że Rosjanie są panami tego położonego na krańcach Azji półwyspu. Nad osadą górowała twierdza wojskowa z pięcioma bastionami, z których każdy zaopatrzony został w pięć ar-

eprasa.pl aa16717a60

mat. Była to zarazem siedziba gubernatora Kamczatki – pułkownika Niłowa z koszarami dla 280 rosyjskich żołnierzy. Pół mili od osady, za lasem, mieszkali zesłańcy, którym wydzielono niewielkie działki. W tym odludnym zakątku świata mieli pozostać do końca swego życia. Po przybyciu w to miejsce każdy więzień otrzymywał od władz rosyjskich prowiant na trzy dni, a do tego strzelbę, proch, ołowiane kule, noże i narzędzia ciesielskie, by zbudować sobie chatę. Od tej pory musiał radzić sobie sam, a swój ekwipunek spłacić w ciągu roku, dostarczając cenne futra zwierzęce o wartości 100 rubli, a także pewną określoną ich ilość gubernatorowi. W tej części świata handel skórami rozwijał się na niespotykaną dotąd skalę, tak iż rosyjscy kupcy zbijali na nich fortunę, sprzedając gdzie się dało, nawet do Chin. Ponadto zesłańcom nie wolno było oddalać się od swego miejsca zamieszkania na dłużej niż 24 godziny bez powiadomienia władz. Nie mieli też prawa do osobistej własności – w każdym momencie żołnierze mogli wtargnąć do ich chaty i zabrać, co tylko chcieli.

Śmierć stokroć pożądańsza od upodlenia

Dostawszy się na Kamczatkę, Beniowski znalazł schronienie u jednego ze skazańców – Rosjanina Krustiewa, który zapoznał byłego konfederata z carskimi ukazami dotyczącymi zesłanych. Miłujący wolność polski szlachcic zareagował gwałtownie: „Przyjaciele – zapytał – dlaczego znosicie tak długo to podłe jarzmo i nie próbujecie wyzwolić się z niego? Czyż się śmierci lękacie? Śmierć jest przecież stokroć pożądańsza od takiego upodlenia!". Tak więc postanowił działać. Od początku uwięzienia na Kamczatce, jak pisze Andrzej Fedorowicz, „zaczął skupiać wokół siebie elitę zesłańców. Byli wśród nich oficerowie gwardii, szambelan cesarzowej Elżbiety, archidiakon, kapitan kozacki, eksksiążę, a nawet jeden Polak, starosta Kazimierz Bielski. Wszyscy byli więźniami politycznymi zesłanymi na koniec świata jako wrogowie stanu". Stali się zalążkiem tajnego sprzysiężenia, którego celem była organizacja ucieczki i na którego czele stanął hrabia Maurycy. Spisek rozrastał się z dnia na dzień, tak że po tygodniu objął już niemal połowę zesłańców z Bolszeriecka. Pod wodzą Beniowskiego zamierzali oni po zgromadzeniu wystarczających zapasów żywności i broni, porwać statek z przystani w Czekawce i popłynąć nim do Europy.

Dobrze wykształcony, inteligentny, znający kilka języków obcych Maurycy z łatwością wniknął w środowisko elit rządzących Kamczatką. Jego atutem okazało się to, że był świetnym szachistą, co wykorzystał kozacki pułkownik Czernych, dla którego błyskotliwy młodzieniec ogrywał urzędników i kupców w ramach coraz wyższych zakładów. Szczęście zaczęło sprzyjać hrabiemu, tym bardziej że zakochała się w nim córka gubernatora Niłowa – 16-letnia Afanazja, która zapragnęła zostać jego żoną, mając poparcie swej matki. Beniowski postanowił grać na zwłokę, ukrywając fakt, że jest już człowiekiem żonatym, bo wyjawienie prawdy mogłoby przekreślić plany ucieczki. Początkowo wściekły gubernator Niłow zaakceptował w końcu narzeczonego córki, widząc w nim dobrą partię. Doprowadził więc do uwolnienia zesłańca i powołując się na jego zasługi dla rządu kamczackiej guberni, skierował wniosek o nadanie Polakowi godnego stanowiska. Beniowski zaś, nie mogąc rozpocząć ucieczki zimą, gdy wody były pokryte lodem, a żegluga – niebezpieczna, uciekł się do fortelu, by opóźnić ślub. „Postawił więc Niłowowi warunek: nie stanie przed ołtarzem, dopóki na półwyspie nie powstanie rolnicza osada, w której zamieszka również on z Afanazją". Obiecał, że zaprowadzi na Kamczatce uprawę roli i dzięki temu jej mieszkańcy będą mieć chleba pod dostatkiem. W istocie tworzenie takiej osady z dala od kozaków miało stworzyć doskonałe warunki do dalszej organizacji planowanej ucieczki. Pod pretekstem zakładania kolonii spiskowcy gromadzili wszelkiego rodzaju broń i narzędzia, tak że wkrótce mieli do dyspozycji 100 pudełek z kartaczami, 60 długich noży, 16 pistoletów, 36 siekier i 200 pik. Z takim arsenałem broni można było śmiało przystąpić do powstania.

Wybiła godzina buntu!

Wieść o buncie dotarła w końcu do gubernatora Niłowa, który wysłał po Beniowskiego pięciu swoich żołnierzy z rozkazem jego aresztowania i doprowadzenia do twierdzy. Przemyślny Polak, ostrzeżony o odkryciu spisku, zwabił żołdaków do domu pod pretekstem poczęstowania ich wódką, a tam z pomocą innych spiskowców obezwładnił ich i związał. Odtąd trzeba było działać szybko i zdecydowanie.

„Jest 26 kwietnia 1771 roku, gdy Beniowski na czele grupy buntowników rusza na pałac gubernatora" – odkrywa dalszy bieg wypadków Andrzej Fedorowicz. „Już za potokiem natyka się na oddział żołnierzy, padają pierwsze strzały i pierwsi zabici. Odgłosy walki alarmują kolejnych spiskowców, którzy biegną po pomoc. Wkrótce oddział liczy już kilkudziesięciu uzbrojonych po zęby ludzi". Na buntowników pułkownik Czernych wysłał żołnierzy z armatą. Tych jednak powstańcy szybko zmusili do ucieczki, tak iż umknęli w popłochu do lasu, pozostawiając armatę, z której Beniowski zrobił dobry użytek, wydając swoim ludziom rozkaz marszu na twierdzę! Do fortu Bolszerieck dotarli już nocą. Jego załoga, sądząc po odgłosach toczącego się działa, że zbliżają się swoi z ujętymi jeńcami, opuściła zwodzony most. Beniowski tylko na to czekał. Spiskowcy wpadli do środka i, pokonawszy straże, zaczęli opanowywać twierdzę. W czasie walki zginął gubernator Niłow. Prze-

eprasa.pl aa16717a60

jęcie fortu przez buntowników nie oznaczało jednak całkowitego zwycięstwa, bo kozacy mogli go jeszcze oblegać przez wiele miesięcy, biorąc spiskowców głodem. „Tego obawiał się Beniowski i dlatego powziął plan, który chluby mu nie przyniósł, ale zapewnił powodzenie – konstatuje Mieczysław Lepecki. – Zgromadził mianowicie wszystkie kobiety i dzieci w cerkwi i zagroził kozakom, że spali im żony, siostry i matki, o ile nie złożą natychmiast broni i nie poddadzą się jego rewolucyjnej władzy". Ci zaś, przerażeni, ulegli. Pod twierdzą załopotały białe chusty pozatykane na piki. Teraz już zwycięstwo w całości należało do Beniowskiego. Nic zatem nie stało na przeszkodzie, by został samowładnym panem Kamczatki. On jednak cały czas myślał o tym, by znaleźć się poza granicami carskiej Rosji i na powrót stać się wolnym człowiekiem, tak samo jak dziesiątki innych zesłańców, którzy zdecydowali się powierzyć swój los w jego ręce.

Nie opuszczał jednak Kamczatki w popłochu. Postanowił najpierw przywrócić tam praworządność i sprawiedliwość – mianował nowych urzędników, ukarał buntowników, wydał nowe ukazy i zarządzenia. Zabezpieczywszy Bolszerieck przed anarchią, zaczął sposobić się do morskiej podróży, którą zamierzał odbyć z 95 innymi uciekinierami na zajętym przez spiskowców żaglowcu „Święty Piotr i Paweł". Przed odpłynięciem nakazał przenieść na okręt ikonę św. Mikołaja i odprawić nabożeństwo. Na pokład wniesiono z magazynów gubernialnych niezliczone ilości drogocennych futer, którymi mieszkańcy półwyspu opłacali podatki. Było ich aż 12 tysięcy. Ponadto ze zdobytego skarbca przejęto 140 beczek z setkami kilogramów suszonej i solonej ryby, mięsa, wielorybiego tłuszczu, sera i masła, worki cukru, herbaty, kilkadziesiąt baryłek wódki, zabrano trzy armaty, ponad 800 worków prochu, strzelby, topory, narzędzia ślusarskie i stolarskie… Konfiskując te dobra na rzecz powstańców, Beniowski potężnie uszczuplił rosyjski majątek rządowy. Jego zemsta na caracie była jednak o wiele sroższa, bo ośmielił się zabrać ze sobą to, co nigdy nie powinno ujrzeć światła dziennego – tajne archiwum z dokumentami opisującymi dokładnie wszystkie rosyjskie wyprawy handlowe i wojskowe oraz transakcje z innymi państwami.

▶ Chorągiew konfederacji barskiej na nieznanych wodach

11 maja 1771 roku na maszcie „Świętego Piotra i Pawła" załopotała chorągiew konfederacji barskiej, a zesłańcy pod wodzą Maurycego Beniowskiego, przy pożegnalnych salwach z ośmiu dział, wypłynęli na nieznane wody, oddalając się od ziemi despotów i niewolników.

Gdy statek dopłynął w okolice przylądka Łopatka, polski szlachcic stanął przed arcytrudnym wyborem – jaką drogę obrać: czy skierować się na południe, okrążając Azję i Afrykę, czy też płynąć na północ, ku nieznanym zakątkom świata, dopiero co odkrytym przez duńskiego żeglarza Vitusa Jonassena Beringa. Ostatecznie zdecydował się na ten drugi szlak, który po ośmiu dniach żeglugi doprowadził uciekinierów do Wyspy Beringa. Tam natknęli się na pięć krzyży z napisem: „Na cześć Boga i świętego Mikołaja w roku 1769 28 kwietnia krzyż ten został wystawiony przez Piotra Kreniczyna, komenderującego ekspedycją wysłaną w celu odkrycia Kalifornii". Wyspa nie okazała się jednak bezludna, bo miał tu swój obóz Piotr Ochotyn – zbuntowany kapitan rosyjskiego statku „Święta Elżbieta", niegdyś wysokiej rangi wojskowy, później – zesłaniec syberyjski. Ten pirat i zdobywca cennych skór podporządkował sobie duże obszary Morza Północnego, a Beniowskiego próbował namówić na wspólną wyprawę w celu podbicia Kamczatki, rzecz jasna – bezskutecznie.

Dopłynąwszy do Wysp Świętego Wawrzyńca, Maurycy obrał kurs na północny wschód, kierując się ku Alasce, zwanej też Wielką Ziemią. „Były to już obszary nieznane dla zachodnich podróżników" – podkreśla Marek Klecel, badacz losów Polaków na Syberii, który zauważa, że Beniowski stał się odkrywcą wysp i szlaków żeglarskich wokół Alaski, które opisał w swoim dzienniku pokładowym. Prawdziwość tej relacji podróżniczej potwierdził sam słynny kapitan James Cook, który siedem lat podążał tym samym szlakiem.

Płynąc dalej na południe, a potem na wschód, zapewne według wskazówek Ochotyna, Beniowski natknął się w końcu na łańcuch Wysp Aleuckich. Na jednej z nich uciekinierzy spotkali się z nadzwyczaj serdecznym przyjęciem przez tubylców, którzy urządzili dla nich specjalny pokaz swej siły i umiejętności myśliwskich. Gdy na początku lipca otwarły się przed nimi nieznane wody pozbawione zupełnie wysp, zaczął zaglądać im w oczy głód. Przyczynił się do tego bunt załogi, która rzuciła się na zapasy żywności, zabrała wódkę, rozbiła beczki z wodą pitną. To, co zostało w magazynie do zjedzenia (mąka, suchary, mięso), zaczęło szybko topnieć, a solona ryba psuła się od gorąca. Przed śmiercią z pragnienia i głodu ratowały żeglarzy złowione ryby, wywary gotowane ze skór bobrów, skórzanych butów i pasów, a także zbierana deszczówka. Wybawienie przyszło nieoczekiwanie po dwóch tygodniach nieopisanych męczarni. Oto na horyzoncie zamajaczyła niespodziewanie tajemnicza wyspa, która okazała się dla udręczonych żeglarzy prawdziwym rajem. Obfitowała w liczne potoki o krystalicznie czystej wodzie, pod dostatkiem było tam jadalnych roślin i owoców, nie mówiąc o egzotycznych dzikich świniach. Wiele wskazuje na to, że owa bezludna oaza to Aogashima, oddalona kilkaset kilometrów od wschod-

eprasa.pl aa16717a60

nich wybrzeży Kraju Kwitnącej Wiśni. Następną na szlaku morskiej przygody polskiego zesłańca była jedna z wysp archipelagu Japonii, na której panował król Ulikamchy. Nieufnego wobec cudzoziemców władcę Beniowski próbował pozyskać specjalnymi darami – skórami bobrów i bronią palną. W zamian otrzymał złoto, porcelanę i perły. Nie omieszkał też przestrzec Japończyków przed planami ekspansji Rosji na Daleki Wschód.

Odkrywca nowych dróg morskich

Podczas kolejnego etapu żeglugi „Święty Piotr i Paweł" w połowie sierpnia zacumował u wybrzeży Formozy (dzisiejszego Tajwanu), której część wschodniego wybrzeża była domem dla „łowców głów". Ich ofiarą padło trzech współtowarzyszy Beniowskiego – Panow, Popow i Łoginow, którzy udali się na zwiady. Hrabia pomścił krwawo zamordowanych, stając na czele odwetowej wyprawy zbrojnej. Wydając bitwę okrutnym tubylcom, rozgromił ich wojsko i spalił wioskę. Tym czynem zjednał sobie miejscowego księcia Haupę, dla którego największym wrogiem było pokonane przez Beniowskiego plemię. Chciał on nawet sprzymierzyć się z dzielnym polskim wojownikiem, by zrzucić zwierzchnictwo Chińczyków nad Formozą. Ostatecznie z jego pomocą pokonał swojego konkurenta księcia Hapuasingi – lennika Chin. W dowód wdzięczności zwycięski wódz podarował swemu sprzymierzeńcowi z Polski 70 cennych pereł, 5 kilogramów złota i 200 – srebra.

Z Formozy uciekinierzy z Kamczatki wypłynęli na początku września i kierując się na zachód, dotarli do portugalskiej kolonii Makau, leżącej na południowo-wschodnim wybrzeżu Chin. Zacumowanie w tutejszym porcie „Świętego Piotra i Pawła" stało się wielką sensacją, bo na jego pokładzie płynął odkrywca nowych dróg morskich, posiadacz nieznanej dotąd nikomu wiedzy o lądach i wodach Północy, człowiek, którym od razu zainteresowały się wszystkie kompanie żeglugowe, a niektóre nawet próbowały wejść w posiadanie jego dziennika.

Zanim jednak Beniowski opuścił Makau i udał się w dalszą podróż do Europy, przeżył jeszcze śmierć ponad 20 członków swojej załogi (w tym Afanazji), którzy stali się ofiarami wybuchłej w porcie epidemii dżumy (inni twierdzą, że cholery). Uniknął też zdrady dotychczasowego przyjaciela majora Wynbladtha, usiłującego wraz z grupą spiskowców przejąć dokumenty Beniowskiego i przekazać je angielskim agentom za 5 tys. funtów szterlingów. W porę jednak udało się wykryć spisek dzięki czujności lojalnego Kuzniecowa. Zdrajcy Wynbladth i Stiepanow zostali osadzeni w twierdzy Makau. W akcie zemsty angielscy agenci zaczęli rozpuszczać wśród chińskich władz fałszywe informacje o tym, że polski szlachcic jest korsarzem i dezerterem z rosyjskiej armii. Groźba więzienia, a nawet śmierci przyspieszyła decyzję o opuszczeniu portugalskiej kolonii i udaniu się w dalszą podróż. Beniowski zawarł tajną umowę z dyrekcją francuskiej kompanii handlowej, która obiecała przewieźć uciekinierów z Kamczatki do Europy na dwóch francuskich okrętach za sumę 11,5 tys. liwrów. I tak w styczniu 1772 roku na pokładach „Dauphina" i „Laverdiego" spragnieni wolności podróżnicy popłynęli ku Staremu Kontynentowi, okrążając Afrykę i zatrzymując się po drodze na wyspie Isle de France (dzisiejszym Mauritiusie) oraz na dzikim i nieskolonizowanym dotąd Madagaskarze, z którym to Beniowskiego jako późniejszego króla tej największej afrykańskiej wyspy zwiąże jeszcze przekorny los.

Powrót w wielkim stylu

W końcu, po 14 miesiącach od ucieczki z Kamczatki i zarazem po trzech latach od wzięcia do niewoli rosyjskiej, Beniowski powrócił do rodzinnej Europy, docierając w lipcu 1772 roku do Port Louis we Francji. Na dworze Ludwika XV ten nieustraszony podróżnik i odkrywca mórz Północy witany był jako bohater. Pamiętano, że to przecież konfederat barski walczący w antyrosyjskim powstaniu Polaków, które wspierali Francuzi. Przed Beniowskim otwierały się teraz nowe perspektywy – mianowany generałem miał wyruszyć w kolejną niebezpieczną podróż, której celem było uczynienie Madagaskaru kolonią Francji. Ale to już osobna historia.

Beniowski okazał się zwycięzcą, człowiekiem, który dzięki swej inteligencji, uporowi i odwadze dokonał rzeczy wprost niemożliwej – z jeńca wojennego i więźnia caratu przeobraził się na powrót w człowieka wolnego, który wolność darował też prawie setce ludzi cierpiących w jarzmie caratu, na krańcach Azji. Była to jego osobista wojna z Rosją, z której wyszedł zwycięsko. „Zesłany na Kamczatkę Beniowski – pisze o nim Marek Klecel – byłby nikim, gdyby nie bunt, opanowanie rosyjskiej twierdzy i brawurowa ucieczka na rosyjskim statku »Święty Piotr i Paweł«. Dlatego też stał się osobistym wrogiem Katarzyny II, która ścigała go do końca życia nie tylko za to, że naraził na szwank rosyjską dumę i majestat władzy, przechytrzając carskie służby, ale i za to, że naruszył interesy imperium, obnażając jego żądzę podboju i panowania na morzach Północy aż do amerykańskich wybrzeży Alaski, a nawet Kalifornii".

Źródła: M. Lepecki, „Maurycy August Beniowski. Zdobywca Madagaskaru", Warszawa 1959; A. Fedorowicz, „Słynne ucieczki Polaków", Warszawa 2018; M. Klecel, „Sybir. Dzieje polskich zesłańców XVIII–XX w.", Kraków 2024. ■

eprasa.pl aa16717a60

Piotr Lisiewicz

W chwili gdy w Polsce młode pokolenie odegrało ogromną rolę w obronieniu w wyborach prezydenckich polskiej niepodległości, warto przypomnieć mu historię jednego z pokoleń, które niepodległość Polski wywalczyło czynem zbrojnym. Józef Piłsudski był mistrzem, gdy chodzi o nić porozumienia, jaka nawiązywała się pomiędzy nim a jego młodymi żołnierzami, a potem legionowymi weteranami. Mówił ich prostym językiem i czuł się jednym z nich, a jego mowy – jak poniższa – porywały zarówno poczuciem humoru, jak i niezbitą logiką. Nieśmy ją w kolejne pokolenia!

Józef Piłsudski

Legjoniści – w imię walki o to, co polskie nosi imię

Legjoniści robili sobie z tej walki sport, przekraczający nieraz granice zwykłej przyzwoitości, szukali często sami publicznej zaczepki. Stali się przez to głośnymi we wszystkich urzędach, szczególnie etapowych, i znosić musieli z tego powodu całe mnóstwo szykan. Odpowiadali na nie hardo, wyszukiwali specjalnie obraźliwych słów, by wykazać swoją wzgardę dla tych ukłuć.

Pokolenie całe minęło i odeszło w zaświaty, mamy życie nowe, mamy życie inne. Więc niech nie brzmi paradoksalnie dla Pań i Panów, gdy żądam i proszę o spokojną ocenę grzechów i zasług, śmieszności i psot naszych – że tak powiem – ojców i matek, dziadów i babek. Można przecież spokojnie odnieść się do tej epoki, nie szukając koniecznie upiększenia sobą samym głupstw czy niecnot swoich przodków.

Staliśmy się nowymi ludźmi

Jesteśmy całkiem inni i przykładów potemu nie brak. Ja, na przykład, w Polsce osiwiałem, gdy niegdyś rówieśnicy i koledzy zazdrościli mi płowej czupryny, nie mającej siwego włosa. A gdy sięgnę do przedpotopowego i przedkatastrofalnego zasięgu kulturalnego i wyciągnę stamtąd jakieś znalezisko, np. mamuta, to nie mogę tego ponurego włosatego monstrum, opędzającego się długim, śmiesznym ogonem od mnóstwa napastujących owadów, porównać z młodem słoniątkiem, igrającem w słońcu swobody Polski, – chociażby ten mamut i to małe słoniątko toż samo nosiły imię. Albo Sz. Panie i Sz. Panowie – inne znalezisko przedpotopowe: poczwarny potworek ichtiouzaurowy! Ongiś siedział na podkurczonym pod siebie, długim jaszczurczym ogonie, z wdzięcznie kangurowato w pałąk wygiętym grzbietem, nastawionemi lisiemi uszkami i chytrze biegającemi oczkami. Czy można go poznać i uznać za to samo stworzenie, gdy obecnie jaszczurowatym ogonem jak sztandarem w górze wywija, grzbiet po wielkopańsku prostuje, a na ziemię naszą z bezzębnej paszczy krokodylej siarkowodór zieje.

Głębokie te zmiany, któreśmy przeżyli, sięgają tak daleko, że staliśmy się nowymi ludźmi. Wielkość zmian nie odpowiada wcale owemu, względnie krótkiemu, okresowi czasu, który nas dzieli realnie od życia tych – według mego określenia – ojców czy dziadów naszych. Pochodzi to stąd, że pomiędzy nami a między rokiem 1914-ym istniała katastrofa, istniał potop z tak szybko postępującemi, nieuchronnemi i koniecznemi przeżyciami, że o powolnej ewolucji mowy być nie mogło. Gdy w procesach geologicznych, ślimaczek ze ślimaczkiem gdzieś się zlepiwszy, w wiek potem wytworzą cal jakiegoś lądu, gdy drobna kruszyna piasku gdzieś z jakimś startym do miału kamyczkiem sczepiona, w ciągu lat i wieków wytwarza u ujścia rzek maleńką wysepkę, jest to proces ewolucyjnej pracy przyrody, za której skutkami człowiek nie nadąża całem swojem życiem […]

Przedstawicielstwo wojenne w postaci wodza i żołnierza

Bywają jednak i beneficja nadzwyczajne, związane albo z wpływowymi na teatrze wojny ludźmi, albo ze szczególnemi względami, które chce się brać w rachubę. Są to, że się

eprasa.pl aa16717a60

tak wyrażę, beneficja specjalne. Do nich należy i to, co nazywamy teraz czynem legjonowym. Człowiek noszący to samo nazwisko, co ja, należał do rzędu ludzi wpływowych, mających w owe czasy szczególny, że tak powiem, kaprys. Stał on bowiem na czele niewielkiej zresztą, garści ludzi, szerzących przekonanie, że Polska z poniżenia niewoli wyjść może jedynie za pomocą zbrojnego ruchu, korzystając z tego czy innego momentu. Straszono go więc z jednej strony zwykłym środkiem – zamknięciem wraz z przyjaciółmi w jakichś twierdzach czy obozach dla internowanych; z drugiej strony zgadzano się na próby tworzenia oddziałów polskich, z góry lekceważąc te poczynania. Zgoda ta była więc jednym ze środków udzielania wpływowym ludziom beneficjów specjalnych, których prawdopodobnie w innej postaci, nie tak krzyczącej, udzielano łaskawie ze strony wszystkich trzech zaborców. A ciekawy historyk pewnie w niedalekiej przyszłości odnajdzie dosyć dokumentów dla potwierdzenia tej prawdy.

W ten sposób powstał początek tego, co nazywamy obecnie czynem legjonowym. Było to dla jednego z zaborców coś w rodzaju sposobu rozdawania beneficjów specjalnych, dla mnie zaś i tych, którzy za mną poszli, była to próba rozstrzygnięcia problemu, męczącego w owe czasy wielu Polaków, podczas gdy ogromnej większości naszego narodu był najzupełniej obcy.

Próba ta została zlekceważona przez wszystkich, skazana przez wszystkich z góry na nieudanie, przez wszystkich uznana za niemożliwą do wykonania. Jest zupełnie obojętnem dla mnie i dla moich wywodów, jak kto o tem sądził wtedy, czy sądzi teraz, jakie kto o mnie, czy o moich kolegach, wydawał wtedy lub wydaje teraz opinje. Jest obojętnem, czy ktoś za jakimś żulikiem Zamorskim powtarzał, iż prowadziła nas chęć rabunku i bandytyzmu, czy uważa nas wraz z innymi za płatnych agentów Wilhelma, czy Franciszka Józefa, czy przypisywał nam wówczas, lub przypisuje teraz szaleństwo i bezrozum, czy na moją siwiejącą głowę rzucał czy rzucać będzie przekleństwa za gubienie szlachetnej młodzieży, czy wreszcie w owe czasy sentymentalne ronił łzy nad ofiarami szlachetnych i zielonych głów młodych – jest to zawsze wszystko jedno dla historycznego faktu, że ja i legjoniści postąpiliśmy w te czasy, gdy potop wojny zalewać zaczął naszą ziemię, inaczej niż wszyscy Polacy. Niepodobna było sfałszować tego faktu, gdyż każdy z przyszłych historyków znaleźć musi dla tej chwili całe mnóstwo dokumentów historycznych w postaci rozkazów, raportów, opisów działań i czynności, zarówno moich, jak i moich kolegów z Legjonów [...]

Podkreślam więc i powtarzam raz jeszcze. Gdy wojna w 1914-ym roku wybuchła, Polacy we wszystkich trzech zaborach zdecydowali oddać Bogu, co boskie – cesarzowi, co cesarskie. Ja i legjoniści postąpiliśmy inaczej, a bez względu, jak kto wtedy patrzał i jak teraz to widzi, zdecydowaliśmy spróbować, czy nie można dać naszemu narodowi bez państwa przedstawicielstwa wojennego w postaci wodza i żołnierza. Usiłowania te przyjęto albo zupełnie niechętnie, albo z niedowierzaniem, specjalnie jeśli chodzi o próbę zdobycia reprezentacji przez wodza. [...]

Wyraziciele buntu i walki o Polskę

Legjoniści byli w tych czasach wyrazicielami tego buntu i to wyrazicielami jawnymi, walczącymi publicznie o szacunek dla tego, co polskie nosi imię. Nie chcę mówić o mojej walce, która, rozgrywana na terenie wyższych sztabów i wyższych dowództw, nie mogła być ani jawną, ani publiczną i wpływu bezpośredniego na ludzi wskutek tego wywierać nie mogła. Na oczach natomiast wszystkich szli legjoniści naprzód, przepychając się nieledwie łokciami, szli każdego dnia – wbrew ogólnemu codziennemu upokarzaniu się – na awantury, na małe, ale liczne utarczki z obcą zaborczą ręką w obronie swojej godności jako żołnierzy polskich.

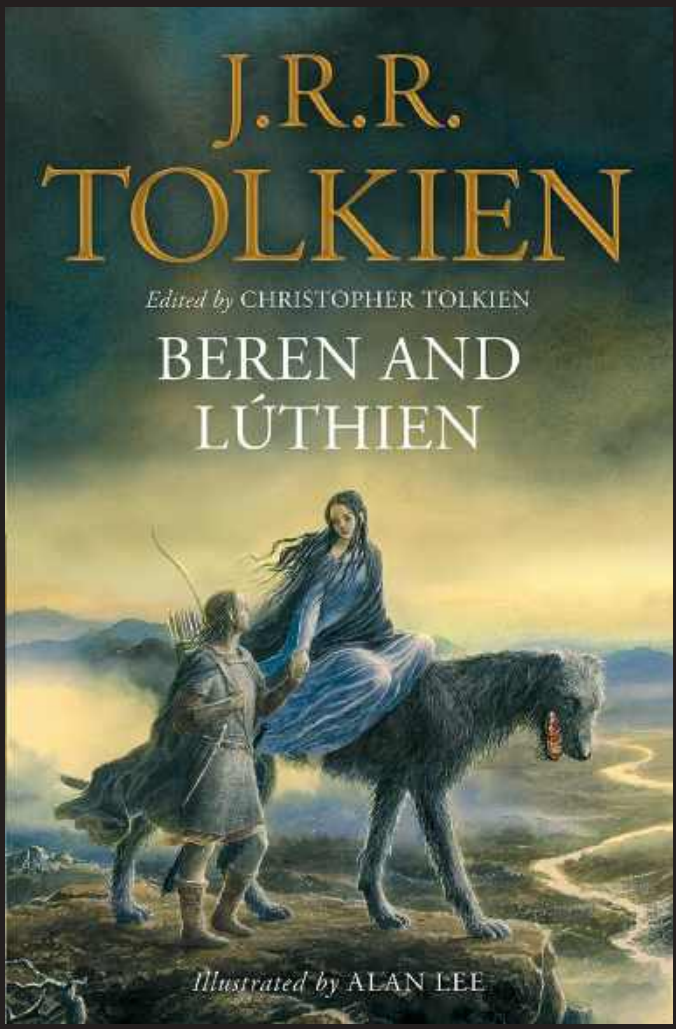
Ileż takich drobnych scen staje mi w pamięci, gdy o tem mówię. Ileż śmiesznych, komicznych epizodów tej walki przeżyć musiał nieledwie każdy legjonista w tych czasach, gdy nosił mundur, świadczący o tem, że jest Polakiem i pod polskiemi godłami i znakami chce służyć.

Któż z tych, co w końcu września 1914 r. byli ze mną nad Wisłą pod Nowym Korczynem i Opatowem, nie wspomina tej zabawnej sceny, gdy przybyła z Krakowa kompania uzupełniająca topiła w Wiśle czarno-żółte opaski, w które ją ubrano przy opuszczaniu Krakowa. Wstydem bowiem było u nas nosić jakąkolwiek oznakę, przypominającą mundury Austrjaków czy ich kolory. Ileż to walk stoczono z temi oznakami. Ileż było starć publicznych na dworcach kolejowych, na ulicach miast, z powodu bezprawnego jakoby noszenia czy to naszych własnych oznak na mundurach, czy naszych własnych gard przy szablach, czy wreszcie, co się najczęściej zdarzało, z powodu oddawania honorów nie całą dłonią, lecz tylko dwoma palcami! Codzienną walkę, widoczną dla oczu wszystkich, toczyli legjoniści o najmniejszy drobiazg, o polskie słowo komend, o głośne polskie rozmowy pomiędzy sobą w miejscach publicznych, o otwarte demonstrowanie wspólnoty swojej z otoczeniem polskiem, o jawne szanowanie polskich zwyczajów, o odwet za próby obrażania tego, co polskie. Legjoniści robili sobie z tej walki sport, przekraczający nieraz granice zwykłej przyzwoitości, szukali często sami publicznej zaczepki. Stali się przez to głośnymi we wszystkich urzędach, szczególnie etapowych, i znosić musieli z tego powodu całe mnóstwo szykan. Odpowiadali na nie hardo, wyszukiwali specjalnie obraźliwych słów, by wykazać swoją wzgardę dla tych ukłuć. ■

Przedruk za: Józef Piłsudski, w dziesiąta rocznicę powstania Legjonów, Przemówienie wygłoszone dnia 10. VIII.1924 na Zjeździe Legjonistów w Lublinie. Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl aa16717a60

Prawdziwa historia Berena i Luthien



eprasa.pl aa16717a60

Łukasz Czarnecki

Wieloletni wykładowca Uniwersytetu Cambridge, literaturoznawca i krytyk Thomas Shippey w tytule jednej ze swoich książek nazwał Johna Ronalda Reuela Tolkiena „pisarzem stulecia". Nadając nobliwemu oksfordzkiemu językoznawcy ten tytuł, badacz trafił w punkt, bo żaden inny XX-wieczny literat nie odcisnął swoją twórczością tak wielkiego piętna na światowej kulturze, jak właśnie autor „Władcy Pierścieni".

FOT. MAT. PRAS.

Mitologia Śródziemia jest ewenementem w dziejach literatury. Tolkien zaczął ją tworzyć jako bardzo młody człowiek w trakcie I wojny światowej, a pracę nad nią kontynuował aż do śmierci w roku 1973. Oznacza to, że prace nad stworzeniem epickiej historii elfów i ludzi trwały przez prawie sześć dekad! Emerytowany profesor ostatnie poprawki wprowadzał jeszcze na krótko przed śmiercią. Biograf pisarza, Michael White, analizując rozciągnięty na dekady proces twórczy, zaryzykował wręcz stwierdzenie, że Tolkien tak bardzo utożsamił się z narodzonym w jego imaginacji światem, że stał się on dlań równie autentyczny co ten rzeczywisty i w związku z tym autor „Hobbita" nie był w stanie się przemóc, postawić ostatniej kropki i uznać sagi za ukończoną. Przypuszczenie to potwierdzają słowa Christophera Tolkiena, najmłodszego syna J.R.R., będącego podobnie jak on wykładowcą akademickim, który ponad cztery dekady spędził, badając i opracowując spuściznę ojca. Tolkien junior w jednym z wywiadów powiedział o atmosferze rodzinnego domu, że gdy dorastał, fikcyjne krainy Śródziemia, takie jak: Gondor, Gondolin, Rohan czy Shire, były dlań równie rzeczywiste co starożytny Babilon lub Ateny, o których uczył się w szkole.

„Silmarillion"

O niezwykłym oddaniu i miłości, jaką Tolkien darzył swój wyimaginowany świat, najlepiej świadczy fakt, że tworzył swoją mitologię z przekonaniem, iż… nikt poza nim samym i grupą jego znajomych jej nie przeczyta. Dziś, gdy półki księgarń uginają się pod dziełami zebranymi oksfordzkiego profesora, łatwo zapomnieć, iż za swego życia doczekał się publikacji wyłącznie „Hobbita" oraz „Władcy Pierścieni", a także kilku drobniejszych pozycji, takich jak zbiory poezji czy bajki dla dzieci. Dziełem życia J.R.R. pozostawał pisany od czasów I wojny światowej „Silmarillion", jednak epos ten mimo licznych prób zainteresowania nim wydawców, do rąk czytelników trafił dopiero w kilka lat po śmierci autora za sprawą jego syna. Warto przy tym pamiętać, że była to wersja poddana intensywnej redakcji, będąca kompilacją kilku tekstów zawierających konkretne wersje legend Śródziemia, te bowiem istniały w wielu wariantach, wciąż zmienianych i poprawianych. Po latach Christopher Tolkien uznał zresztą tak szybkie wydanie „Silmarillionu" za błąd i podjął się mrówczej pracy nad wydaniem wszystkich, niejednokrotnie wykluczających się wzajemnie, kolejnych odsłon opowieści ojca, chcąc tym samym przybliżyć czytelnikom całość tolkienowskiego procesu twórczego. Efektem rozciągniętego na lata projektu stała się licząca 12 tomów „Historia Śródziemia".

eprasa.pl aa16717a60

Tolkien zarówno za życia, jak i obecnie większości czytelników kojarzy się z „Hobbitem" i „Władcą Pierścieni". „Silmarillion" pozostaje lekturą trudną w odbiorze, a jego epicki styl sprawia, że wiele osób wręcz stwierdza, iż księga ta przypomina im Biblię. Wyrażając taką opinię, nie mijają się zresztą zbytnio z prawdą, gdyż dzieło to opowiada o początkach świata, narodzinach zła i grzechu oraz – cytując poetę – „szaleństwie, pysze i niedolach" prześladujących mieszkańców Śródziemia – czy będą to nieśmiertelne elfy, czy też skazani na nieuchronne odejście do krainy umarłych ludzie. Należy przy tym pamiętać, że o ile współcześni odbiorcy interpretują Ardę, jak nazywał opisywany świat Tolkien, jako rzeczywistość alternatywną, to sam pisarz tworząc swoją mitologię (co widać zwłaszcza w jej wczesnych wersjach), kreował ją, myśląc o niej jako fikcyjnej „prehistorii" naszego świata. Jak pamiętają czytelnicy „Władcy Pierścieni", zniszczenie Pierścienia Władzy kończy Trzecią Erę, stając się początkiem Czwartej. Autor powieści w jednej ze swoich notatek zapisał, że obecnie żyjemy w Siódmej Erze, a swoją monumentalną powieść we wstępie nazywał… tłumaczeniem ze starożytnego manuskryptu „Czerwonej Księgi Marchii Zachodniej".

„Silmarillion" pozostawał dla Tolkiena ukochanym dzieckiem, z którym aż do ostatnich dni życia nie potrafił się rozstać. Ze wszystkich zawartych w eposie historii, najważniejszą dlań była ta przepełniona tragicznym smutkiem, a zarazem niewypowiedzianie piękna opowieść o miłości śmiertelnego człowieka Berena i córki króla elfów Thingola – Luthien, gotowej w obliczu śmierci ukochanego odrzucić dar wiecznego życia, by podążyć za nim w Krainę Cienia. Była to jedna z pierwszych wymyślonych przez J.R.R. legend Śródziemia, towarzysząca mu przez całe dekady, a równocześnie należąca do fundamentów całej wykreowanej przezeń mitologii. Dość powiedzieć, że we „Władcy Pierścieni" zarówno ostatni dziedzic królów Gondoru, Aragorn, jak i jego ukochana elfka, Arwena, są potomkami (choć z różnych linii) Berena i Luthien, a dzieje przeszkód, które muszą pokonać, nim staną na ślubnym kobiercu (Tolkien jako ultrakonserwatywny katolik nie wyobrażał sobie innego związku niż sakramentalny, nawet jeśli w Śródziemiu nie było kapłanów ani zorganizowanej religii), stanowią niejako odbicie perypetii ich przodków i podobnie jak one kończą się gorzko. Aragorn starzeje się i umiera, zaś Arwena pogrążona w rozpaczy błąka się po jego śmierci po dawnych królestwach elfów, dziś porzuconych przez jej lud, by w końcu umrzeć z żalu za utraconym szczęściem.

Dlaczego jednak, mająca cechy romansu rycerskiego, historia o Berenie i Luthien była dla swego twórcy tak ważna, że zaliczał ją do „trzech wielkich opowieści", będących fundamentem mitologii Śródziemia i uczynił punktem, wokół którego zogniskowała się cała jego wyobraźnia? Tolkien powracał do tej legendy raz za razem, wciąż ją poprawiając i doskonaląc, a ze wszystkiego co napisał, to właśnie epos o losach śmiertelnego człowieka i księżniczki elfów pozostawał mu najbliższy i najmocniej rezonował w jego duszy. Odpowiedź jest prosta – Tolkien kochał tę opowieść, gdyż stanowiła metaforyczne odbicie perypetii i przeszkód, jakie w młodości musiał pokonać, by połączyć się z ukochaną kobietą, swoją późniejszą żoną Edith Bratt. O tym, jak mocno J.R.R. utożsamiał swoje młodzieńcze przeżycia z opowieścią o szaleńczej wyprawie po zaczarowany klejnot tkwiący w żelaznej koronie Wielkiego Nieprzyjaciela, łatwo się przekonać, wybierając się na Cmentarz Wolvercote w Oksfordzie, gdzie spoczywają państwo Tolkienowie. Obok personaliów małżonków, na płycie nagrobnej widnieją wykute na wyraźnie polecenie pisarza imiona: Beren i Luthien.

▶ Pożegnanie z Shire

J. R.R. Tolkien na świat przyszedł 3 stycznia 1892 roku w Bloemfontein, w Afryce Południowej, gdzie jego ojciec Arthur pracował jako urzędnik bankowy. Dwa lata później urodził się jego brat Hilary. Choć rodzice chłopców należeli do klasy średniej, ich życie w niewielkim południowoafrykańskim miasteczku obfitowało w niedogodności. Bloemfontein było de facto dziurą na końcu świata i choć Arthur Tolkien realizował tutaj swe aspiracje, wspinając się po szczeblach kariery, jego żona Mabel tęskniła za Wielką Brytanią i kosmopolityczną atmosferą Birmingham, skąd pochodziła. Ponadto w Wolnym Państwie Orani na dzieci pary czyhały niebezpieczeństwa, których próżno by szukać nad Tamizą. Pewnego dnia bawiącego się w ogródku małego Ronalda (imienia John autor „Władcy Pierścieni" nigdy nie używał, chyba że w oficjalnych dokumentach) ugryzł olbrzymi jadowity pająk. Chłopiec to, że przeżył, zawdzięczał tylko przytomności umysłu niani, która natychmiast wyssała jad z rany. Wątpliwe, by pisarz samodzielnie był w stanie zapamiętać to zdarzenie, ale znał je z rodzinnych opowieści, ponadto mocno zakorzeniło się ono w jego podświadomości. W końcu zarówno w „Hobbicie", we „Władcy Pierścieni", jak i w „Silmarillionie" pojawiają się ogromne demoniczne pająki, będące uosobieniem przedwiecznego zła.

Jakby nie dość było groźnych stworzeń, dzieciom dokuczały też infekcje wywołane surowym afrykańskim klimatem, zaś ich matce doskwierała nuda. Ostatecznie Mabel postanowiła odwiedzić pozostawianą w Anglii rodzinę i przedstawić chłopców dziadkom. Przebieg wizyty był bardzo udany, a rodzice i siostry Mabel polubili małych Tolkienów. Idylla zakończyła się jednak tragedią, 14 lutego J.R.R. podyktował matce list

eprasa.pl aa16717a60

do taty, w którym wyrażał swoją tęsknotę za nim. Nie wiedzieli, że w chwili gdy spędzali czas na tej wesołej pracy, adresat owego listu już nie żył. Pismo zawiadamiające o zgonie Arthura Tolkiena listonosz przyniósł młodej wdowie dosłownie dzień później.

Sytuacja, w jakiej znalazła się teraz Mabel, była niegodna pozazdroszczenia. Jej rodzice nie byli wystarczająco zamożni, by wziąć na siebie jej utrzymanie, mogli jedynie od czasu do czasu wspomagać ją finansowo. Pomoc zaoferował będący zamożnym biznesmenem szwagier, ale poza tym jedyne źródło dochodu, na jakie liczyć mogła kobieta, stanowiła teraz skromna dywidenda od niewielkich inwestycji poczynionych przez zmarłego Arthura. Wkrótce zaś miało dojść do prawdziwej katastrofy – osamotniona pani Tolkien szukając duchowej pociechy po stracie męża, zainteresowała się katolicyzmem i ostatecznie dokonała konwersji. Ojciec młodej wdowy na wieść, że została „brudną papistką", wyrzucił ją z domu i uciął wszelkie dotychczasowe wsparcie finansowe, podobnie jak reszta rodziny.

Dla Mabel i jej synów nastały trudne dni. Przenosili się z miejsca na miejsce i o ile pierwsze z nich, niewielka wioska Sarehole, dosłownie oczarowała J.R.R., stając się pierwowzorem Shire, o tyle późniejsze adresy, pod którymi mieszkała rodzina, znajdowały się w biednych dzielnicach Birmingham, a wyrwani ze świata wiejskiej przyrody chłopcy mogli przez okno obserwować wyłącznie ponury i pełen zanieczyszczeń krajobraz przemysłowego miasta.

Mimo ciężkich warunków życia i odrzucenia ze strony rodziny pani Tolkien robiła wszystko, by zapewnić dzieciom jak najlepsze wykształcenie, widząc w nim przepustkę do lepszego świata. Uczyła chłopców łaciny, greki i francuskiego i przygotowała na tyle dobrze, że obaj dostali się do prestiżowej Szkoły Króla Edwarda, zyskując niezbędne w ich sytuacji stypendia. Równocześnie w życiu rodziny pojawiła się nowa osoba, która miała zastąpić J.R.R. i Hilaremu ojca. Człowiekiem tym był Francis Xavier Morgan, ksiądz z Oratorium Birminghamskiego, do którego Mabel z synami zaczęli uczęszczać na msze. Duchowny został przyjacielem wdowy i jej przewodnikiem duchowym, dla chłopców zaś stał się mentorem i opiekunem. Francis Morgan odegrać miał w życiu autora „Władcy Pierścieni" kluczową rolę.

Stres i nędzne warunki życiowe odcisnęły się fatalnie na zdrowiu matki chłopców. Kobieta zapadła na cukrzycę i 20 listopada 1905 roku zmarła, powierzając w testamencie pieczę nad synami ojcu Morganowi. Dla J.R.R. skończyły się czasy, które mimo panującego w domu ubóstwa już zawsze miał postrzegać jako idylliczne i próbować przywrócić je swoim piórem do życia w opisach zamieszkanej przez Hobbitów pogodnej krainy Shire.

Księżniczka z piętra niżej

Śmierć matki stanowiła dla 13-latka wstrząs. Równocześnie związała go niezwykle silnymi więzami z katolicyzmem. Odejście Mabel sprawiło, że w starszym z jej synów zapłonął gniew na krewnych, których obwiniał o wpędzenie matki do grobu. Zmarła urosła w jego oczach do rangi męczennicy za wiarę, a religia, którą przyjęła i przy której wytrwała wbrew wrogości rodziny, stała się prawdą ostateczną. J.R.R. przemienił się w gorliwego wyznawcę i takim miał już pozostać do końca życia – czy to jako dorastający chłopiec, służąc do mszy w Oratorium Birminghamskim, czy też już będąc człowiekiem dorosłym, zrywając się przed świtem, by zdążyć na mszę o szóstej rano i przyjmując codziennie komunię.

Ojciec Morgan, podobnie jak jego zmarła przyjaciółka uważał, że najważniejszą kwestią jest zapewnienie osieroconym chłopcom dobrego wykształcenia. Dlatego wspomagał ich w nauce (także materialnie) i rozbudzał ambicje, m.in. dzięki jego zachętom przyszły autor „Władcy Pierścieni" stał się wyróżniającym się uczniem Szkoły Króla Edwarda, zdobywając najwyższe noty i uczestnicząc w zajęciach pozalekcyjnych (z grupką kolegów założyli klub dyskusyjny, grał także z dobrymi wynikami w rugby i redagował szkolną gazetkę). Świetne wyniki w nauce sprawiały, że J.R.R. i idący w jego ślady Hilary otrzymywali od szkolnych władz stypendium, będące dla nich jedynym sposobem umożliwiającym edukację w tej prestiżowej i drogiej placówce. Nasz bohater zaczął się przygotowywać też do egzaminów wstępnych na Oksford i Cambridge, a nauczycieli wróżyli mu sukces. I wtedy nastąpiły wydarzenia, które Tolkien uwiecznić miał w opowieści o Berenie i Luthien.

Przez pierwsze trzy lata po śmierci matki młodzi Tolkienowie mieszkali kątem u swojej ciotki Beatrice. Sucha i zgorzkniała kobieta w ogóle nie interesowała się sierotami, ograniczając się wyłącznie do zapewnienia im dachu nad głową i wyżywienia. Życie z nią było pozbawione czułości i działało na braci deprymująco. W końcu ojciec Morgan uznał, że jego podopieczni nie mogą dalej egzystować w takich warunkach i znalazł dla nich w roku 1908 pokój do wynajęcia w domu należącym do kupca winnego Faulknera i jego żony. Atmosfera panująca u nowych gospodarzy była zgoła odmienna od tej u ciotki Beatrice. Pani Faulkner okazała się osobą nadzwyczaj sympatyczną i ciepło przywitała nowych lokatorów. Jednak to nie ona zrobiła na J.R.R. największe wrażenie. W salonie pani domu dotrzymywała towarzystwa przepiękna dziewczyna, jak się później okazało – o trzy lata starsza od naszego bohatera. Nazywała się Edith Bratt i podobnie jak przyszły autor „Władcy Pierścieni", mimo młodego wieku, miała już spory bagaż nieszczęśliwych doświadczeń.

eprasa.pl aa16717a60

Dziewiętnastolatka, której pisane było zostać panią Tolkien, już od chwili przyjścia na świat nosiła hańbiące w społeczeństwie wiktoriańskim piętno nieślubnego dziecka. Tożsamości jej ojca nigdy nie udało się ustalić, ale na szczęście matka była na tyle dobrze sytuowana, że mogła sobie pozwolić na samodzielne wychowanie córki. Edith od dziecka wykazywała niezwykły talent muzyczny i fenomenalnie grała na fortepianie, marząc o karierze profesjonalnej pianistki lub choćby nauczycielki muzyki. Plany te przekreśliła śmierć matki, w wyniku czego dziewczyna została na świecie sama, szczęśliwie z niewielkim dochodem przynoszonym przez kawałek ziemi pozostawiony jej w testamencie. Pieniądze te wystarczyły na to, by się utrzymać, ale już nie na opłacenie porządnej edukacji. W salonie Faulknerów stał fortepian i właścicielka domu pozwalała Edith na nim grać, ale tylko lekkie kawałki z operetek, surowo zakazując ćwiczenia gam. I tak talent panny Bratt miast się rozwinąć, został stłamszony.

J.R.R. w przeciągu następnych tygodni i miesięcy odczuwał coraz większe zauroczenie starszą od siebie dziewczyną. Chłopak po raz pierwszy się zakochał. W rok po tym jak Tolkienowie zamieszkali u Faulknerów, romans między młodymi kwitł. Sprzyjał mu fakt, że sypialnia dzielona przez J.R.R. z bratem znajdowała się dokładnie nad pokojem wynajmowanym przez wybrankę serca przyszłego autora „Władcy Pierścieni". Na umówiony sygnał wychodzili nocami na balkony i rozmawiali godzinami. Widywali się również w przeciągu dnia, wspólnie wyjeżdżali na wycieczki rowerowe poza miasto lub szli na ciastko do którejś z licznych herbaciarni. I to ich zgubiło, bo zobaczył ich ktoś znajomy i doniósł o wszystkim księdzu Morganowi, mocno przy tym koloryzując, tak że wersja, która dotarła do uszu zacnego księdza, zawierała opis istnej Sodomy i Gomory.

Próby miłości

Duchowny wezwał swojego wychowanka na dywanik i zabronił mu się spotykać z dziewczyną. Gdy J.R.R. usiłował wyjaśnić opiekunowi, że kocha Edith, ten zdenerwował się i wymógł na chłopaku przyrzeczenie, że nie będzie się widywał z wybranką aż do swoich 21. urodzin i osiągnięcia pełnoletności, w tym czasie skupiając się na nauce. Nieszczęsny młodzieniec zgodził się na warunki ojca Morgana, po czym popełnił ogromny błąd – spotkał się jeszcze raz z panną Bratt, aby się pożegnać. I znów ktoś uczynny wcielił się w rolę donosiciela. Kolejna rozmowa z księdzem Morganem wyglądała jeszcze gorzej niż poprzednia, mężczyzna oskarżył podopiecznego o wiarołomstwo i posunął się do szantażu, grożąc chłopakowi, że albo zerwie ze swoją ukochaną wszelki kontakt, nawet listowny, albo on wycofa wsparcie finansowe, jakie okazuje J.R.R. i Hilaremu, a wówczas młodym Tolkienom przyjdzie umrzeć z głodu i skończą na ulicy. Cóż było robić – wstrząśnięty do głębi nastolatek musiał zaprzysiąc ponownie warunki swojego opiekuna. Ojciec Morgan zabrał braci z domu Faulknerów. Edith również musiała opuścić dotychczasowe lokum. Dziewczyna wyjechała z Birmingham, by zamieszkać u dalekich krewnych w Cheltenham. Jako że niczego księdzu Morganowi nie przysięgała, napisała pożegnalny list do adoratora, zapewniając go o sile swoich uczuć i tym, że będzie czekała. List ten miał stać się dla J.R.R. promykiem światła w tych beznadziejnych chwilach, zaś w dniu, w którym panna Bratt wyjeżdżała z miasta, chłopak od rana kręcił się po ulicach oddzielających jej stancję od stacji kolejowej. Szczęście mu sprzyjało – bogdanka, nie zauważywszy go nawet, minęła J.R.R. na rowerze.

Rozpacz towarzysząca wymuszonemu rozstaniu z ukochaną i perspektywą trzech lat rozłąki odbiła się negatywnie na psychice Tolkiena. Kompletnie załamany podszedł jesienią 1909 roku do egzaminów wstępnych na Oksford i je oblał. Po powrocie do Szkoły Króla Edwarda rzucił się w wir zajęć i nauki. Doskonale rozumiał, że otrzymanie stypendium stanowi dlań jedyną szansę na studia uniwersyteckie, będące przepustką do awansu społecznego. Nie mógł zawieść nadziei pokładanych w nim przez zmarłą matkę, ojca Francisa, a także, jak wierzył, Edith. Dlatego gdy w rok później ponownie przystąpił do egzaminów, zdał je z celującą notą i został przyjęty do oksfordzkiego Exeter College.

W październiku 1911 roku, gdy w dalekich Chinach wybuchała rewolucja mająca obalić ostatniego cesarza, J.R.R. rozpoczął studia na wydziale filologii klasycznej. Później miał przenieść się na filologię angielską, bardziej odpowiadającą jego fascynacji językami dawnych plemion germańskich. Lata studenckie okazały się złotymi czasami. Tolkien uczył się pilnie, a równocześnie oddawał swawolom z kolegami. Cały czas jednak liczył niecierpliwie dni do daty swoich 21. urodzin i marzył o ponownym spotkaniu z Edith. Gdy wyczekiwany moment nareszcie nadszedł, młody filolog zasiadł nad kartką papieru i przelał na nią ogrom zbierających się weń przez ostatnie lata uczuć, po czym nadał ów list miłosny do Cheltenham. Odpowiedź, jaką otrzymał, bynajmniej nie była tą, jakiej oczekiwał, bo stanowiła prawdziwy cios. Otóż panna Bratt informowała ubóstwiającego ją młodzieńca, że właśnie… się zaręczyła!

Nie po to Tolkien spędził trzy lata na wyczekiwaniu i walce, by zapewnić w przyszłości ukochanej jak najlepszy byt, żeby teraz pozwolić starannie kreślonym planom zawalić się w gruzy. Natychmiast po przeczytaniu listu pognał na dworzec kolejowy i wykupił miejsce w pierwszym pociągu jadącym do Cheltenham. Na

eprasa.pl aa16717a60

miejscu spotkał się z obiektem swoich marzeń i przekonał dziewczynę do tego, by zań wyszła! Panna Bratt była głęboko zszokowana siłą uczuć młodzieńca, które do tej pory brała za zwykłe nastoletnie zadurzenie. Oddanie J.R.R. wzruszyło ją do głębi, a za tym, że jest on lepszym kandydatem na męża niż obecny narzeczony (z którym przyszła pani Tolkien zaręczyła się tylko dlatego, że nie było pod ręką nikogo innego, a ona bała się zostać starą panną), przemawiał jego status studenta Oksfordu – dyplom tej uczelni otwierał w Imperium Brytyjskim drzwi do wielkiej kariery. Dlatego też, mimo iż krok ten wywołał w miasteczku skandal, ukochana naszego bohatera zerwała zaręczyny.

Tak więc J.R.R. i Edith znów byli razem i planowali wspólną przyszłość. Problem polegał na różnicy wyznania – dziewczyna była anglikanką, a Tolkien, pamiętający jak anglikańscy krewni potraktowali jego matkę, nie cierpiał Kościoła anglikańskiego i nie wyobrażał sobie, by jego przyszła żona doń należała. Dlatego wymusił na pannie Bratt konwersję na religię rzymską, mimo iż krok taki sprowadzić mógł na jej głowę kłopoty – wujek, u którego kątem mieszkała, nienawidził katolików do tego stopnia, że gdy na jaw wyszło, iż Edith uczęszcza na katechezę, wyrzucił ją z domu. Szczęśliwie dziewczyna znalazła wolny kąt u mniej kategorycznej kuzynki. Ostatecznie w styczniu 1914 roku przyszła pani Tolkien oficjalnie została papistką i zaręczyła się ze swym wybrankiem.

Taniec na leśnej polanie

Gdy w październiku tegoż roku Tolkien wrócił z wakacji do Oksfordu, uniwersytet był opustoszały. Na kontynencie toczyła się już I wojna światowa i większość studentów założyła mundury i wyjechała na front. J.R.R. również pragnął walczyć za ojczyznę, lecz najważniejsze były dlań studia. Dlatego przez pierwszy rok konfliktu pozostał w Oksfordzie, ucząc się pilnie, aż w roku 1915 zdał egzaminy z wyróżnieniem. Dopiero po zdobyciu tytułu naukowego zaciągnął się do armii. Przed wyruszeniem na front pozostało mu już zrobić tylko jedno – 22 marca 1916 roku J.R.R. Tolkien i Edith Bratt zawarli związek małżeński przed ludźmi i Bogiem w niewielkim kościele parafialnym w Warwick.

Nowożeńcom nie dane było cieszyć się sobą zbyt długo. 4 czerwca 1916 roku nasz bohater wyruszył w transporcie żołnierzy do Francji. 1 lipca zaczęła się krwawa bitwa nad Sommą, a w drugim tygodniu jej trwania Tolkien znalazł się na w samym środku walki. Zaczęły się dlań długie tygodnie strachu, głodu, wszechobecnego cierpienia i odoru śmierci, a przede wszystkim błota, w którym tonęli kulący się w okopach żywi i porzucone na ziemi niczyjej trupy. To, co przyszły pisarz zobaczył w trakcie swej służby liniowej, stało się po latach inspiracją do stworzenia przejmującej wizji Martwych Bagien, przez które Frodo i Sam musieli się przedrzeć w drodze do Mordoru.

J.R.R. przeżył bitwę nad Sommą, jednak potwór wojny zapewne pożarłby i jego, gdyby nie szczęśliwy traf. Już w listopadzie zapadł na gorączkę okopową. Jego stan był na tyle poważny, iż odesłano go do Anglii. Choroba nie chciała odpuścić przez następne dwa lata, gdy wydawało się, że pacjent jest już zdrowy, nagle uderzała z nową siłą. Tolkien wędrował od szpitala do szpitala, a za nim krok w krok podążała żona. W okresach gdy J.R.R. czuł się lepiej, młodzi małżonkowie cieszyli się swoją bliskością i chodzili na długie spacery. W trakcie jednego z nich Edith, w której łonie rozwijało się dziecko, zatańczyła radośnie na leśnej polanie pod drzewami – widok ten utkwił Tolkienowi w pamięci na resztę życia – pierwsze spotkanie legendarnych kochanków Śródziemia następuje, gdy zmęczony, wracający z wojny Beren jest świadkiem tańca pląsającej w blasku księżyca Luthien.

Państwo Tolkienowie przeżyli ze sobą 55 lat, aż do śmierci Edith w roku 1971. Nie zawsze były to czasy spokojne, choćby z powodu różnicy charakterów i zainteresowań. Żona autora „Władcy Pierścieni" była kobietą o silnym charakterze, samodzielną i mającą postępowe poglądy, podczas gdy on do płci pięknej odnosił się w sposób dość lekceważący, czemu dawał wyraz, wygłaszając sądy w rodzaju, że „literatura tworzona jest ku rozrywce mężczyzn", czy mówiąc do Edith językiem zdrobnień, które doprowadzały ją do szału. Żona pisarza była utalentowaną pianistką, ale jej predyspozycje nie mogły się w pełni rozwinąć ze względu na brak wsparcia otoczenia. Z przykrością należy stwierdzić, że nie otrzymała go także ze strony męża, którego muzyka nie interesowała. Za to ona sama słuchała opowieści o Beowulfie i islandzkich sagach jak bajek o żelaznym wilku.

Dla J.R.R. Edith była księżniczką elfów, którą wyniósł na piedestał i uczynił nieśmiertelną, przemieniając w bohaterkę jednej z najpiękniejszych historii miłosnych napisanych w XX wieku. Co o tym myślała sama zainteresowana? Być może wolałaby, żeby miast pisać inspirowane jej osobą heroiczne eposy, mąż traktował ją raczej jak pełnoprawną partnerkę intelektualną i nie budził o piątej nad ranem, by ciągnąć do kościoła na mszę (już jako starsza osoba pani Tolkien nie wytrzymała i kategorycznie odmówiła udziału w tych porannych praktykach). Mimo wszystko trudno wątpić w to, że przy wszystkich mankamentach w związku tym panowała miłość, nawet jeśli J.R.R. kochał swą Edith sposobem żywcem wyjętym z rycerskich romansów, podczas gdy ona darzyła męża o wiele bardziej prozaicznym uczuciem, objawiającym się tym, że po powrocie z pracy zawsze mógł liczyć na ciepły posiłek. ■

eprasa.pl aa16717a60







Krzysztof Karnkowski

Czarne lustro i polskie UFO

Na ekrany wszedł siódmy już sezon jednej z bardziej znanych produkcji z nurtu szeroko pojętej fantastyki naukowej – „Black mirror". Równocześnie Netlix zaprezentował nam krajową produkcję pt. „Projekt UFO", opowieść osadzoną w późnym PRL, umiejscowionym jednak w historii w dużym stopniu alternatywnej. Ten drugi serial, z racji perspektywy czasowej, zgrabniej porównywałoby się zapewne z innym wielkim przebojem tego samego nadawcy, „Stranger Things", jednak na nowy i według zapowiedzi ostatni już sezon tej produkcji musimy jeszcze poczekać – ale już niedługo.

eprasa.pl aa16717a60

Formuła, która się nie sprawdziła

„Czarne lustro" to serial, który towarzyszy nam już niemal 15 lat. Pierwszy odcinek brytyjska telewizja Channel 4 wyemitowała w grudniu 2011 roku. Cztery lata później, po wyemitowaniu dwóch krótkich sezonów, prawa do serii nabył Netflix. Choć zmienił się nadawca, a grono twórców stopniowo się poszerzało, za scenariusze wszystkich odcinków częściowo lub samodzielnie odpowiada Charlie Brooker. Specyfika serii polegała na umieszczeniu wydarzeń w nieodległej od naszej perspektywie czasowej, w której do powszechnego użytku wchodzi nieznana nam jeszcze (w najlepszym razie – raczkująca), lecz możliwa już do wyobrażenia sobie technologia. Podniesione poza granice ludzkiej wytrzymałości mechanizmy oceny za pomocą mediów społecznościowych; klonowanie; wykorzystywanie sztucznej inteligencji do tworzenia namiastki obecności zmarłych lub żywych, lecz odciętych od świata; coraz mocniejsze profilowanie usług; wykorzystanie techniki do kontroli itd., itp. W tym powtarzalny motyw okrutnej kary, przywodzący na myśl często obecne zwłaszcza w azjatyckich wierzeniach wizje piekła jako nieustającej pętli fatalnych zdarzeń. Wszystko to robiło wrażenie, jednak do pewnego momentu, który umiejscowić można gdzieś w okolicach przełomowego, interaktywnego odcinka specjalnego „Bandersnatch", w którym widzowie decydowali o losach bohatera za pomocą pilota. „Bandersnatch" miał zainaugurować nową epokę w dziejach rozrywki, okazuje się jednak, że wyprzedził swój czas: Netflix ogłosił właśnie, że usuwa film ze swojej biblioteki. Produkcje interaktywne nie spełniły na razie oczekiwań i popularna platforma streamingowa postanowiła postawić na gry.

Do sezonu piątego było ciekawie

Pierwsze cztery sezony, choć zdarzały się w nich również lżejsze odcinki i zabawy formą, stawiały bardzo ważne pytania o granice ingerencji w ludzki umysł, prywatność, pokazywały też rosnący wpływ mediów i social mediów na nasze decyzje. O ich mocy świadczy fakt, jak często można przywoływać je jako ilustracje do poważnych dyskusji. Jako przykład mogę tu podać pozornie zabawny (do czasu) odcinek „Waldo moment", w którym animujący aroganckiego w kontaktach z rozmówcami niedźwiadka komik staje się awatarem polityka, a ten zaczyna odnosić sukcesy. Początkowo zabawna postać staje się międzynarodowym formatem, wybieranym w kolejnych krajach przez ogłupionych wyborców i stającym się parawanem, za którym władzę sprawują mroczne i brutalne siły. Warto przypomnieć też odcinek „Archangel", w którym nowa technologia umożliwia matce kontrolę nad emocjami córki i sterowane zewnętrznie redukcje stresu. Co w dzieciństwie wydaje się niegroźne, wraz z dorastaniem staje się coraz bardziej kłopotliwą dla obu stron ingerencją w prywatność.

Odcinki często też tworzyły własne, na ogół bardzo nieprzyjemne światy, będące miejscami kary, piekłem tworzonym przez ludzi dla ludzi albo, jak w kolejnym wartym wspomnienia odcinku „Men against fire", poligonem doświadczalnym, na którym żołnierze walczą z rzekomo niebezpiecznymi mutantami, nie wiedząc o tym, że to wojskowa technologia dostarcza im zdehumanizowany obraz przeciwnika. Tę historię, podobnie jak „Waldo moment", odnieść można do świata polityki, również naszej, polskiej. Niestety, w kontekście ważności podnoszonych kwestii i oryginalności opowiadania o nich zawiódł sezon piąty, w którym twórcy osunęli się w banały (jeden z zaledwie trzech odcinków de facto powielał fabułę pretekstową nudziarstw z dawnej serii „Playboy late at night") i dydaktyczne moralizatorstwo. Przedostatni sezon również trochę rozczarowywał, choć miał swoje jaśniejsze punkty. Chyba jednak w serię trochę przestano wierzyć, skoro tym razem pojawienia się nowych odcinków nie zapowiadała żadna bardzo widoczna kampania reklamowa.

Krótki przegląd siódmej serii

W 2025 roku dostaliśmy sześć odcinków utrzymanych, jak wcześniej, w różnych stylach – od bardzo ciężkiej i przygnebiającej obserwacji społecznej do rozrywkowej, odwołującej się do nostalgii za latami 70. i 80. fantastyki. To na pewno ciekawszy od dwóch poprzednich sezon, chwilami nawiązujący do najlepszych momentów serii, zgodnie z intencjami samego Brookera, chcącego wrócić do „starego »Black Mirror«". Otwierająca historia jest bardzo przygnębiająca, do tego stopnia, że budzi we wrażliwszym widzu sprzeciw podczas oglądania, tak samo jak niektóre ze starych odcinków. Nie przez swą słabość artystyczną czy niekonsekwencję, lecz nagromadzenie nieszczęść, jakie spadają na bohatera. Oto kochający żonę robotnik, by ratować jej życie, godzi się na udział w medyczno-technologicznym eksperymencie. Jak łatwo się domyślić, sprawy nie skończą się dobrze. Odcinek porusza równocześnie dwa istotne problemy społeczne: nieuczciwość

FOT. MAT. PRAS. (3)

eprasa.pl aa16717a60

modelu subskrypcyjnego i popularność zarabiania na wykonywaniu poniżających i ośmieszających czynności w internecie. Spięte w jedną całość poprowadzą parę sympatycznych i zgodnie z tytułem odcinka zupełnie zwyczajnych osób do losu gorszego od śmierci. Trochę mniej dobijający, lecz poruszający się w podobnych rejestrach jest piąty odcinek, w którym samotny, żyjący przez lata swą dawną miłością facet, po śmierci ukochanej odkrywa, że całe swoje życie przegrał tak naprawdę przez nieporozumienie. Oba te odcinki zostały najwyżej ocenione przez większość krytyków.

Pozostałe historie to bardziej rozrywka z wykorzystaniem rozmaitych technologicznych marzeń i lęków. Tajemnicza dawna koleżanka, która pojawia się jako nowa w pracy, okazuje się być kimś więcej niż mściwą prześladowczynią. Aktorka, która przenosi się do czarno-białego filmu z pomocą zaawansowanej sztucznej inteligencji, wypadnie ze swej roli, a jej koleżanka sprzed dekad w ogóle się w jej nie odnajdzie. Oba te motywy są na swój sposób powtórzeniem, czy też rozwinięciem, starszych pomysłów, na szczęście podanym w na tyle dopracowany sposób, by fan serii wybaczył im pewną wtórność. Według mnie całkiem pomysłowy, choć też budzący skrajne reakcje fanów i krytyków, jest odcinek czwarty, „Bawidełko". Powraca w nim na chwilę znany z „Bandersnatch" genialny twórca gier Colin Ritman, a całość opowiada o bardzo sprytnej, stworzonej przez niego nowej formie elektronicznego życia. Z jednej strony fabuła jest dość przewidywalna, z drugiej ogląda się ją bardzo przyjemnie, dlatego mogę zrozumieć i narzekających, i tych, którzy w „Bawidełku" widzą najlepszy odcinek tej serii. Na jej zakończenie dostajemy natomiast drugą część historii losów załogi statku USS Callister, czyli klonów współpracowników genialnego twórcy, umieszczonych w stworzonej przez niego grze. Ta część mogłaby być samodzielnym odcinkiem specjalnym, ponieważ zarówno rozmachem, jak i długością ścigać się może z kinowymi ekranizacjami istniejących gier. Całość, również dzięki tak mocnemu zakończeniu, pozostawia po sobie nie najgorsze wrażenie i można zaryzykować tezę, że Charliemu Brookerowi plan przywołania tego, co w serii było kiedyś najlepsze, w dużym stopniu się powiódł.

▶ Peerelowskie cuda

Czy polski serial „Projekt UFO" ma coś wspólnego z „Czarnym lustrem"? Czteroodcinkowa opowieść wyreżyserowana przez Kaspra Bajona luźno oparta jest na zdarzeniach, które w 1978 roku rozgrywały się w Emilcinie. W miejscowości tej rolnik Jan Wolski spotkać miał istoty pozaziemskie. Bajonowi ta ciekawostka z PRL służy do opowiedzenia alternatywnej historii. Krajem wstrząsają protesty, rodzi się „Solidarność", komuniści są zaś mocno pogubieni. Jak z nieba – dosłownie! – spadają im plotki o kosmitach, które nagłaśnia tropiący niesamowite zjawiska dziennikarz TVP Jan Polgar, grany przez Piotra Adamczyka. Sam Polgar walczy tymczasem o oglądalność, bo zaczyna zagrażać mu wzorowany na Kaszpirowskim hipnotyzer. Komuniści początkowo są sceptyczni, jednak w miarę narastania chaosu odkrywają, że zagrożenie z kosmosu, prawdziwe lub nie, może im się przydać. To sprytna analogia do straszenia w 1981 roku interwencją Sowietów. A co z zadanym przeze mnie pytaniem? Sceny tej historii zaludniają między innymi małomiasteczkowi fanatycy zjawisk paranormalnych i tych spokojnie widziałbym też w którymś z odcinków „Black mirror". Oczywiście „Projekt UFO" nie próbuje być polskim odpowiednikiem znanego serialu, po prostu pojawił się w okolicach jego nowego sezonu. Jest to jednak całkiem udana produkcja, inscenizacje realiów komuny nie bolą, a patologie ludzkich relacji i zależności w światku dziennikarzy, notabli i ich kochanek, choć ponadczasowe, nieźle umoczone zostały w PRL-owskim bagienku. Dlatego też po przyciężkiej superprodukcji można złapać oddech przy rodzimej opowieści. ■

Inscenizacje realiów komuny w „Projekcie UFO" nie bolą, a patologie ludzkich relacji i zależności w światku dziennikarzy, notabli i ich kochanek, choć ponadczasowe, nieźle umoczone zostały w PRL-owskim bagienku.

eprasa.pl aa16717a60

Marek Kalinowski

Lekcje polskiego z Sanah

Dla muzycznych krytyków zbyt konserwatywna, romantyczna i błaha, a młodzi odbiorcy wprost uwielbiają jej piosenki. Sanah, czyli Zuzanna Grabowska, ma już na koncie kilka platynowych płyt, nagrody Fryderyka i ścieżkę muzyczną do nowego „Pana Kleksa". Teraz, w zaskakujących duetach, sięga po raz kolejny po poezję polskich mistrzów.

Nie wolno łączyć banalnej muzyki z poezją Słowackiego i Norwida – grzmiała nie tak dawno znana nauczycielka śpiewu i etatowa jurorka w telewizyjnych show, odnosząc się do twórczości Sanah. Inny twitterowy krytyk, z właściwą sobie butą, stwierdził, że artystka „nie wie, o czym śpiewa". Kolejny „autorytet", tym razem reżyser, miał do Sanah pretensje, że śpiewa o rzeczach błahych (choć w oryginale było wulgarniej), zamiast walczyć o demokrację. Dodajmy, że było to jednak tuż przed nadejściem „demokracji walczącej".

Nie pierwszy to już raz głosy mainstreamowej krytyki nie idą w parze z gustami publiczności. Zwłaszcza młodej publiczności, która ma to do siebie, że niespecjalnie kieruje się głosem tzw. krytyków. Każda płyta Sanah rozchwytywana jest więc jak świeże bułeczki, odsłuchy na Spotify liczone są milionami, a koncerty na stadionach wyprzedane aż po ostatnie trybuny.



sanah, DWOJE LUDZIEŃKÓW, Magic Records

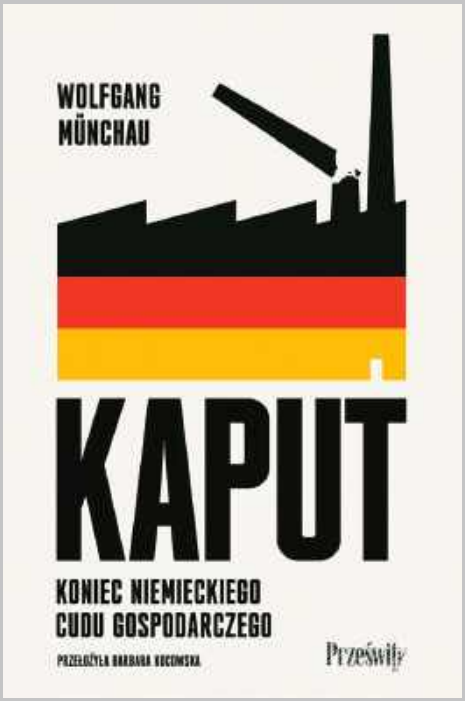
Mylą się również owe „autorytety" w dość jednostronnych i krzywdzących ocenach twórczości Zuzanny Grabowskiej. Mamy nie tylko do czynienia z solidnie wykształconą wokalistką i skrzypaczką z dyplomem Uniwersytetu Muzycznego, lecz także z artystką, która potrafi w swoich tekstach zbudować barwne, ciekawe historie, co wcale nie jest tak częste w muzyce popularnej. Mało tego, opowiedziane są one żywym, współczesnym, bogatym w skojarzenia i nowe słowa językiem.

Innym zarzutem „krytyki" był zbyt konserwatywny wizerunek Sanah. Kto to bowiem słyszał, by współczesna młoda kobieta przywdziewała hafty, wianki i róże, a na dodatek z taką lubością pławiła się w romantycznych, przesłodzonych historiach. Sanah najwyraźniej jednak lubi iść pod prąd i robić rzeczy „niemodne". Na najnowszej płycie znowu sięga po poezję znaną jej słuchaczom głównie z listy szkolnych lektur. I na dodatek ma sposób, aby teksty Mickiewicza, Baczyńskiego, Różewicza czy Miłosza na nowo zagrały w sercach młodych odbiorców.

Piosenkarka sprytnie żongluje nastrojem i gatunkami, trochę dopasowując je do zaproszonych gości, bo każdy z utworów wykonuje w duecie z innym artystą. I tak „Inwokacja" Mickiewicza zakończona jest rockowym finałem z popisową, gitarową solówką Grzegorza Skawińskiego, a „Kochałam Pana" z udziałem Anny Marii Jopek zahacza o lekko jazzujące, popowe klimaty. Na singiel, chyba słusznie, wybrany został chwytliwy cytat z poezji Przerwy-Tetmajera i zarazem udany duet z Krzysztofem Zalewskim. Piosenka już przed premierą albumu często pojawiała się w komercyjnych radiostacjach i jest zdecydowanie przyjemniejsza w odbiorze niż tytułowy utwór zaśpiewany z raperem Soblem. W pamięci bez wątpienia pozostanie też zanurzony w mrocznym muzycznym klimacie występ z Katarzyną Nosowską w „Ofelii" Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, a starsi odbiorcy na pewno z przyjemnością powitają wciąż przepiękny głos Alicji Majewskiej czy występ dawno niesłyszanego Michała Bajora. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl aa16717a60



Wolfgang Münchau, „Kaput. Koniec niemieckiego cudu gospodarczego", tłum. Barbara Kocowska, Prześwity, Warszawa 2025

Krzysztof Wołodźko



Kres potęgi Niemiec? Czy nowy początek?

„Kaput" Wolfganga Münchau nie jest wyłącznie książką o poważnym kryzysie niemieckiej gospodarki. To analiza, która zadaje kłam najbardziej szkodliwej i bałamutnej opowieści kompradorskich elit III RP, że państwo i rynek to dziedziny, które powinny być od siebie radykalnie oddzielone.

eprasa.pl aa16717a60

Zapatrzeni w Berlin politycy i media przeoczyli oczywistość: „Kolejne rządy uważały za priorytet niemieckiej polityki zagranicznej pomoc w zapewnieniu zamówień dla niemieckich firm i wspieranie w kraju, w Brukseli i za granicą interesów rodzimego przemysłu". Nie zapominajmy o tym, napawając się albo martwiąc wizją załamania tamtejszej gospodarki. Berlin prędzej czy później zacznie odbudowywać swój potencjał, wymyśli nowy sposób na sukces, nie oglądając się ani przez moment na nasze interesy.

Złożona analiza źródeł pogłębiającego się kryzysu za naszą zachodnią granicą, przedstawiona na kartach „Kaput" Wolfganga Münchau, od pierwszych stron uświadamia jedno: narodowa gospodarka jest czymś znacznie większym niźli ściśle rynkową grą. To wypadkowa wielu czynników, które decydują o jej globalnym znaczeniu. W Polsce to wciąż nieprzyswojona społecznie prawda – wolnorynkowa ideologia, która najlepiej przysłużyła się zagranicznemu kapitałowi i staro-nowym elitom, skutecznie ograniczyła rodzime perspektywy i pojmowanie źródeł gospodarczego wzrostu. Przestrzegam przed traktowaniem „Kaput" jak lekarstwa na nasze kompleksy lub łatwej pożywki dla złośliwej satysfakcji z niemieckich problemów. Zanim Berlin wpadł w poważne kłopoty, miał się czym pochwalić. Jeśli mamy przyglądać się cudzemu upadkowi z wysokiego konia, to warto wyciągnąć z tego pożyteczne wnioski. Tym bardziej, że nawet osłabione Niemcy to dla nas wyzwanie, a prędzej czy później skonfrontujemy się geopolitycznie i geoekonomicznie z odbudowującym swój potencjał zachodnim sąsiadem.

Kryzys po niemiecku

„Świat się zmienił, ale nie zmieniły się Niemcy" – zaczyna swoją książkę Wolfgang Münchau, dziennikarz i analityk gospodarczy, przez lata kierujący niemieckim wydaniem „Financial Times". Jego opowieść o gospodarce to historia potężnej lokomotywy, która nie zmieniła w porę torów. Zdecydowały o tym błędy w zarządzaniu kapitalizmem przemysłowym, niedocenienie technologii, geopolityczne złudzenia, narodowa mitologia. „Jak wszystkie tragedie, także ta ma swój początek w dobrych czasach" – zauważa autor „Kaput", krytykując pychę i zachowawczość niemieckich elit i społeczeństwa, zaślepionych własną potęgą. Jego zdaniem kryzys tamtejszej gospodarki ma kilka istotnych źródeł: zapóźnienie technologiczne, czyli przeoczenie rewolucji cyfrowej; uzależnienie od tanich rosyjskich paliw; zlekceważenie rosnącej roli Chin, które nie tylko Berlin zbyt długo traktował jedynie jako taniego podwykonawcę; poważny kryzys niemieckiej bankowości; model kulturowy, który nie sprzyja zdobywaniu wysoko wykwalifikowanych zagranicznych pracowników i ogranicza innowacyjność gospodarki; hipertrofia przemysłu motoryzacyjnego. Problem nie tkwi jedynie w cyklicznym charakterze kapitalistycznych gospodarek, to problem coraz bardziej niewydolnego systemu: „Cykle koniunkturalne będą się powtarzać, ale kryzys strukturalny nie minie – chyba że dokona się zmiana modelu".

Warto zakarbować sobie, że przez dekady ten model działał, zanim uległ wyczerpaniu; przyniósł federalnej republice nie tylko krociowe zyski, lecz także wzmocnił jej geopolityczny potencjał: „Nowoczesne Niemcy nie znały innego modelu jak tylko korporacjonistyczne społeczeństwo industrialne. Istnieje pewien utrzymywany w ryzach przyjazny konflikt między związkami zawodowymi a pracodawcami, lecz obie strony ostatecznie działają w granicach tego samego systemu. W kwestiach zasadniczych są zgodne. Kolejne rządy uważały za priorytet niemieckiej polityki zagranicznej pomoc w zapewnieniu zamówień dla niemieckich firm i wspieranie w kraju, w Brukseli i za granicą interesów rodzimego przemysłu. […] Prawica chciała zysków z przemysłu. Lewica chciała miejsc pracy w przemyśle. Zieloni marzyli o zielonym przemyśle. Nikt nie kwestionował silnego zakotwiczenia w przemyśle jako takiego. Zamiast dywersyfikacji i odejścia od tradycyjnych gałęzi przemysłu w kierunku nowych branż Niemcy trwały przy swoim". Zanim zaczniemy z politowaniem kiwać głową nad niemieckimi błędami, musimy sobie uświadomić, że III RP nie może pochwalić się niczym podobnym: jedyny cichy konsensus nad Wisłą zbyt długo dotyczył modelu społeczno-gospodarczego, który uczynił nas podwykonawcą niemieckiego przemysłu i polityki.

Alarmująca tendencja

Münchau dociekania na temat niemieckiego kryzysu rozpoczyna od sektora finansowego. Jego filarami są banki państwowe, prywatne i spółdzielcze, a ich głównym celem ściśle zintegrowana ze strategią państwa realizacja planów gospodarczych („Systemem zarządzali bankierzy, ale równie dobrze mógł on być zarządzany przez polityków"). Istotną cechą systemu jest deglomeracja, czyli zdecentralizowane planowanie, mocno związana z federacyjnym charakterem republiki: „Chcąc zrozumieć, gdzie w Niemczech znajdują się ośrodki władzy, nie należy koncentrować się na Berlinie: wielu znaczących wpływowych postaci należy szukać w takich miastach jak Hanower, Düsseldorf lub Monachium". Dobre relacje czy – jak chce autor „Kaput" – konszachty między politykami, bankierami i przemysłowcami skutecznie zabezpieczały

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl aa16717a60

przez dekady ich interesy. Doprowadziły jednak do tego, że niemiecka gospodarka nie zauważyła konieczności finansowania nowych, innowacyjnych, zaawansowanych technologii. Zaszkodziło to również bankom: dwie dekady temu Niemcy mogli pochwalić się czterema instytucjami finansowymi w globalnej czołówce, dzisiaj – ani jedną.

„Najdziwniejsze w naszej opowieści jest to, w jaki sposób Niemcy, będące niegdyś najbardziej innowacyjnym krajem świata, znalazły się w ogonie pod względem rozwoju technologicznego" – pisze autor „Kaput". Jego zdaniem źródłem historycznej klęski były czasy rządów Adolfa Hitlera – nawet w czasach powojennej przemysłowej prosperity nie udało się nadrobić cywilizacyjnych strat wywołanych potężnym odpływem naukowców do krajów anglosaskich. Münchau sugeruje, że nazistowskie spustoszenie pozostawiło po sobie niewidzialne, lecz niezatarte piętno. Zbyt wolne gospodarcze wejście w rewolucję cyfrową łączy się z inną kwestią: w Niemczech jest obecnie znacznie mniej niż w Wielkiej Brytanii studentów na kierunkach ścisłych (STEM – ang. Science, Technology, Engineering, Mathematic). Podobny problem dotyczy niemieckich szkół, które zdecydowanie spadają w prowadzonym przez OECD rankingu PISA, także jeśli chodzi o matematykę i nauki ścisłe, a „dla kraju, który tak bardzo polega na przemyśle jak Niemcy, to tendencja alarmująca". To się przekłada na „technologiczną zachowawczość" przemysłu i gospodarki – wśród dziesięciu najlepiej dokapitalizowanych start-upów z sektora AI nie ma ani jednej niemieckiej firmy.

Energia i motoryzacja

Bodaj najważniejszy z polskiej perspektywy rozdział „Kaput" nosi wymowny tytuł „Niedobór energii" i dotyczy relacji niemiecko-rosyjskich. Nie bez powodu w pierwszym akapicie czytamy o byłym kanclerzu, wieloletnim liderze Socjaldemokratycznej Partii Niemiec, Gerhardzie Schröderze. I prezydencie Rosji, Władimirze Putinie, który pomógł Berlinowi stworzyć neomerkantylizm polityczny, przemysłowy i energetyczny. Münchau nie tylko opisuje grupę „przyjaciół Gerharda", którzy realizowali niemiecko-rosyjskie projekty gospodarcze. Jego zdaniem ekonomiczne wybory ściśle współgrały z głęboko zakorzenioną strategią geopolityczną: niemiecka socjaldemokracja świadomie przestała zwracać uwagę na łamanie praw człowieka najpierw w radzieckiej, później putinowskiej Rosji, niechętnie odnosiła się również do Solidarności. Znacznie lepiej czuła się w formalnych i nieformalnych relacjach z ludźmi Kremla niż lidera państw Europy Środkowo-Wschodniej. Partnerstwo zmienione w „toksyczną zależność" w kolejnych odsłonach politycznych trwało aż do wybuchu pełnoskalowej wojny Rosji przeciw Ukrainie: uwikłane są w to chadecja, socjaldemokracja, Zieloni, Alternatywa dla Niemiec. I bodaj największa siła polityczna Niemiec: potentaci przemysłowi i energetyczni.

Co jest dobre dla przemysłu motoryzacyjnego, to jest dobre dla Niemiec – prymat branży samochodowej to znak rozpoznawczy tamtejszej gospodarki. Jednak zdaniem byłego redaktora „Financial Times" to przestało się sprawdzać. Głośny skandal z Volkswagenem, który masowo instalował w silnikach aut urządzenia oszukujące czujniki poziomi emisji, pokazał skalę – przeoczonych przez branżę i polityków – wyzwań. W pierwszej dekadzie XXI wieku niemiecki przemysł motoryzacyjny zaczął przegrywać z chińskim sektorem elektrycznych samochodów. Dla wielu polskich czytelników to będzie wątek kontrowersyjny, ale Münchau nie ma wątpliwości, że niemiecki, konwencjonalny przemysł motoryzacyjny nie wytrzyma konkurencji z zalewem dotowanych chińskich „elektryków". Nie pomogą nawet subwencje – nawet jeśli Europejczycy wciąż wolą kupować tradycyjne auta na paliwo, to bardziej zdyscyplinowani azjatyccy klienci masowo przerzucą się na samochody elektryczne. Nie bez znaczenia jest też fakt, że Niemcy przestały być potęgą na chińskim rynku zbytu: „W czołowej dziesiątce samochodów w Chinach nie ma już ani jednej marki niemieckiej". A to oznacza, że spada również sieciowy efekt gospodarczy – spadają wskaźniki wzrostu, marże zysku i wynagrodzenia w największym niemieckim sektorze przemysłowym.

Pekin przechytrzył Berlin

W Polsce dość często spotkamy pogląd, że niemieckie elity doskonale rozgrywają politykę międzynarodową. Münchau jest innego zdania: „[…] brak myślenia geopolitycznego jest bardzo powszechną cechą niemieckich elit politycznych". Dlatego tamtejsze elity i ich prominentni przedstawiciele, na czele z niedawnym kanclerze Niemiec Olafem Scholzem, mieli przeoczyć moment, w którym to Kraj Środka zaczął dominować w relacjach Pekin–Berlin. Choć oba kraje prowadzą politykę neomerkantylistyczną, chińska wizja techno-polityczna jest odważniejsza i dysponuje coraz większym potencjałem. Przyda się dłuższy cytat: „Początkowo Chiny były miejscem taniego wytwarzania towarów. Chińczycy kupowali niemieckie plany i maszyny, by produkować towary. Obecnie Chiny są znacznie bardziej zaawansowane w rozwoju niż

eprasa.pl aa16717a60

Niemcy w takich obszarach jak sztuczna inteligencja, samochody elektryczne i niektóre technologie środowiskowe, takie jak akumulatory, samochody elektryczne i pompy ciepła". Co więcej, Chiny wypierają Niemców z Afryki i umacniają się na rynkach wewnętrznych naszego zachodniego sąsiada. Nikt w Berlinie nie wie, jak realnie poradzić sobie z coraz trudniejszym wyzwaniem.

Interesującym wątkiem książki jest problem mentalności, społecznej i instytucjonalnej obyczajowości, która sprawia, że wielu przybyszów uważa Niemcy za kraj niezbyt przyjazny do życia. Powtórzę tezę wprost zawartą na kartach „Kaput": tamtejszy model kulturowy nie sprzyja zdobywaniu wysoko wykwalifikowanych zagranicznych pracowników i ogranicza innowacyjność gospodarki. Może to przeczyć potocznej opinii, Münchau jest jednak przekonany, że Niemcy są najbardziej atrakcyjnym krajem dla nisko wykwalifikowanych imigrantów, ale nie potrafią przyciągać przybyszy o wysokich kwalifikacjach. Niemieckie instytucje są nieufne wobec osób obcojęzycznych, co paradoksalnie powoduje, że lepiej wykształceni, często doskonale operujący angielskim przyjezdni z innych krajów Unii Europejskiej czują się w Niemczech gorzej niż ludzie, którzy przybywają z Azji czy Afryki i nie mają nic do stracenia. Z dostępnych analiz wynika, że imigranci czują się traktowani nieżyczliwie przez Niemców i nie czują się tam jak w domu: „[…] kafkowska biurokracja chwytająca […] w pułapki ustawicznych procedur; w niektórych przypadkach otwarty rasizm; dyskryminacja w miejscu pracy; naturalna przeszkoda w postaci trudnego do opanowania języka niemieckiego". Ilość nie przechodzi w jakość: nadmiar taniej, źle wyedukowanej imigranckiej siły roboczej nie zapewni Niemcom elitarnych kadr do budowania bardziej innowacyjnej technologicznie gospodarki.

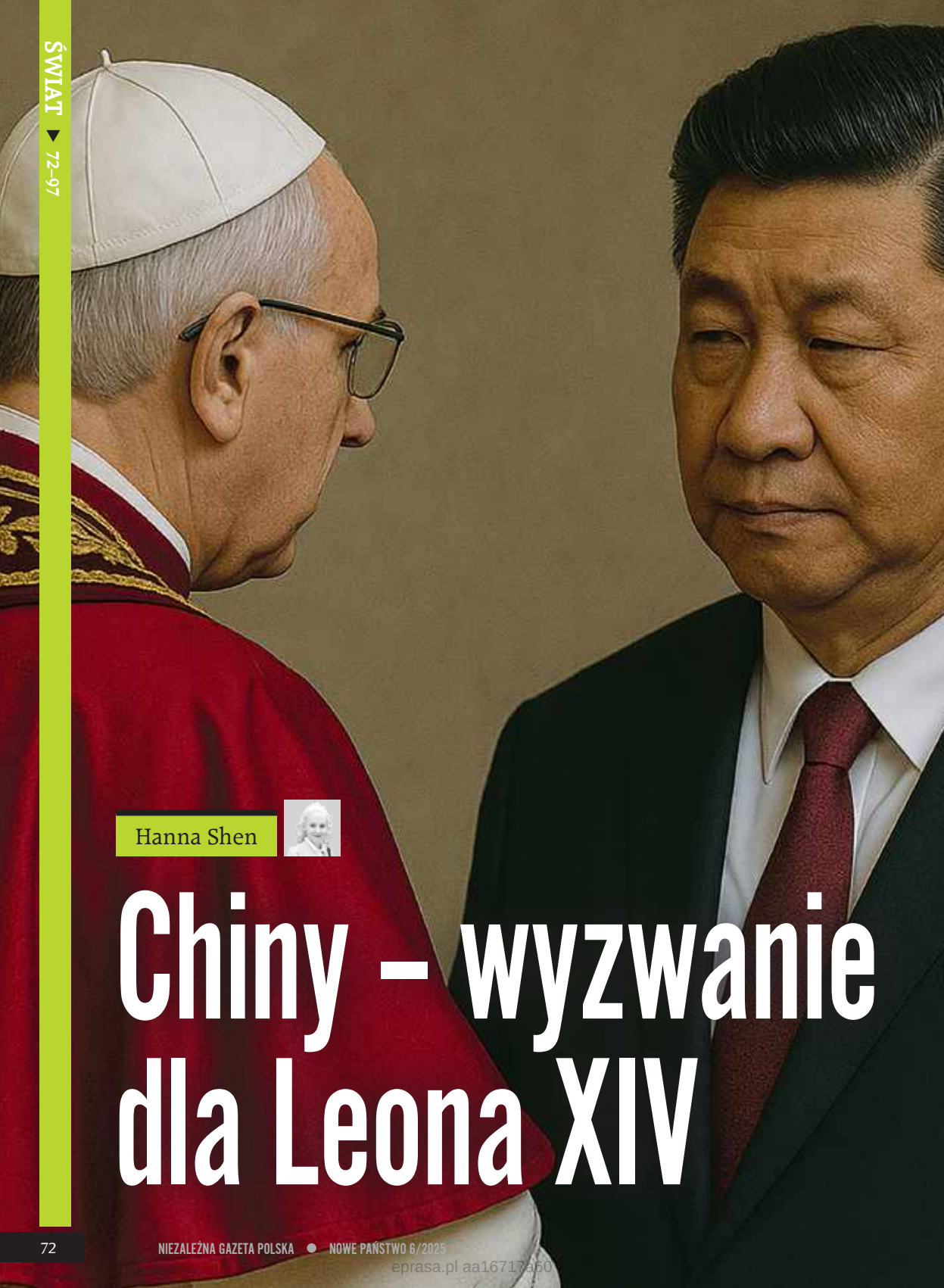
To koniec Niemiec?

W rozmowie z jednym z czytelników „Kaput" usłyszałem, że to już definitywny koniec niemieckiej supremacji w Europie. Czy na pewno? Trzeba pamiętać, że mówimy o państwie, które w czasach Adolfa Hitlera wywołało największy konflikt zbrojny w dziejach ludzkości, okupiony gehenną wielu narodów, spustoszeniem wielu krajów, a kilkanaście lat później – podzielone geopolitycznie między Zachód a Wschód – było jedną z największych światowych gospodarek. Mówimy również o państwie, które do niedawna trzęsło Unią Europejską i naszym regionem. I wcale nie zamierza odpuszczać. Nie jest wykluczone, że Berlin znajdzie nową drogę gospodarczą, a żeby znów ruszyć do przodu – wykorzysta sprawdzone metody. Wymownie zabrzmiały niedawno informacje, że niemieccy i rosyjscy politycy prowadzą potajemne rozmowy w słynnym roponośnym Baku, stolicy Azerbejdżanu. Wymownym znakiem społecznych oczekiwań za naszą zachodnią granicą jest wzrost popularności prorosyjskiej Alternatywy dla Niemiec. Byłoby niedobrze, gdybyśmy kolejny niemiecki boom przywitali gasnącym w ustach pustym śmiechem. Ale i w tej kwestii nie wszystko zależy od tych, którym leży na sercu polska racja stanu – w czas wyborów prezydenckich potencjalny kierunek rozwoju sytuacji określa większość przy urnach.

Niemcy przestały być potęgą na chińskim rynku zbytu: „W czołowej dziesiątce samochodów w Chinach nie ma już ani jednej marki niemieckiej". A to oznacza, że spada również sieciowy efekt gospodarczy – spadają wskaźniki wzrostu, marże zysku i wynagrodzenia w największym niemieckim sektorze przemysłowym.

Wolnorynkowcy z triumfem mogą zawołać, że Münchau jako głównego przeciwnika dalszego wzrostu niemieckiej gospodarki wskazuje neomerkantylizm, mocno wiążący ze sobą świat elit przemysłowych i politycznych. Rzecz jednak w tym, że autor „Kaput" wcale nie zachęca niemieckiego państwa do bezwarunkowej kapitulacji, rezygnacji z walki o nowy model społeczno-gospodarczy. Analizuje słabe punkty systemu, by sprowokować dyskusję i dać impuls do szukania dróg wyjścia z impasu. Zastanawiam się, czy w Polsce byłaby możliwa podobna książka o naszym modelu (niedo)rozwoju, jak i przez kogo byłaby czytana oraz czy w takiej formule mogłaby liczyć na powszechne zainteresowanie. Niestety, nie mam krzepiących myśli. ■

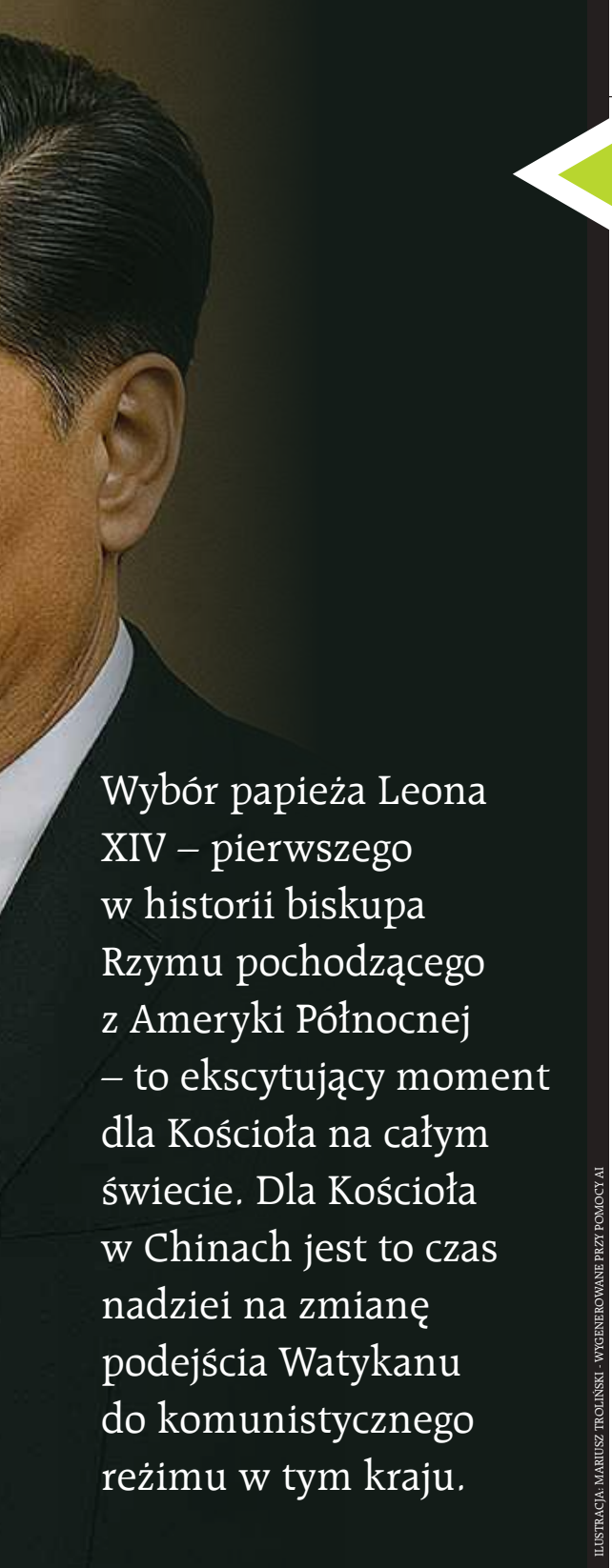
eprasa.pl aa16717a60



Hanna Shen

Chiny – wyzwanie dla Leona XIV

eprasa.pl aa16717360



Wybór papieża Leona XIV – pierwszego w historii biskupa Rzymu pochodzącego z Ameryki Północnej – to ekscytujący moment dla Kościoła na całym świecie. Dla Kościoła w Chinach jest to czas nadziei na zmianę podejścia Watykanu do komunistycznego reżimu w tym kraju.

ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLIŃSKI - WYGENEROWANE PRZY POMOCY AI

Kiedy emerytowany ordynariusz Hongkongu, kardynał Joseph Zen, przybył do Watykanu tuż po śmierci papieża Franciszka, wielu twierdziło, że nie musi nawet zabierać głosu. Już sama obecność tego 93-letniego duchownego w Stolicy Apostolskiej wysyłała bardzo wyraźny sygnał do kardynałów, którzy wkrótce mieli wziąć udział w konklawe – była jak upomnienie, że Kościół w Chinach doświadcza cierpienia. Kardynał Zen, zagorzały krytyk komunizmu, nazywany „sumieniem Hongkongu", od lat sprzeciwia się umowie, którą papież Franciszek podpisał w 2018 roku z komunistycznymi władzami Chińskiej Republiki Ludowej (ChRL). W wywiadzie udzielonym w 2020 roku „Gazecie Polskiej" kard. Zen określił zawarcie tego porozumienia jako zdradę Kościoła w Chinach. „Zabito prawdziwy Kościół w Chinach. Zabito Kościół podziemny. A u władzy w oficjalnym Kościele w Chinach są oportuniści". Jednym z tych oportunistów, według hongkońskiego duchownego, był kard. Pietro Parolin, sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej, który przed konklawe uchodził za duchownego z największymi szansami na objęcie papieskiego tronu. Kardynał Zen oskarżył kard. Parolina o bezwzględne stłumienie wszelkich krytycznych głosów w Watykanie dotyczących zaangażowania Kościoła w rozmowy z Komunistyczną Partią Chin (KPCh). W ramach tych działań Parolin zesłał abp. Savio Hona, sekretarza Kongregacji ds. Ewangelizacji Narodów i jedynego wysoko postawionego chińskiego duchownego w kurii, na stanowisko dyplomatyczne w Grecji. Dodatkowo przestał zwoływać spotkania niezwykle ważnej Papieskiej Komisji ds. Kościoła w Chinach, założonej przez Benedykta XVI w celu badania sytuacji katolików w tym kraju. Jak twierdził kardynał Zen, te posunięcia ułatwiły Parolinowi osiągnięcie porozumienia z Pekinem.

Kościół w rękach komunistów

Treść porozumienia pomiędzy Stolicą Apostolską a Chinami, podpisanego w 2018 roku i odnowionego trzykrotnie w 2020, 2022 oraz w ubiegłym roku, pozostaje tajna. Wiadomo jednak, że Pekin zgodził się na to, aby papież miał prawo głosu w procesie nominacji biskupów w Kościele oficjalnym, znanym jako Patriotyczne Stowarzyszenie Katolików Chińskich, które jest podporządkowane komunistycznemu rządowi. W zamian Watykan uznał biskupów desygnowanych wcześniej przez władze komunistyczne, akceptując również tych, którzy wcześniej zostali ekskomunikowani.

W praktyce sytuacja przedstawia się następująco: zgodnie z porozumieniem to Pekin przedstawia Stolicy Apostolskiej kilku kandydatów na biskupa, spośród których papież dokonuje wyboru. Przypomina

eprasa.pl ad16717a60

to „demokrację" w stylu KPCh: możesz głosować, ale tylko na moich kandydatów. Jak zauważa Nina Shea, dyrektor Centrum Wolności Religijnej przy konserwatywnym think tanku Instytut Hudsona, Chiny dążyły do zawarcia porozumienia ze Stolicą Apostolską z jednego prostego powodu: „Chciały uzyskać pomoc Watykanu w wyeliminowaniu podziemnego Kościoła katolickiego". Pekin dążył do stworzenia warunków, które umożliwiłyby kontrolowanemu przez KPCh Kościołowi patriotycznemu stać się instytucją, w ramach której, za błogosławieństwem papieża, mogłoby dojść do zjednoczenia chińskich katolików. „Po zawarciu porozumienia chińskie władze zrobiły nagonkę na duchownych Kościoła podziemnego, ostrzegając ich, że przeciwstawią się papieżowi, jeśli nadal będą chrzcić, wyświęcać nowych duchownych i modlić się w niezarejestrowanych kościołach. Podziemny Kościół katolicki w Chinach mógł znieść oficjalne zaszufladkowanie jako nielegalny lub kontrrewolucyjny; przetrwał przecież zaciekłe prześladowania jako wróg państwa podczas rewolucji kulturalnej Mao. Ale nie wytrzymał starcia z papieżem" – twierdzi Shea.

Duchowni Kościoła podziemnego zostali zmuszeni do zakończenia swojej aktywnej posługi. Ugoda z Pekinem w żaden sposób nie poprawiła sytuacji katolików w Chinach. Wręcz przeciwnie, polityka sinizacji religii, prowadzona od 2013 roku przez Xi Jinpinga, uległa zaostrzeniu. Kampania ta wymaga, aby kościoły, m.in. poprzez stosowanie odpowiednich symboli, dostosowały się do „kultury i społeczeństwa chińskiego, będącego pod władzą komunistyczną". W praktyce oznacza to m.in., że z kościołów zaczęto usuwać krzyże, a w ich miejsce umieszczano portrety Xi Jinpinga i Mao Zedonga. Na dzwonnicach pojawiły się flagi komunistycznych Chin. O tym, że porozumienie z Watykanem było dla KPCh jedynie narzędziem do przejęcia kontroli nad całym Kościołem katolickim w Chinach, świadczy fakt, że niecały tydzień po śmierci papieża Franciszka komuniści w Pekinie wykorzystali okres *sede vacante* – czas między śmiercią jednego papieża a wyborem kolejnego – do przeforsowania nominacji dla dwóch nowych biskupów. Biskupem pomocniczym w Szanghaju został ksiądz, który od 2018 roku jest członkiem Komitetu Ludowej Politycznej Konferencji Konsultatywnej Chin, organu doradczego chińskiego parlamentu komunistycznego. Nowo wybrany biskup Xinxiangu (prowincja Henan) również od lat pozostaje w podporządkowaniu KPCh. W 2018 roku był jednym z sygnatariuszy okólnika zakazującego nieletnim uczestnictwa w mszach w Henan. Nina Shea zauważa, że te dwie nominacje stanowią „rzucenie rękawicy papieżowi Leonowi, który teraz musi podjąć decyzję o dalszych krokach. Przedstawiono mu tych dwóch nowych biskupów, a on może ich zatwierdzić lub wyrazić sprzeciw, co może mieć poważne konsekwencje".

Potrzeba odwagi św. Jana Pawła II

Nowy papież stoi przed wieloma pilnymi zadaniami. Musi wprowadzić jasność doktrynalną w Kościele, zjednoczyć go w obliczu współczesnych wyzwań oraz uporządkować sprawy finansowe Watykanu. Nie mniej istotna jest kwestia chińska. W społeczeństwie, zwłaszcza wśród chińskich katolików, panuje ogromne oczekiwanie, że papież Leon XIV podejdzie do tego wyzwania w sposób odmienny niż jego poprzednik, Franciszek. Inspiracją powinna być odważna postawa św. Jana Pawła II w obronie praw człowieka, godności ludzkiej i wolności, szczególnie w kontekście Europy Wschodniej. Kardynał Zen często przypominał, że „nasz" papież nigdy nie zgodził się na podpisanie umowy z chińskimi komunistami, mimo że już za jego pontyfikatu pojawił się plan takiego porozumienia. „Papież Jan Paweł II rozumiał myślenie komunistów. Doznał cierpień od nazistów i pod rządami komunistów. Wiedział, gdzie leży prawda, i miał jasne poglądy [...] Jan Paweł II uważał, iż nawet jeśli się nie wie, czy komunizm upadnie, i jeśli się nie wie, jak długo przetrwa, nie można z nim iść na żaden kompromis" – powiedział w wywiadzie dla „Gazety Polskiej" kard. Zen.

> Nowy Ojciec Święty powinien rozpocząć od gruntownej analizy sytuacji dotyczącej wolności religijnej w Chinach oraz ujawnienia szczegółów umowy z Pekinem.

Co z umową?

Nowy Ojciec Święty powinien rozpocząć od gruntownej analizy sytuacji dotyczącej wolności religijnej w Chinach oraz ujawnienia szczegółów umowy z Pekinem. W rozmowie z gazetą „Times" Michel Cham-

eprasa.pl aa16717a60

bon, szef programu Religia w Azji na Uniwersytecie Singapurskim, stwierdził, że „Stolica Apostolska potrzebuje współpracy z Chinami. To nie jest kwestia zasad, lecz pragmatyzmu". Benedict Rogers, konserwatywny brytyjski dziennikarz, katolik i przyjaciel kard. Zena, podkreśla jednak, że ten pragmatyzm powinien mieć swoje granice. Możliwe jest wznowienie porozumienia, jednak zanim do tego dojdzie w 2028 roku, Leon XIV powinien ustalić jasne kryteria kontynuacji. „Powinny one obejmować uwolnienie wszystkich uwięzionych lub zatrzymanych biskupów i księży katolickich, namacalne poprawy w zakresie wolności religijnej – nie tylko dla katolików, ale dla wszystkich wyznań – oraz zakończenie polityki sinizacji religii, która w rzeczywistości oznacza kontrolę religii przez Komunistyczną Partię Chin" – napisał Rogers w artykule dla katolickiego portalu UCA News. Jeśli te kryteria nie zostaną spełnione, Rogers uważa, że umowa powinna zostać zawieszona lub uchylona.

Pojawiają się również głosy wzywające do jak najszybszego zerwania porozumienia. Komitet Obecnego Zagrożenia, konserwatywny amerykański think tank, oraz organizacja Save the Persecuted Christians (Ratujmy prześladowanych chrześcijan) stworzyli petycję, która właśnie o to apeluje. W dokumencie stwierdzono, że ugoda z chińskimi komunistami oraz polityka sinizacji religii prowadzona przez Xi Jinpinga to „powolnie postępujące ludobójstwo wiary katolickiej w Chinach". Petycja wzywa kardynałów do „podjęcia działań naprawczych", w szczególności do ujawnienia treści umowy z Komunistyczną Partią Chin oraz jej unieważnienia.

Głos w obronie prześladowanych

Kardynał Joseph Zen wielokrotnie zwracał uwagę na milczenie Watykanu w sprawie represji wobec członków Kościoła podziemnego, burzenia kościołów, usuwania krzyży oraz nadużywania władzy i łamania praw człowieka w Xinjiangu i Hongkongu. Oprócz milczenia występuje również autocenzura. Jak informuje Christopher Algieria, amerykański dziennikarz kierujący rzymskim biurem gazety „Catholic Herald", w lipcu 2020 roku watykańscy dziennikarze otrzymali wiadomość, że podczas jednego ze swoich niedzielnych wystąpień papież Franciszek odniesie się do sytuacji w Hongkongu. Włoski dziennikarz Marco Tosatti opublikował fragment dotyczący Hongkongu, który pierwotnie znajdował się w tekście przemówienia, ale ostatecznie został on pominięty przez Franciszka. W tym urywku wyrażono zaniepokojenie losem mieszkańców Hongkongu w związku z nową ustawą o bezpieczeństwie narodowym, narzuconą byłej kolonii brytyjskiej przez Komunistyczną Partię Chin. Kardynał Zen uważa, że milczenie i autocenzura Franciszka to cena, jaką zapłacono za porozumienie między Watykanem a rządem Chińskiej Republiki Ludowej.

Nowy pontyfikat rodzi nadzieje, że to milczenie w końcu zostanie przerwane. Leon XIV powinien publicznie wypowiadać się na temat praw człowieka w Chinach, modlić się za prześladowanych chrześcijan oraz wzywać do uwolnienia chińskich więźniów politycznych. Powinien również poruszać kwestię demontażu wolności w Hongkongu i modlić się o uwolnienie Jimmy'ego Laia, katolika i hongkońskiego wydawcę, który jest więziony od 2020 roku. Lai od ponad roku nie ma możliwości przyjmowania sakramentu Komunii Świętej w więzieniu. Papież powinien także publicznie modlić się za prześladowanych Ujgurów i Tybetańczyków oraz o pokój w Cieśninie Tajwańskiej.

Nowy papież zna Tajwan

Na mszy inauguracyjnej papieża Leona XIV obecnych było ponad 200 światowych przywódców, w tym prezydent Andrzej Duda, wiceprezydent Stanów Zjednoczonych J.D. Vance, sekretarz stanu Marco Rubio, przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski oraz prezydenci Izraela i Argentyny, a także nowy premier Kanady Mark Carney. Nieobecny był prezydent Tajwanu Lai Ching-te; Watykan zgodził się jedynie na wizytę byłego wiceprezydenta Chena Chien-jena.

W przeszłości urzędujący prezydenci Tajwanu brali udział zarówno w pogrzebie papieża św. Jana Pawła II, jak i we mszy inaugurującej papieża Franciszka. Nieobecność prezydenta Laia wzbudzała zdziwienie, zwłaszcza że Watykan jest jednym z zaledwie 12 państw, które utrzymują formalne relacje dyplomatyczne z Tajwanem. Ta absencja mogła być spowodowana nie tyle presją ze strony Chin, ile brakiem zmian w Sekretariacie Stanu Watykanu, co sugeruje, że oportunizm wciąż ma się dobrze. Główny architekt umowy, kard. Parolin, tymczasowo pozostał na stanowisku sekretarza stanu, ponieważ, jak poinformował Watykan, „Ojciec Święty pragnie zarezerwować sobie trochę czasu na refleksję, modlitwę i dialog przed podjęciem jakiejkolwiek ostatecznej decyzji dotyczącej nominacji lub zatwierdzenia".

Pekin od lat stara się wymusić na Watykanie zerwanie relacji z Tajwanem. Mimo nieobecności prezydenta Laia na inauguracji papieża Leona XIV, Tajwańczycy nie wierzą, że do tego dojdzie. Według ambasadora Tajwanu przy Stolicy Apostolskiej, Matthew Lee, papież Leon XIV dostrzega różnicę między „demokratycznym Tajwanem a komunistycznymi Chinami". Tajwański dyplomata jest pewny, że będziemy świadkami rozwoju stosunków między Tajwanem a Watykanem. ■

eprasa.pl aa16717a60



Antoni Rybczyński

Trumpa handel z Arabami. Triumf nowej dyplomacji

eprasa.pl aa1.67.17a60



FOT. WHITEHOUSE.GOV

Czterodniowa podróż Donalda Trumpa po sunnickich monarchiach Zatoki Perskiej – dopiero druga zagraniczna wyprawa prezydenta USA, a pierwsza *stricte* polityczno-handlowa (wcześniej poleciał do Watykanu na pogrzeb papieża) – pokazuje, jak ważny gospodarczo dla USA jest ten region. Gigantyczne umowy biznesowe Trumpa z arabskimi krajami pokazały, jakim gospodarczym karłem jest UE.

Gospodarka jest dla obecnego przywódcy Stanów Zjednoczonych głównym kryterium oceny politycznej i bezpieczeństwa. Bliskowschodnia podróż Trumpa miała w dużej mierze wymiar handlowy i wiązała się z zawarciem ogromnych umów inwestycyjnych i podpisaniem konkretnych kontraktów na łączną szacowaną sumę 3,2 bln dolarów! Od uzbrojenia po inwestycje w AI. Prezydent USA zapowiedział też normalizację stosunków z Syrią i porozumienie z Iranem. Dla Trumpa priorytetem jest neutralizacja zagrożenia atomowego ze strony Teheranu i przede wszystkim dokończenia wielkiego dzieła, jakim mogą być tzw. porozumienia Abrahama, czyli normalizacja relacji między państwami arabskimi a Izraelem, po blisko 80 latach wojen i wrogości. Stąd pominięcie w podróży Izraela, którego polityka pod rządami Netanjahu coraz wyraźniej jest sprzeczna z celami Trumpa.

Trzy przystanki Trumpa

Wśród przywódców arabskich monarchii toczy się pewien wyścig o status głównego partnera Ameryki. I nie szczędzą na to środków. Choćby prezent dla amerykańskiego prezydenta od emira Kataru: nowy luksusowy Boeing za 400 mln dolarów. Za czasów poprzednika Trumpa, Joego Bidena, bardzo wielu twierdziło, że liderem w regionie, który jest najbliższy Stanom Zjednoczonym, staje się Katar. Nie Arabia Saudyjska, nie Zjednoczone Emiraty Arabskie, które od dawna miały napięte stosunki z Białym Domem, ale właśnie Doha – która niedawno z powodzeniem wyszła z izolacji sąsiednich monarchii arabskich i umocniła swój status dość zręcznego dyplomaty i pośrednika na arenie międzynarodowej. Jednak po powrocie Trumpa Rijad odzyskał status głównego partnera USA w Zatoce Perskiej. W Arabii Saudyjskiej książę Mohammed bin Salman potwierdził zobowiązanie swojego kraju do zainwestowania 600 mld dolarów w partnerstwo amerykańsko-saudyjskie. Kwota

eprasa.pl a16717a60

ta obejmuje najszerszy zakres porozumień: dostawy broni, badania w dziedzinie sztucznej inteligencji (AI), a także inicjatywy w dziedzinie zdrowia, projekty infrastrukturalne, współpracę naukową itp. W Rijadzie obecna była również grupa najpotężniejszych dyrektorów z Wall Street i Doliny Krzemowej, którzy negocjowali umowy podczas saudyjsko-amerykańskiego forum inwestycyjnego, na którym przemawiali Trump i książę Mohammed bin Salman. Znaleźli się tam dyrektor generalny Tesli Elon Musk, dyrektor generalny BlackRock Larry Fink, prezes Google i dyrektor ds. informatyki Ruth Porat oraz dyrektor generalny OpenAI Sam Altman. Podczas forum podpisano podobno około 145 umów o wartości ponad 300 mld dolarów. Szczególną uwagę przyciągnęła umowa na dostawę broni o łącznej wartości 142 mld dolarów, którą w Białym Domu nazwano największą w historii transakcją sprzedaży broni. Administracja Bidena bezskutecznie próbowała zawrzeć taki sam pakt obronny z Rijadem w ramach szerokiego porozumienia, które przewidywało normalizację stosunków między Królestwem Arabii Saudyjskiej a Izraelem. Jednak obecnie obie strony najwyraźniej zapomniały o interesach Izraela. Trump nazwał księcia Muhammada bin Salmana „niesamowitym człowiekiem", dodając, że więź między ich dwoma krajami jest obecnie „silniejsza niż kiedykolwiek".

Kolejnym przystankiem w podróży Trumpa były Zjednoczone Emiraty Arabskie. Prezydent USA spotkał się z prezydentem ZEA szejkiem Mohammedem bin Zajedem. Przywódcy spotkali się z liderami emirackiego biznesu, a później odwiedzili kompleks międzyreligijny w Abu Zabi, w którym mieszczą się meczet, kościół i synagoga. Trump został odznaczony najwyższym państwowym Orderem Zaida – masywną złotą gwiazdą na łańcuchu, wysadzaną brylantami, szmaragdami i rubinami. W Abu Zabi ogłoszono umowy między Stanami Zjednoczonymi a Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi o wartości ponad 200 mld dolarów, w tym zamówienie dla linii lotniczych Etihad Airways z siedzibą w Abu Zabi na 28 samolotów Boeing z silnikami General Electric o wartości 14,5 mld dolarów, jak podał Biały Dom. Biały Dom poinformował wcześniej, że samoloty będą należeć do modeli Boeing 787 i 777, ale nie podał dokładnej liczby każdego typu. Podczas konferencji prasowej w Qasr Al Watan, pałacu prezydenckim w Abu Zabi, prezydent ZEA Mohammed bin Zayed potwierdził marcowe zobowiązanie jego monarchii do zainwestowania około 1,4 bln dolarów w Stanach Zjednoczonych w ciągu 10 lat. Jednym z celów przywódcy ZEA było przekonanie Trumpa do stworzenia Abu Zabi możliwości zakupu od amerykańskich firm niektórych z najbardziej zaawansowanych mikrochipów sztucznej inteligencji. Szejk Mohamed odniósł sukces w tej misji, a Trump chwalił się, że między obydwoma krajami zawarto „bardzo duży kontrakt", prawdopodobnie odnosząc się do umowy między gigantem chipowym Nvidia a ZEA. Według doniesień „The New York Timesa", Nvidia i Zjednoczone Emiraty Arabskie pracują nad sfinalizowaniem wstępnej umowy dotyczącej importu 500 tys. chipów AI do tego kraju rocznie. W Abu Zabi przywódcy obu państw zainaugurowali projekt kampusu AI o docelowej mocy 5GW. Ma to być największe centrum obliczeniowe tego typu poza USA.

Pragnienia i interesy Kataru nie różnią się szczególnie od pozostałych graczy. Władze Kataru są zainteresowane współpracą z USA w dziedzinie wojskowo-technicznej, a także dywersyfikacją swojej gospodarki. Doha stoi przed poważnym zadaniem zwiększenia wydobycia i produkcji skroplonego gazu ziemnego oraz wprowadzenia tych ilości na rynki zewnętrzne. Katar musi również uzgodnić z Amerykanami pewną koordynację działań, aby współpracować na tych rynkach, a nie występować jako konkurenci. W sprawach polityki zagranicznej dla Kataru istotne jest potwierdzenie jego pozycji ważnego pośrednika w regionie. Rzeczywiście, w kontaktach z Hamasem jest on praktycznie niezastąpiony dla Zachodu. Wszystko ma korzenie w historycznej rywalizacji tego małego emiratu z sąsiadami. W ostatnich dwóch dekadach XX wieku Katar podjął decyzję o wycofaniu się spod protektoratu Arabii Saudyjskiej i próbował ogłosić swoje niezależne ambicje. Od około 1997 roku ambicje te zostały dodatkowo wzmocnione przez fakt, że Katar stał się jednym z największych na świecie producentów i eksporterów skroplonego gazu ziemnego, którego sprzedaż generuje ogromne rezerwy finansowe, pozwalające Katarowi prowadzić aktywną politykę zagraniczną. W Dosze Trump spotkał się z emirem Kataru, szejkiem Tamimem bin Hamadem Al Thanim. Podczas podpisywania umów Trump ogłosił warte 96 mld dolarów „rekordowe" zamówienie na 160 samolotów (z opcją zwiększenia liczby do 210) od Boeinga. W biuletynie informacyjnym Białego Domu napisano, że umowa narodowych linii Qatar Airways na zakup maszyn modeli 787 Dreamliner i 777X pozwoli na stworzenie w USA 154 tys. miejsc pracy rocznie. Katar ma też wydać 10 mld dolarów na rozbudowę bazy lotniczej Al Udeid, która jest największą amerykańską placówką wojskową na Bliskim Wschodzie. Według Białego Domu łączna wartość nowych umów z emiratem wyniosła 243,5 mld dolarów. Biały Dom przedstawił te umowy jako część szerszej inicjatywy, która według niego przyniesie 1,2 bln dolarów wymiany gospodarczej, choć nie wyjaśniono dokładnie, na czym opiera się ta szacunkowa kwota.

eprasa.pl aa16717a60

Kto wygrał, kto przegrał?

Biznes biznesem, ale bliskowschodnia wyprawa Trumpa miała też poważne polityczne konsekwencje. Nie chodzi tylko o relacje USA z trzema kluczowymi monarchiami Zatoki. Zadowolony może być na przykład prezydent Turcji Recep Tayyip Erdogan. Zarówno z racji na nowe umowy zbrojeniowe z USA, jak i z powodu polityki Trumpa w dwóch bardzo ważnych dla Ankary kwestiach regionalnych: Syrii i Izraela. Podczas pobytu w Rijadzie przywódca Stanów Zjednoczonych spotkał się z tymczasowym prezydentem Ahmedem al-Szarą, który w przeszłości był dowódcą jednego z odłamów Al-Kaidy i spędził pięć lat w amerykańskich więzieniach w Iraku. Podczas forum inwestycyjnego zorganizowanego przez Arabię Saudyjską Trump powiedział, że jego administracja podejmie kroki w celu normalizacji stosunków z Damaszkiem po raz pierwszy od ponad 10 lat. USA w 2012 roku zawiesiły relacje dyplomatyczne z Syrią i przez wiele miesięcy nie uznawały też oficjalnie nowego rządu Szary. Syria w przeszłości była sojusznikiem Rosji i Iranu, obecne władze chcą odnowić kontakty z Zachodem. Administracja Trumpa unikała dotąd oficjalnych kontaktów z Szarą, którego grupa – Hayat Tahrir al-Sham – pozostaje uznawana przez USA za organizację terrorystyczną ze względu na swoje powiązania z Al-Kaidą w przeszłości. Ponad 13 lat wojny domowej, szerząca się korupcja rządowa i sankcje zachodnie spowodowały izolację Syrii od światowego systemu finansowego. Według danych ONZ ponad 90 proc. Syryjczyków żyje poniżej progu ubóstwa, a co czwarty jest bezrobotny. Trump powiedział, że saudyjski książę Mohammed bin Salman, który był obecny na sali i zgotował Trumpowi owację na stojąco, oraz prezydent Turcji Recep Tayyip Erdogan zachęcali go do złagodzenia sankcji wobec Syrii. Stany Zjednoczone uznały Syrię za państwo sponsorujące terroryzm od 1979 roku i zaostrzyły sankcje wobec tego kraju w 2011 roku, kiedy reżim Asada rozprawił się z pokojowymi protestami przeciwko swoim żelaznym rządom, a następnie rozszerzyły w 2019 roku. Pomimo upadku Asada, pod koniec grudnia Kongres przedłużył te sankcje do 2029 roku. Niespodziewana zapowiedź Trumpa o zniesieniu sankcji wobec Syrii i jego pochwały dla tymczasowego prezydenta tego kraju, Ahmeda al-Szary, podczas spotkania w Arabii Saudyjskiej, były ciosem dla Izraela. Podczas wizyty w Waszyngtonie w ubiegłym miesiącu Benjamin Netanjahu wyraźnie poprosił Trumpa o utrzymanie sankcji. Izrael obawia się również, że ogłoszona sprzedaż broni przez USA Arabii Saudyjskiej i Turcji, w tym myśliwców stealth, może podważyć wieloletnią politykę USA mającą na celu zapewnienie Izraelowi przewagi militarnej nad wrogami.

Triumfalna wizyta prezydenta Donalda Trumpa w krajach Zatoki Perskiej i jego ciepłe przyjęcie przez najważniejszych graczy regionalnych, w tym tych wrogich Izraelowi, zaniepokoiły izraelski rząd i jeszcze bardziej nadwyrężyły stosunki Trumpa z premierem Benjaminem Netanjahu. Jego niegdyś bliskie stosunki z Trumpem przestały istnieć, ponieważ prezydent USA realizuje swoją strategię w Zatoce Perskiej, na Bliskim Wschodzie i poza nim. Trump kieruje się głównie interesami biznesowymi i finansowymi, a jego zdaniem postępowanie Netanjahu przeszkadza mu w realizacji tych celów. Media informowały wcześniej o narastającym napięciu między amerykańskim prezydentem a premierem Izraela Benjaminem Netanjahu w kwestii zakończenia wojny w Strefie Gazy. Waszyngton ma naciskać na jak najszybsze zawarcie rozejmu, czemu sprzeciwia się rząd w Jerozolimie. Izrael w czasie podróży Trumpa zintensyfikował walki. Napięcia między administracją Trumpa a Izraelem uwypukliła też sprawa uwolnienia amerykańsko-izraelskiego zakładnika Edana Alexandra przez Hamas, do czego doprowadzili wysłannicy Trumpa. W oświadczeniu wydanym przed uwolnieniem syna Yael Alexander podziękowała Trumpowi i innym osobom, ale nie Netanjahu. Trump również podziękował wszystkim, ale nie Netanjahu. Jedynym, który wspomniał o Netanjahu, był wysłannik Trumpa, Steve Witkoff, który podziękował mu za umożliwienie zawarcia porozumienia poprzez… nieingerencję. Wizyta w Zatoce i ominięcie Izraela w tej podróży pokazuje, że Stany Zjednoczone i osobiście Trump przedkładają teraz swoje interesy nad bezpieczeństwo Izraela. Nastąpiła zmiana priorytetów. Izrael w Białym Domu nie jest już postrzegany jako równorzędny partner, ale jako kraj, który powinien słuchać Waszyngtonu. Co oczywiście wywołało bardzo ostrą reakcję ze strony gabinetu Netanjahu i, właściwie, całego izraelskiego establishmentu politycznego, i doprowadziło do dalszego pogorszenia stosunków. Doszło do tego, ponieważ działania Izraela w Strefie Gazy, podobnie jak w Iranie, stały się po prostu sprzeczne z interesami administracji Trumpa. Oczywiście bezpieczeństwo Izraela pozostaje ważnym aspektem amerykańskiej polityki zagranicznej, ale wydaje się, że Trump nie ma już zamiaru podążać za Izraelczykami i udzielać im wszechstronnego wsparcia. Dla Stanów Zjednoczonych pod rządami Trumpa nie ma obecnie żadnego sensu walczyć na Bliskim Wschodzie. Co więcej, w Białym Domu uważa się obecnie, że z Iranem należy jak najszybciej dojść do porozumienia, aby spokojnie zająć się innymi, ważniejszymi sprawami.

eprasa.pl aa16717a60

Dyplomacja pieniądza daje efekty

Tymczasem Iran z dużym niepokojem obserwował, jak Trump zawiera wielomiliardowe umowy handlowe z regionalnymi potęgami. W Teheranie postrzegają tę podróż po Zatoce Perskiej nie tylko jako pokaz jedności między arabską częścią regionu a USA, lecz także jako ostrzeżenie, że Islamska Republika Iranu może zostać odsunięta na bok w regionie, w którym sojusze – i priorytety – ulegają gwałtownym zmianom. Wizyta Trumpa w Rijadzie odbyła się w sytuacji innej niż ta podczas jego pierwszej podróży do królestwa w 2017 roku. Wojny w Gazie i na Ukrainie w znacznym stopniu wpłynęły na kształt polityki zagranicznej nowej administracji amerykańskiej. Druga kadencja Trumpa zbiegła się jednak również z poprawą stosunków Iranu z arabskimi rywalami. Teheran zawarł porozumienia normalizacyjne z Arabią Saudyjską i Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi i stara się złagodzić napięcia, które niegdyś stanowiły sedno jego stosunków z niemal wszystkimi arabskimi państwami Zatoki Perskiej. Umiarkowane kręgi irańskie mają nadzieję, że Trump dostrzeże ten ruch i że Teheran również zostanie uwzględniony w tych kalkulacjach w dużej mierze gospodarczych. Jednak retoryka Trumpa – mieszanina gróźb i gestów dobrej woli – nadal zaciemnia perspektywy. Podczas przemówienia na forum biznesowym USA–Arabia Saudyjska prezydent USA porównał Iran z jego regionalnymi rywalami, zauważając, że w przeciwieństwie do Arabii Saudyjskiej „skorumpowane" przywództwo Teheranu zamieniło zielone pola uprawne kraju w suche pustynie, i potępił Islamską Republikę za „niszczenie regionu" poprzez wojny zastępcze. „Iran nigdy nie będzie miał broni jądrowej" – oświadczył, co spotkało się z aplauzem uczestników. Trump mówił o „gałązce oliwnej", którą zaoferował Iranowi, twierdząc, że nie wierzy w koncepcję „wiecznych wrogów". Zagroził jednak polityką „maksymalnej presji", mającą na celu ograniczenie irańskiego eksportu ropy do zera. „Ta oferta nie będzie obowiązywać wiecznie" – ostrzegł. Wiele osób w Teheranie obawia się, że „ustępstwa" Trumpa wobec przywódców arabskich i priorytetowe traktowanie dyplomacji transakcyjnej tylko pogłębią podziały między Iranem a krajami arabskimi. To, czy wizyta Trumpa stanowi szansę, czy wyzwanie, pozostaje przedmiotem dyskusji w całym spektrum politycznym Iranu. W oczach rządzącej elity, jeśli ta podróż przyniosła Islamskiej Republice coś korzystnego, to jest to „upokorzenie" Netanjahu. Irańscy urzędnicy i media państwowe świętowały wykluczenie Izraela z planu podróży Trumpa, wskazując na „pogłębiające się podziały" między obydwoma przywódcami. Dla Teheranu może to sygnalizować zmianę w regionalnych kalkulacjach Waszyngtonu, którą Iran ma nadzieję wykorzystać dla swoich interesów. Iran wielokrotnie ostrzegał, że Netanjahu dąży do „sabotowania" dyplomacji nuklearnej.

Podczas podróży Trumpa po Zatoce Perskiej w programie zabrakło jednego ważnego tematu: ekspansji energetycznej USA. Oczywiście, zawarto wiele umów dotyczących energii – szeroko zakrojone porozumienie o współpracy w Arabii Saudyjskiej, a także umowy dotyczące wydobycia ropy i gazu w Katarze i ZEA. Energia z pewnością była ważnym tematem wszystkich prywatnych rozmów. Prezydent ani razu nie wspomniał jednak publicznie o swoich ambicjach uczynienia Stanów Zjednoczonych dominującą potęgą energetyczną świata. Nie padła żadna wzmianka o Krajowej Radzie ds. Dominacji Energetycznej, powołanej pierwszego dnia jego prezydentury w celu „zmniejszenia zależności od podmiotów zagranicznych, w tym strategicznych przeciwników". Być może było to po prostu przejawem dobrego wychowania ze strony gościa. Nawet dla Trumpa byłoby dość bezczelne powiedzieć gospodarzom, że zamierza odebrać im rolę wiodącego regionu naftowego i gazowego na świecie. Być może jednak było to po prostu uznanie faktu, że od czasu wyboru Trumpa perspektywy USA na dominację energetyczną na świecie znacznie się pogorszyły. Arabia Saudyjska i Zjednoczone Emiraty Arabskie niemal dogoniły USA pod względem wydobycia ropy i gazu i wkrótce je wyprzedzą. Dla arabskich monarchii Zatoki Perskiej biznes jest sprawą najwyższej wagi, zwłaszcza biorąc pod uwagę ich zakrojone na szeroką skalę programy dywersyfikacji własnej gospodarki. Promując własne interesy gospodarcze, najbogatsze kraje naftowe Bliskiego Wschodu celowo popisywały się luksusem, aby jak najbardziej wyraźnie pokazać, że są gotowe zapłacić bardzo wysoką cenę za zacieśnienie stosunków z USA. Po raz pierwszy od 40 lat sytuacja w regionie nie jest determinowana przez interakcje tradycyjnych liderów Bliskiego Wschodu (takich jak Egipt, Syria czy Irak), ale przez fakt, że w sprawy regionu aktywnie angażują się i próbują odgrywać rolę jego architektów właśnie kraje Zatoki Perskiej. Z tego powodu rośnie zainteresowanie Waszyngtonu – chce on współpracować z tymi graczami, którzy w dużej mierze będą decydować o przyszłości całego Bliskiego Wschodu. Tym bardziej, że dywersyfikują oni swoją politykę zagraniczną. Tak, są zależni od Waszyngtonu, przede wszystkim od dostaw amerykańskiej broni. Jednak dla nich Stany Zjednoczone są co prawda partnerem numer jeden, ale niejedynym i na pewno nie wyłącznym. Mają czas i chęć na stosunki z Rosją, a zwłaszcza z Chinami. Nie spieszą się, aby zadowolić Amerykanów i zrezygnować ze swoich powiązań z Pekinem. ■

eprasa.pl aa16717a60



FOT. ABIR SULTAN/PAP/EPA

Europejscy przyjaciele Hamasu

Dawid Wildstein



Minęło ponad półtora roku od terrorystycznego ataku Hamasu na Izrael. Wydaje się to być już wystarczającym interwałem czasowym, żeby spróbować pokrótce odpowiedzieć na dwa pytania. Po pierwsze – co zmieniło się na Bliskim Wschodzie od tego ataku? Po drugie – w jaki sposób ten konflikt wpływa na Europę, a więc także na nasze państwo?

eprasa.pl aa16717a60

Nie wiem, czy pamiętają Państwo te histeryczne reakcje, jakie zalały media po decyzji Izraela, że w odpowiedzi na mordy Hamasu rozpocznie on pełnoskalową ofensywę nie tylko na palestyńskich terrorystów, lecz także ich sojuszników, takich jak Hezbollah. Mieliśmy stać u progu gigantycznego, międzynarodowego konfliktu, wręcz III wojny światowej.

Żadna apokalipsa się jednak nie wydarzyła. Prawda jest taka, że, na ten moment, jesteśmy dalsi od tej mitycznej „trzeciej wojny", niż pod koniec 2023 roku.

Reakcja na irański imperializm

Żeby właściwie ocenić obecną sytuację, należy zrozumieć, że terrorystyczny mord Hamasu był etapem wojny trwającej już od dawna, w której palestyńscy terroryści są tylko jednym z elementów. Zaś reakcja Izraela, co widać, patrząc na jej skalę, była nie tylko odpowiedzią na akt terroru, lecz także operacją, której podstawowym celem było zahamowanie coraz większej ekspansji imperializmu irańskiego. Imperializmu, który faktycznie mógł w pewnym momencie doprowadzić do wybuchu pełnoskalowego konfliktu, jakiego nie było w tym rejonie od dekad. Iran bowiem, sukcesywnie, budował swoją pozycję głównego rozgrywającego w regionie. Robił to, nie zapominajmy, dzięki stałemu wsparciu ze strony Rosji i Chin. Dzięki tej współpracy doszło w latach poprzedzających październik 2023 rok do radykalnej zmiany układu sił. *Primo*, Iran *de facto* skolonizował Irak (podczas krótkiej wojny między Bagdadem a irackimi Kurdami szyickie milicje, kontrolowane przez Teheran, były jednym z najważniejszych elementów armii rządowej). *Secundo* – Hezbollah w tych latach wciąż rósł w siłę, był nie tylko najważniejszą siłą w Libanie, lecz także przejął znaczną część Syrii, stając się jednym z koniecznych elementów stabilizujących reżim Asada. Do tego trzeba oczywiście dodać Yemen. Patrząc na te zmiany, wojna, którą rozpoczął Izrael pod koniec 2023 roku, była formą kontrofensywy, próbą powrotu do status quo. Zresztą jest oczywiste, że jednym z celów ataku Hamasu było storpedowanie rozmów na temat zacieśnienia relacji między USA (a także Izraela) a Arabią Saudyjską, co było zagrożeniem dla interesów Teheranu. Konsekwencje działań terrorystów z Hamasu okazały się jednak zupełnie inne od tych, jakich spodziewali się tak oni, jak i ich sojusznicy.

Co mamy bowiem po półtora roku tej wojny? Pamiętajmy, że samo starcie izraelsko-palestyńskie jest tylko jedną z odsłon tego konfliktu, i to wcale nienajważniejszą. Gdyby chcieć obecną sytuację opisać krótkim zdaniem, brzmiałoby ono: Ta wojna to absolutny blamaż Iranu. Tak wizerunkowy, jak i faktyczny, mający bardzo konkretne skutki geopolityczne.

Rosja w odwrocie

Jeśli chodzi o ten pierwszy wymiar, sprawa jest prosta. Buńczuczne zapewnienia Iranu o tym, że jest w stanie bronić swoich sojuszników, ba, że zaraz pokaże Izraelowi, gdzie jego miejsce, okazały się nic nie warte. Iran stracił twarz, a w świecie takim jak Bliski Wschód, to bardzo ważny element polityki. Praktyczne konsekwencje tego konfliktu są dla Teheranu jeszcze gorsze. W półtora roku potężnie osłabiono jego najważniejsze narzędzie wpływu na rejon Lewantu. Hezbollah może nie jest zniszczony, ale skala jego strat, to, jak ciężkie dostał ciosy od Izraela, w sposób wręcz natychmiastowy zaburzyło dotychczasowy układ sił. W Libanie doszło do zmian, które w sposób trwały mogą ograniczyć możliwości wpływu Hezbollahu na ten kraj. Nowe ośrodki siły politycznej będą rzecz jasna nadal deklaratywnie antyzachodnie i antyizraelskie, ale to będzie nic w porównaniu z organizacją nieżyjącego już Nasr Allaha, nie mówiąc już o tym, że nie są one przedłużeniem władzy Teheranu. W Syrii zaś doszło do upadku reżimu Asada, zaś to, że jego władza nie mogła, z powodu działań Izraela, otrzymać wsparcia od Hezbollahu, wydaje się być bardzo istotnym elementem tej klęski. Nowa władza w Syrii jest nadal skrajnie antyzachodnia i nienawidzi Izraela bardziej niż Asad, ale nie jest ekspozyturą Iranu, więc ma, w związku tym (a także z powodu własnej niestabilności) znaczące mniejsze możliwości oddziaływania na całość regionu.

Ktoś może w tym momencie zapytać, co nas właściwie to wszystko obchodzi? Kluczowy jest tu jeden element – Rosja. Współzależność między wzrostem siły Iranu i zwiększeniem się oddziaływania Rosji była przez ostatnie lata bardzo widoczna na Bliskim Wschodzie. W tym momencie możemy mówić już o gigantycznej klęsce Putina. Tak bezpośredniej, poprzez utratę Syrii, która w znacznej części była już kolonią Rosji, jak i przez radykalne ograniczenie możliwości oddziaływania z powodu porażek regionalnych sojuszników Moskwy. W tym kontekście jest to bardzo dobra wiadomość dla Polski.

Mordowanie dzieci bywa ok

Podsumowując – ostatnie półtora roku wojny to złamanie wieloletniej ofensywy Iranu oraz, w mniejszym stopniu, Rosji na Bliskim Wschodzie. Coś, co z początku wydawało się być rodzajem powrotu do *status quo* sprzed wspomnianej ekspansji wpływów Teheranu, okazało się jednak tak znacznym złama-

eprasa.pl aa16717a60

niem siły zarówno reżimu Ajatollahów, jak i jego sprzymierzeńców, że możemy mówić tu (oczywiście ze świadomością, jak ryzykowne bywają takie przewidywania) o trwałym ograniczeniu jego potęgi.

Jednocześnie zaognienie konfliktu izraelsko-palestyńskiego wywołało też, delikatnie rzecz ujmując, niemałe poruszenie w państwach szeroko pojętego Zachodu. Wojna ta stała się bardzo istotną częścią debaty publicznej oraz polityczno-ideowego pozycjonowania się. Warto więc na chwilę przyjrzeć się tym, którzy okazali się największymi sojusznikami tzw. sprawy palestyńskiej.

Po pierwsze, wszyscy oni są jednocześnie przyjaciółmi Rosji. *De facto* każda zachodnia partia, będącą pogrobowcem lewicy zachwycającej się niegdyś totalitarnym ZSRS, pokazała swoje pełne wsparcie dla Hamasu. Szło ono jednak niejako w pakiecie innych sympatii politycznych. Wśród pozostałych faworytów wspomnianych partii mieliśmy też, poza Putinem, Chiny oraz właściwie każdą dyktaturę (szczególnie Ameryki Łacińskiej), która przeciwstawia się USA. Jak widać, mamy do czynienia z przekazywaną z pokolenia na pokolenie nienawiścią do Ameryki i miłością do walczących z tym państwem despocji. Są to jednocześnie siły polityczne nienawidzące Zachodu jako takiego, wszystkiego, co stworzyło naszą cywilizację, z chrześcijaństwem na czele. Owa nienawiść wraz z geopolitycznymi sympatiami okazuje się silniejsza niż przywiązanie do postępowych, lewicowych wartości. Okazuje się bowiem, że są oni gotowi sprzymierzyć się z organizacjami fundamentalistycznymi, które wprost mówią o konieczności wypalenia zachodniej zgnilizny, jeśli tylko te sprzeciwiają się USA. W ten sposób konflikt izraelsko-palestyński ujawnił pełną hipokryzję dominującego dziś w Europie nurtu lewicowo-liberalnego. Okazuje się, że mordowanie dzieci, gwałcenie i zabijanie kobiet, tortury cywilów, jeśli robi to Hamas, są akceptowalne. Znów, zaznaczmy to wyraźnie – opisywane tu grupy nie poprzestały na krytyce, nawet najskrajniejszej, Izraela, tylko wprost popierają Hamas, niosą na manifestacjach jego hasła, jak słynne „From the river to the sea" [„od rzeki do morza" – przyp. red.], będące wezwaniem do zniszczenia Izraela i eksterminacji jego mieszkańców, w końcu, jak zrobiła to organizacja Amnesty International, są gotowi uznawać mordy 7 października wyzwoleńczą walką z reżimem Izraela.

Islam a federalizacja UE

Ta miłość do Hamasu wynika nie tylko z kwestii ideologicznych czy pewnego typu, nazwijmy to łagodnie, „tradycji politycznych". Jest ona także efektem dynamiki demokracji oraz, zainicjowanych i wspieranych przez lewicę oraz liberałów, przemian społecznych na Zachodzie. Chodzi o pojawienie się silnej grupy posiadającej prawa wyborcze, dla której islam jest bardzo istotnym elementem tożsamości. W politycznie dość spetryfikowanych społeczeństwach Zachodu to kilka (a czasem kilkanaście, zwłaszcza lokalnie) procent decyduje o tym, kto będzie rządził. Wprost zresztą mówi o tym na przykład lewica francuska. Jej przywódca, Melenchon, jeden z najważniejszych obecnie polityków francuskich, ma pełną świadomość, że dla jego elektoratu, na który składają się w znacznej części muzułmanie, kwestia palestyńska jest absolutnie fundamentalna, i wychodzi im w tej sprawie naprzeciw. Dochodzi więc do kuriozalnej sytuacji, gdy o losach państwa decyduje grupa, której emocje są zaangażowane w kwestie i spory od tego kraju odległe, niemające na niego bezpośredniego wpływu. Są to jednak emocje jak najbardziej realne, które kształtują postawy tych ludzi, wpływają na ich decyzje wyborcze. Ta patologiczna sytuacja aż prosi się, żeby zostać wykorzystana przez obce służby. Wytłumaczmy to na przykładzie.

Weźmy taką Francję. Na ten moment Rosja ma, dużo mniejsze niż kiedyś, ale nadal większe niż władze w Paryżu, możliwości wpływu na sytuację Bliskiego Wschodu. Wciąż ma bardzo silne powiązania z grupami takimi jak Hamas i Hezbollah, bohaterami mas arabskich we Francji. Daje jej to pośrednie możliwości sterowanie emocjami francuskich muzułmanów, aby osiągać swoje cele. Paradoksalnie jednak zachodniej lewicy i liberałom opłaca się to ryzyko. Po kilku dekadach widać wyraźnie, że intencjonalnie modeluje ona społeczeństwa Zachodu, usiłując maksymalnie powiększyć grupę obcych religijnie, etnicznie i kulturowo wyborców. Jest ona bowiem ich naturalnym elektoratem. Pomimo że wspólnoty muzułmańskie są skrajnie wręcz konserwatywne, to z racji swojego wyobcowania z reszty społeczeństw europejskich, nieufności bądź niechęci (a czasem nienawiści) względem europejskich narodów i ich tradycji, z zasady będą głosować na partie dążące do federalizacji Unii. Na ugrupowania dystansujące się od własnej kultury i tradycji, dla których suwerenność czy nawet sama siła państwa nie jest wartością, a przeszkodą. W ten sposób ten dziwny i powierzchownie paradoksalny sojusz między fundamentalizmem islamskim a postępowymi, internacjonalistycznymi ugrupowaniami w UE trzyma się mocno i zapewne będzie się tylko pogłębiał. Zważywszy zaś na to, że w tym momencie procesy federalizacyjne UE są jednym z największych zagrożeń dla polskiej suwerenności, z ideami takimi jak pakt migracyjny, Zielony Ład czy Mercosur na czele, jest to tylko kolejny argument, żeby się trzymać od dzisiejszych, zachodnich, sojuszników Hamasu jak najdalej. ■

eprasa.pl aa16717a60

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Tybet–Unia Europejska

8 maja Parlament Europejski przyjął rezolucję potępiającą naruszanie wolności wyznania w Tybecie przez Chiny. W trakcie dyskusji nad rezolucją jeden z jej autorów, europoseł PiS Mariusz Kamiński (należący do grupy Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy), podkreślił, że „to, co obserwujemy dziś w Tybecie, to nie tylko represje wymierzone w religię, lecz także systematyczne niszczenie wolności oraz próba wynarodowienia Tybetańczyków. […] Komunistyczna partia stara się zastąpić autentyczną duchowość posłuszeństwem ideologicznym". Rezolucja wzywa również do zbadania okoliczności zatrzymania i śmierci tybetańskiego buddyjskiego przywódcy religijnego oraz działacza humanitarnego Tulku Hungkara Dorje. Zmarł on 28 marca br. w podejrzanych okolicznościach w areszcie w Wietnamie, po tym jak został zatrzymany przez władze wietnamskie i chińskie. Jego ciało zostało skremowane bez zgody rodziny. Mariusz Kamiński podkreślił, że „wyjaśnienie wszystkich podejrzanych przypadków śmierci działaczy tybetańskich powinno odbywać się pod międzynarodowym nadzorem".

Europosłowie w opublikowanym dokumencie wezwali Chiny do wywiązania się ze zobowiązań wynikających z prawa międzynarodowego, zaprzestania wszelkiej dyskryminacji mniejszości religijnych i etnicznych, umożliwienia pokojowych praktyk religijnych oraz uwolnienia wszystkich więźniów religijnych i politycznych. W szczególności zwrócili uwagę na konieczność uwolnienia prawowitego XI panczenlamy, drugiej po dalajlamie osobistości w buddyzmie, oraz Ilhama Tohtiego, ujgurskiego ekonomisty skazanego w 2014 roku na dożywocie za rzekome przestępstwo „separatyzmu". Rezolucja wzywa też UE do nałożenia sankcji na urzędników oraz podmioty odpowiedzialne za łamanie praw człowieka w Tybecie. Jak zauważył europoseł Mariusz Kamiński, „wolność, w tym prawo do kultywowania religii, to uniwersalne prawo człowieka, które nie podlega negocjacjom. Nie możemy milczeć, gdy Pekin stara się zniszczyć tożsamość narodową i religijną Tybetu".

Tekst rezolucji został przyjęty przez PE zaledwie kilka dni przed 30. rocznicą porwania i uwięzienia przez władze Chińskiej Republiki Ludowej 6-letniego wówczas XI panczenlamy, którego dalajlama uznał za reinkarnację wybitnego tybetańskiego przywódcy buddyjskiego. W jego miejsce komuniści z Pekinu wyznaczyli własnego panczenlamę. Po śmierci dalajlamy to właśnie panczenlama ma za zadanie pomóc w odnalezieniu kolejnego wcielenia dalajlamy.

Jak zauważył Benedict Rogers, brytyjski konserwatywny dziennikarz i działacz na rzecz praw człowieka, w swojej książce pt. „Chińska sieć zła" – dziś Tybet jest jednym z najbardziej poddanych represjom zakątków świata. Reporterzy bez Granic plasują go na 176. miejscu na 180 w Indeksie wolności prasy, a Freedom House wymienia Tybet jako jedno z najgorszych miejsc na świecie pod względem praw obywatelskich i politycznych. „W Korei Północnej jest więcej zagranicznych dziennikarzy niż w Tybecie" – stwierdził „Tibet Post International" na potrzeby dochodzenia prowadzonego przez Komisję Praw Człowieka brytyjskiej Partii Konserwatywnej w 2020 roku.

Chiny

W chińskim społeczeństwie narasta niezadowolenie z rządów prezydenta Xi Jinpinga. Ostatnim przykładem sprzeciwu wobec polityki przywódcy ChRL jest artykuł opublikowany 13 maja w Yi Bao, chińskim medium działającym za granicą, zatytułowany „Dylemat nie do roz-

eprasa.pl aa16717a60

wiązania, system nie do uratowania". Jego autorka, Zhang Yingjie, adiunkt w Szkole Zarządzania na Uniwersytecie Pekińskim, krytykuje w nim rządy Xi Jinpinga, wskazując na obfitość wielkich obietnic oraz ciągłe zmiany polityki, co prowadzi do braku zaufania społecznego. W rezultacie, jak zauważa, „ludzie uciekają za granicę, gdy tylko nadarzy się okazja". Autorka publikacji zauważa, że po 10 latach nauki i pracy w Stanach Zjednoczonych wróciła do Pekinu. Dla niej Chiny pod przywództwem Xi definiują tytułowe słowa: „Nie ma rozwiązania dylematu i nie ma ratunku dla systemu".

Zhang pisze, że gdy Chińskie Narodowe Biuro Statystyczne ogłosiło, iż wzrost PKB Chin w 2024 roku wyniósł 5 proc., wiele osób wybuchnęło śmiechem, ponieważ na wielu poziomach ekonomicznych dostrzega się tendencje spadkowe. Zarówno zwykli obywatele, jak i uczestnicy rynku martwią się o przyszłość. Nie mogą prowadzić działalności gospodarczej ani wypłacać pieniędzy z lokalnych banków, co skłania ich do myślenia o ucieczce. Zhang dodaje, że władze KPCh doskonale kreują wielkie wizje, aby utrzymać swoją władzę. Zhang zauważa, że brak reform w systemie politycznym może prowadzić do stłumienia wielu pierwotnie korzystnych możliwości rozwoju. Autorka podkreśla, że „problem leży w gospodarce, ale korzenie tkwią w polityce". Jeśli ma zostać zaproponowane jakieś rozwiązanie, powinno ono odpowiadać oczekiwaniom zdecydowanej większości Chińczyków, podmiotów rynkowych, a nawet większości w systemie: reforma systemu politycznego, reforma systemu politycznego, reforma systemu politycznego! Te ważne słowa muszą zostać wypowiedziane trzy razy!" – kończy swój artykuł chińska naukowiec.

Lily Tang Williams, która przeżyła rewolucję kulturalną w Chinach, a obecnie mieszka w USA i przewodzi Partii Libertariańskiej w stanie Kolorado, stwierdziła, że artykuł Zhang Yingjie wzywający do reformy systemu politycznego przypomina argumenty, które ona i inni studenci przedstawiali w Chinach w 1985 roku. „To później doprowadziło do masowych protestów na placu Tiananmen w 1989 roku" – napisała Tang na swoim koncie w serwisie X.

Artykuł autorstwa Zhang to tylko jeden z wielu przykładów rosnącej opozycji wśród chińskiej inteligencji. W kwietniu dwie profesorki z Uniwersytetu Technologicznego Hunan w Kantonie, jednej z czołowych uczelni w Chinach, opublikowały manifest, w którym domagały się: 1. zakończenia jednopartyjnej dyktatury i wprowadzenia demokratycznych wyborów; 2. wolności słowa; 3. poprawy warunków życia obywateli oraz sprawiedliwości społecznej; 4. budowy państwa opartego na konstytucji i zagwarantowania praw człowieka. W dokumencie autorki szczególnie krytycznie oceniły trzy kolejne kadencje prezydenta Xi Jinpinga, który w 2018 roku zniósł limit kadencji dla przywódcy ChRL. „Chiński prezydent stał się trwałym bytem przypominającym monarchię, a wolność ludu, otwartość społeczeństwa i różnorodność polityczna będą na zawsze tłumione pod rządami partii" – głosi dokument. Autorki manifestu określiły masakrę na placu Tiananmen z 4 czerwca 1989 roku, którą chiński rząd traktuje jako temat tabu, jako „najbardziej bolesny moment w nowożytnej historii Chin". „Obecny chiński system edukacji oraz środowisko społeczne sprawiły, że młode pokolenie jest niemal nieświadome tego historycznego faktu" – podkreśliły, zaznaczając, że nadszedł czas, aby „studenci wyższych uczelni ponownie podjęli walkę".

▶ Korea Południowa

Jak poinformowało Ministerstwo Zjednoczenia Korei Południowej, w sektorze publicznym Republiki Korei pracuje obecnie więcej północnokoreańskich uciekinierów niż kiedykolwiek wcześniej. Do końca 2024 roku 211 uciekinierów z Korei Płn. znalazło zatrudnienie w tym sektorze, co stanowi wzrost o 17 osób w porównaniu do roku poprzedniego. To najwyższa liczba od 2010 roku, kiedy to północnokoreańscy uciekinierzy zaczęli na poważnie ubiegać się o pracę w służbie publicznej, jak zaznaczyło ministerstwo.

Seul zwiększa swoje wsparcie dla północnokoreańskich uciekinierów, którzy zmagają się z bezrobociem i izolacją społeczną podczas przystosowywania się do nowego życia na Południu.

W ostatnich latach władze w Seulu zintensyfikowały programy integracji społecznej, oferując także wsparcie finansowe oraz zachęty podatkowe dla firm zatrudniających północnokoreańskich uciekinierów.

W lipcu ub.r. były północnokoreański dyplomata Tae Yong-ho został mianowany nowym szefem południowokoreańskiej Rady Doradczej ds. Zjednoczenia w Biurze Prezydenta Republiki Korei. Tym samym stał się pierwszym uciekinierem, który otrzymał tak wysoką rangę w rządzie Korei Płd. W 2020 roku Tae został wybrany do Zgromadzenia Narodowego Republiki Korei. Pjongjang określił go mianem „ludzkiej szumowiny" i oskarżył o różne przestępstwa, w tym defraudację.

W Korei Płd. mieszka około 30 tys. uciekinierów z Korei Płn. Liczba osób uciekających zmniejszyła się od czasu pandemii, która spowodowała zamknięcie granic obu krajów. Przed 2020 rokiem każdego roku ponad 1000 Koreańczyków z Północy decydowało się na ucieczkę do Południa. Uciekinierzy oferują Seulowi cenną perspektywę na wysoce tajny reżim pod przywództwem Kim Dzong Una. Opowiadają o naruszeniach praw człowieka, powszechnym głodzie oraz pracy przymusowej w komunistycznej Korei Płn. ■

eprasa.pl aa16717a60

opracował Antoni Rybczyński

Następna wojna Rosji

Właściwie nikt nie ma dziś wątpliwości – także w krajach, które kiedyś lekceważyły zagrożenie ze strony Rosji – że moskiewski reżim nie zatrzyma się na Ukrainie. Logika państwa zbudowanego przez Władimira Putina zakłada jedynie próby ekspansji. Dlatego już dziś Rosja przygotowuje swoje siły zbrojne do kolejnych wojen, a Kreml wprowadza nową ideologię państwową mówiącą o wyjątkowości Rosji, Rosjan i prawosławia oraz zakładającą wieczny konflikt z Zachodem. W ostrzeżeniach dotyczących przyszłej wojny z NATO najczęściej wskazuje się – jako pierwsze pole starcia – kraje bałtyckie i Skandynawię.

Podczas gdy uwaga świata skupia się na pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę, prezydent Władimir Putin po cichu przygotowuje grunt pod potencjalny konflikt z NATO. Rosja zwiększa obecność wojskową wzdłuż granic z Zachodem, rekordowo zwiększa wydatki na wojsko i intensyfikuje tajne operacje przeciwko Zachodowi. NATO musi „spodziewać się niespodziewanego" i przygotować się na atak Rosji – powiedział w styczniu w Brukseli holenderski admirał Rob Bauer, szef komitetu wojskowego Sojuszu. W ostatnich miesiącach alarmujących sygnałów jedynie przybywa – przedstawiciele służb wywiadowczych i wojskowych ostrzegają, że państwa członkowskie NATO muszą być gotowe na potencjalny konflikt z Rosją. „Newsweek" wymienia „cztery oznaki, że Rosja może przygotowywać się do wojny z NATO", opierając się na zgromadzonych przez media informacjach (Isabel van Brugen, „Cztery oznaki, że Rosja może przygotowywać się do wojny z NATO", „Newsweek", 2 maja 2025).

Wojna nad Bałtykiem

Według europejskich służb wywiadowczych Rosja może podjąć próbę sprawdzenia jedności NATO, przeprowadzając ograniczoną inwazję na jedno z mniejszych państw członkowskich sojuszu, np. Estonię, w której mieszka znaczna część ludności rosyjskojęzycznej. Informację tę podał dziennik „The Wall Street Journal", powołując się na źródło zaznajomione z ocenami służb wywiadowczych. Michael Kofman, starszy pracownik naukowy programu Rosja i Eurazja w Carnegie Endowment, uważa taki scenariusz za prawdopodobny. Powiedział mediom, że Kreml może zdecydować się na „ograniczoną operację przeciwko państwom bałtyckim" w najbliższej przyszłości. Jego zdaniem kraje bałtyckie uważają dwa do trzech lat po zakończeniu wojny na Ukrainie za najbardziej niebezpieczny okres. Dodał, że w przypadku wybuchu szerszej konfrontacji między Rosją a NATO termin ten uległby zmianie – w zależności od rozwoju sytuacji – i wynosiłby od siedmiu do 10 lat („Czy Rosja szykuje się do kolejnej wojny? Rozbudowa infrastruktury wojskowej w pobliżu Finlandii, Estonii i Norwegii budzi obawy o zbliżający się konflikt", Stories Framing the Globe, maj 2025).

Ale nie tylko kraje bałtyckie mogą czuć się zagrożone. Rosja zwiększa swoją obecność wojskową wzdłuż granic z Finlandią i Norwegią w ramach przygotowań do ewentualnej konfrontacji z sojuszem wojskowym,

eprasa.pl aa16717a60

poinformował „The Wall Street Journal". Kreml planuje utworzyć nową kwaterę główną armii w rosyjskim mieście Pietrozawodsk, około 160 km na wschód od granicy z Finlandią, która w ciągu najbliższych kilku lat będzie nadzorować dziesiątki tysięcy żołnierzy. Wielu z nich zostanie rozmieszczonych w tym regionie po zakończeniu wojny na Ukrainie. Jednocześnie Rosja intensyfikuje rekrutację do wojska i przyspiesza produkcję broni. Rosyjscy eksperci wojskowi powiedzieli gazecie, że wzmocnienie sił wzdłuż granicy z Finlandią jest prawdopodobnie częścią szerszych przygotowań prezydenta Władimira Putina do ewentualnego konfliktu z NATO. „Kiedy żołnierze wrócą z Ukrainy, będą patrzeć przez granicę na kraj, który uważają za wroga" – powiedział Rusłan Puchow, dyrektor Centrum Analiz Strategii i Technologii, moskiewskiego think tanku zajmującego się kwestiami obronności. Dodał, że „logika ostatniej dekady pokazuje, że możemy spodziewać się konfliktu z NATO" (I. van Brugen, „Cztery oznaki, że Rosja może przygotowywać się do wojny z NATO", „Newsweek", 2 maja 2025).

Plany Moskwy dotyczące znacznej rozbudowy infrastruktury wojskowej wzdłuż północno-zachodniej granicy – od Karelii po Murmańsk – wskazują na zmianę strategii po przedłużającej się wojnie na Ukrainie. Jak zauważył „The Wall Street Journal", Rosja wzmacnia formacje wojskowe w pobliżu granic z Finlandią, Estonią i Norwegią, przygotowując grunt pod potencjalną konfrontację z NATO. Według raportu opublikowanego 28 kwietnia przez „WSJ", w ostatnich latach Rosja znacznie zmodernizowała i rozbudowała swoje obiekty wojskowe w pobliżu granic z Finlandią i Norwegią. Artykuł powołuje się na zdjęcia satelitarne dostarczone przez Planet, amerykańską firmę specjalizującą się w komercyjnych zdjęciach satelitarnych. Zdjęcia pokazują zmiany infrastruktury w dwóch rosyjskich bazach – jednej w Kamience (obwód leningradzki, w pobliżu granicy z Finlandią) i drugiej w miejscowości Sputnik (obwód murmański, w pobliżu Norwegii). Według ocen fińskiej grupy analitycznej Black Bird Group w Kamience zbudowano nowe koszary, a w bazie Sputnik rozbudowano magazyny sprzętu wojskowego. W rejonie Pietrozawodska w Karelii planowana jest budowa nowych koszar, poligonów, arsenałów oraz kwatery dowodzenia dla znacznych sił zbrojnych. Emil Kastehelmi, analityk fińskiej grupy OSINT Black Bird Group, twierdzi, że obiekty magazynowe i kwatery dla żołnierzy są już w budowie. W Kamience, niedaleko granicy z Finlandią, zbudowano nowe mieszkania dla personelu wojskowego. W Sankt Petersburgu zmodernizowano szpital wojskowy. W Pietrozawodsku, centrum administracyjnym Karelii, powstała nowa kwatera główna korpusu wojskowego oraz magazyny sprzętu. W osadzie Sputnik, w regionie Murmańska, niedaleko granicy z Norwegią, powstaje nowe miasto wojskowe. Szczególną uwagę zwraca się na logistykę kolejową: budowane są nowe linie wzdłuż granic z Finlandią i Norwegią, a także z Sankt Petersburga w kierunku Estonii. Rozbudowywane są również istniejące trasy. – Wzdłuż granicy rosyjsko-fińskiej znajduje się co najmniej kilkanaście sektorów, w których można rozmieścić jednostki zmechanizowane – wyjaśnił Juha Kukkola, profesor Fińskiego Uniwersytetu Obrony Narodowej, w wywiadzie dla „WSJ" („Czy Rosja szykuje się do kolejnej wojny? Rozbudowa infrastruktury wojskowej w pobliżu Finlandii, Estonii i Norwegii budzi obawy o zbliżający się konflikt", Stories Framing the Globe, maj 2025).

Istnieją oznaki, że Rosja zaczyna wstrzymywać wysyłkę nowo wyprodukowanego sprzętu na Ukrainę i przenosi część personelu do innych regionów, w tym do krajów bałtyckich i skandynawskich – powiedział „Newsweekowi" Edward Arnold z think tanku Royal United Services Institute (RUSI). „Jednak działania te nie są bynajmniej przygotowaniami do eskalacji" – powiedział Arnold. „Wiele jednostek stacjonujących zazwyczaj na północy straciło zdolność bojową podczas walk na Ukrainie, więc działania Rosji mają na celu przywrócenie równowagi i uzupełnienie strat. Wskazuje to zatem, że Rosja już zaczyna patrzeć poza Ukrainę" (I. van Brugen, „Cztery oznaki, że Rosja może przygotowywać się do wojny z NATO", „Newsweek", 2 maja 2025). Finlandia spodziewa się dalszego wzmocnienia rosyjskich sił zbrojnych wzdłuż wspólnej granicy po zakończeniu wojny na Ukrainie. Generał dywizji Sami Nurmi, szef strategii fińskich sił zbrojnych, powiedział, że wojsko „bardzo uważnie" śledzi manewry Moskwy i że jego zadaniem, jako członka sojuszu NATO, jest „przygotowanie się na najgorsze". Zdjęcia satelitarne, opublikowane w „The New York Times", wydają się wskazywać na rozbudowę rosyjskiej infrastruktury wojskowej w pobliżu granicy fińskiej, w tym rzędy namiotów, pojazdy wojskowe, renowację hangarów dla myśliwców i budowę wcześniej nie używanej bazy helikopterów. „Robią to etapami. Powiedziałbym, że nadal są to umiarkowane liczby. Nie są to duże budowy, ale w niektórych miejscach powstaje nowa infrastruktura i trwają przygotowania, sprowadzany jest nowy sprzęt" – powiedział Nurmi (Miranda Bryant, „Finlandia »przygotowuje się na najgorsze«, gdy Rosja rozszerza obecność wojskową blisko granicy", „The Guardian", 21 maja 2025).

▶ Rosja przetestuje NATO

Raport niemieckiej Federalnej Służby Wywiadowczej (BND) z marca ostrzega, że Putin przygotowuje się do konfliktu z NATO. Według oceny BND Rosja może być w pełni gotowa do „konwencjonalnej wojny na dużą skalę" do 2030 roku. „Rosja postrzega siebie jako uczestnika systemowego konfliktu z Zachodem i jest gotowa realizować swoje imperialistyczne cele za pomocą siły

ILUSTRACJA: ?

eprasa.pl aa16717a60

militarnej, nawet poza Ukrainą" – stwierdzono w raporcie. Tymczasem litewskie służby wywiadowcze VSD oceniły, że chociaż Moskwa może nie być jeszcze gotowa do rozpoczęcia pełnej ofensywy przeciwko sojuszowi, może podjąć próbę „przetestowania NATO" poprzez ograniczoną operację wojskową przeciwko jednemu lub kilku państwom członkowskim, aby ocenić, jak poważnie blok ten potraktuje swoje zobowiązania w zakresie zbiorowej obrony. Atak Rosji na dowolnego członka NATO spowodowałby uruchomienie art. 5 karty sojuszu, który stanowi, że atak na jedno państwo członkowskie spotka się z kolektywną reakcją. Duńska Służba Wywiadu Obronnego (DDIS) również ostrzegła w lutym, że Rosja może być gotowa do rozpoczęcia „wojny na dużą skalę w Europie w ciągu najbliższych pięciu lat. Chociaż „obecnie nie ma zagrożenia regularnym atakiem militarnym na Królestwo", prawdopodobne jest, że „zagrożenie militarne ze strony Rosji wzrośnie w nadchodzących latach" – stwierdzono w raporcie (I. van Brugen, „Cztery oznaki, że Rosja może przygotowywać się do wojny z NATO", „Newsweek", 2 maja 2025).

Zachód bije też na alarm w związku ze zwiększoną aktywnością rosyjskich sił zbrojnych w pobliżu kluczowych podmorskich kabli komunikacyjnych. Wśród członków NATO narastają obawy, że Putin może zaatakować podwodne kable i infrastrukturę krytyczną, które mają kluczowe znaczenie dla globalnych systemów komunikacyjnych. Rosja prowadzi eskalującą i brutalną kampanię sabotażu i dywersji przeciwko celom europejskim i amerykańskim w Europie, stwierdziło Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych w raporcie opublikowanym w marcu. W raporcie zauważono, że liczba rosyjskich ataków w Europie wzrosła prawie trzykrotnie w latach 2023–2024, po tym jak w latach 2022–2023 wzrosła czterokrotnie. „Dane wskazują, że Rosja stanowi poważne zagrożenie dla Stanów Zjednoczonych i Europy oraz że nie można ufać rosyjskiemu rządowi, w tym prezydentowi Władimirowi Putinowi" – stwierdzono w raporcie (I. van Brugen, „Cztery oznaki, że Rosja może przygotowywać się do wojny z NATO", „Newsweek", 2 maja 2025).

Kolejna oznaka, że Rosja szykuje się do wojny z NATO, to zwiększanie wydatków na wojsko. Jak podkreśla „The Wall Street Journal", Kreml szybko zwiększa wydatki na wojsko: w 2024 roku przekroczyły one 6 proc. PKB – w porównaniu z 3,6 proc. przed pełną inwazją. Dla porównania, Stany Zjednoczone przeznaczyły w tym roku 3,4 proc. PKB na obronność, a kraje Unii Europejskiej średnio 2,1 proc. W ostatnich latach wzrosły moce produkcyjne rosyjskiego przemysłu obronnego, zwłaszcza w zakresie produkcji czołgów. Według szacunków zachodnich służb wywiadowczych w 2021 r. Rosja produkowała około 40 czołgów T-90M rocznie. Obecnie liczba ta wynosi blisko 300. Jednak według wysokiego rangą fińskiego wojskowego nowe pojazdy pozostają na terytorium Rosji i rzadko są używane na Ukrainie. Do 2025 roku produkcja artylerii i amunicji ma wzrosnąć o kolejne 20 proc. Według „The Wall Street Journal" większość tej nowej broni zostanie rozmieszczona w jednostkach stacjonujących wzdłuż granic NATO. Sprzęt z czasów radzieckich, choć zmodernizowany, nadal jest wysyłany na front ukraiński. Generał Christopher Cavoli, naczelny dowódca sił zbrojnych NATO w Europie, stwierdził, że Rosja odbudowuje swoje siły zbrojne szybciej niż oczekiwali zachodni analitycy. „Armia, która ponosi obecnie największe straty w wojnie, przewyższa liczebnością armię istniejącą na początku konfliktu" – powiedział podczas przesłuchania przed Senatem USA w kwietniu" („Czy Rosja szykuje się do kolejnej wojny? Rozbudowa infrastruktury wojskowej w pobliżu Finlandii, Estonii i Norwegii budzi obawy o zbliżający się konflikt", Stories Framing the Globe, maj 2025).

„W przeszłości zamarznięta Arktyka służyła jako naturalna bariera, chroniąca Rosję przed zagrożeniami morskimi. Jednak w miarę jak lód ustępuje z powodu zmian klimatycznych, ta naturalna obrona słabnie, przekształcając geopolitykę Arktyki i stwarzając szanse i zagrożenia dla Moskwy".

Wojna to armia, ale też ideologia

Według kompleksowego raportu think tanku RAND, można mówić o czterech scenariuszach odbudowy rosyjskich sił zbrojnych po zakończeniu wojny z Ukrainą. Przygotowując analizę takich planów eksperci przyjęli kilka założeń, m.in. wciąż te same co dotychczas rosz-

eprasa.pl aa16717a60

czenia terytorialne oraz utrzymywanie ścisłej współpracy z Chinami, Iranem, Białorusią i Koreą Północną. Pierwsza możliwa strategia, którą mogą przyjąć rosyjskie władze, została nazwana „planem Szojgu", czyli sekretarza Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej Siergieja Szojgu. Zakłada ona armię większą niż przed 2022 rokiem i jedynie częściowe inwestycje technologiczne, gdyż „Rosja zmaga się z ograniczeniami związanymi z siłą roboczą, technologią i łańcuchem dostaw, a jej kapitał naukowy i umiejętności technologiczne od dłuższego czasu podupadają" (Michelle Grisé, Mark Cozad, Anna M. Dowd, John Kennedy, Marta Kepe, Clara de Lataillade, Krystyna Marcinek, David Woodworth, „Jak Rosja odbuduje swoje siły zbrojne po konflikcie na Ukrainie?", RAND Corporation, 27 marca 2025). Drugim opisanym przez RAND scenariuszem jest powrót do starych zasad, polegających na masowym, zmechanizowanym wojsku, z niewielkimi inwestycjami. Podstawą budowy armii byłoby według RAND to, co Rosja może sama wyprodukować, a braki technologiczne byłyby uzupełniane wielkością armii. Trzeci scenariusz to zupełnie inne spojrzenie na obronność. Mniejsza, ale lepsza jakościowo armia, poważne inwestycje technologiczne (dzięki dostępowi do niektórych krytycznych technologii i komponentów z krajów nieprzestrzegających sankcji), większa rola wywiadu i służb specjalnych, a także zintegrowanie z siłami zbrojnymi prywatnych firm najemniczych. Ten scenariusz jest mało prawdopodobny, ponieważ władze rosyjskie wolą polegać na wielkości armii, a do tego dochodzą luki technologiczne. Czwartym scenariuszem odbudowy rosyjskich sił zbrojnych byłby zupełnie nowy model oraz reformy, w wyniku czego armia powinna organizacyjnie przypominać amerykańskie lub chińskie, a Rosja musiałaby sięgnąć po zewnętrzną wiedzę, pozyskać nowe technologie oraz rozwijać strategiczne partnerstwa z Białorusią, Iranem, Chinami i Koreą Północną. Zdaniem autorów raportu „dotychczasowa kultura polityczna i strategiczna dzisiejszej Rosji sprawia, że przyjęcie nowego modelu operacyjnego jest mało prawdopodobne, ponieważ zachęca urzędników wojskowych do podejmowania decyzji oraz inicjatywy bez wyraźnych rozkazów przełożonych" (M. Grisé, M. Cozad, A.M. Dowd, J. Kennedy, M. Kepe, C. de Lataillade, K. Marcinek, D. Woodworth, „Jak Rosja odbuduje swoje siły zbrojne po konflikcie na Ukrainie?", RAND Corporation, 27 marca 2025).

Jednak jeszcze groźniejsze od przebudowy armii jest wprowadzanie ideologii, być może nie mniej groźnej niż nazizm w III Rzeszy niemieckiej. Armię można pokonać, zmienić poglądy milionów ludzi – trudniej. Prezydent Rosji Władimir Putin wspiera tworzenie nieformalnej ideologii państwowej opartej na rosyjskim nacjonalizmie, która stawia Rosję w opozycji do Zachodu w ramach ciągłych wysiłków zmierzających do militaryzacji i zjednoczenia rosyjskiego społeczeństwa – podkreślają analitycy z amerykańskiego Institute for the Study of War (ISW). Urzędnicy Kremla wykorzystali ostatnio Dzień Zwycięstwa, największe święto Rosji upamiętniające wkład Związku Sowieckiego w II wojnę światową, do promowania nowej nieformalnej ideologii państwowej opartej na jedności Rosji w obliczu sprzeciwu Zachodu. Kreml prawdopodobnie przyspiesza promowanie tej ideologii, aby przygotować społeczeństwo krajowe na przyszły konflikt zbrojny z Zachodem (Russian Offensive Campaign Assessment, 22 maja 2025, Institute for the Study of War). 22 maja podczas prawdopodobnie starannie wyreżyserowanej ceremonii wręczenia nagród Putin stwierdził, że „silne fundamenty rodzinne" i „tradycyjne wartości" stanowią podporę „tysiącletniej państwowości" Rosji. Putin podkreślił, że „najważniejszym" zadaniem Rosji jest ochrona jej ludności, kultury i duchowości. Rosyjski ksiądz prawosławny, który otrzymał nagrodę podczas ceremonii, podziękował Putinowi za ochronę tradycyjnej kultury, duchowości i języka Rosji. […] Dyrektor generalny Rosyjskiego Państwowego Muzeum Historycznego i laureat nagrody Aleksiej Lewikin stwierdził, że wiele krajów wrogich Rosji opiera swoją politykę i ideologię na fałszowaniu wydarzeń historycznych i faktów. Dyrektor szkoły sztuk walki, który otrzymał nagrodę, stwierdził, że Rosja zawsze udowadnia, że jej wojownicy są najlepsi na polu bitwy i na arenach sportowych. Putin w sposób szczególny promował rosyjski nacjonalizm, podkreślając duchowość Rosji i jej tysiącletnią historię oraz przyznając nagrodę wyłącznie rosyjskiemu księdzu prawosławnemu, a nie przedstawicielom innych wyznań, mimo że państwo rosyjskie formalnie uznaje prawosławie, islam, judaizm i buddyzm za „tradycyjne" religie Rosji. Putin już wcześniej podkreślał wkład mniejszości etnicznych i religijnych w rozwój Rosji podczas ważnych wydarzeń i często promował rosyjską tożsamość obywatelską i nacjonalizm. Odejście od tej retoryki podczas wyreżyserowanego wydarzenia 22 maja może być próbą uspokojenia coraz bardziej prowojennej rosyjskiej społeczności ultranacjonalistycznej. Putin próbuje również wykorzystać wypowiedzi laureatów do wzmocnienia tworzenia nieformalnej ideologii państwowej opartej na utrwalaniu przekonania, że Zachód jest zdeterminowany, aby pokonać Rosję, uzasadniając w ten sposób przed rosyjską opinią publiczną przyszły konflikt zbrojny z Zachodem. […] Putin prawdopodobnie zintensyfikuje wysiłki na rzecz zjednoczenia rosyjskiego społeczeństwa w obliczu postrzeganego zagrożenia ze strony Zachodu oraz stworzenia elitarnej klasy zmilitaryzowanych nacjonalistów, aby zapewnić, że każdy jego następca będzie wyznawał podobnie agresywne i niebezpieczne ideały, które utrwalą wieczny konflikt z Zachodem i NATO" (Russian Offensive Campaign Assessment, 22 maja 2025, Institute for the Study of War). ■

eprasa.pl aa16717a60

Il papa č morto! Lunga vita al papa! Umarł papież! Niech żyje papież!



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Miało trwać kilkanaście dni. Miało być długie i wyjątkowo burzliwe. A, jak się okazuje, wybór padł już drugiego dnia obrad. Majowe konklawe A.D. 2025 znów zaskoczyło. I to wszystkich. Zarówno konserwatystów, jak i postępowców. Po śmierci 266. papieża w historii mamy już po nim kolejnego – 267. następcę św. Piotra. Został nim Amerykanin, Robert Prevost. Rzym się cieszy. Nie jest już sierotą.



FOT. MAZUR/CBCEW



W odróżnieniu od dwóch swoich poprzedników młody Jorge Bergoglio nie zaznał smaku wojny.

Gdy umierał papież Franciszek, na placu św. Piotra organizowano wśród wiernych modlitwę różańcową za Ojca Świętego. Jednej z nich przewodniczył prefekt Dykasterii ds. Biskupów, mało komu znany kardynał ze Stanów, Robert Francis Prevost OSA. Modlitwy zaczynały się o godzinie 19:30 i trwały do późna. Po zakończeniu kolejnych części Różańca ludziom wcale nie spieszyło się odchodzić. Jakby nadal chcieli trwać.

Dla niektórych spośród mieszkańców Wiecznego Miasta to już swego rodzaju tradycja, której chcą być wierni. Móc towarzyszyć w ten sposób w odejściu z tego świata kolejnemu papieżowi ich życia. A troszkę ich już w tym miejscu pożegnali. Gdy w Castel Gandolfo umierał Paweł VI, także tutaj byli. Oczekując na placu św. Piotra na smutną informację z ust arcybiskupa Leonardo Sandriego. Byli tu, gdy umierał Jan Paweł II. Wtedy zbiorowe czuwanie na placu św. Piotra trwało chyba najdłużej. Byli tu, gdy Stolica Apostolska ogłosiła informację o śmierci papieża-emeryta, Benedykta XVI. Teraz też chcieli tu być. I choć każdy z nich ma swego ulubionego papieża, każdy ma swoje poglądy na obserwowane pontyfikaty, to jednak wszystkich łączy jedno: dla każdego z nich papież był biskupem ich miasta. Biskupem Rzymu. Był przede wszystkim ich.

Karol i jego ojciec

Gdy przychodził na świat w sypialni wadowickiej kamienicy przy ulicy Rynek 2, miał już brata. Wraz z nim oraz rodzicami będzie mieszkał tu aż do momentu zdania matury. W tym samym domu umrze wkrótce jego mama. Karol będzie miał wówczas jedynie dziewięć lat. Od tej pory jego relacje z ojcem bardzo się umocnią. Ta relacja zostanie niedługo wystawiona na kolejną próbę, bo już za kolejne trzy lata umrze na szkarlatynę Edmund, jego starszy brat. Wraz z ojcem zostaną wówczas już sami.

Ojciec Karola był człowiekiem łagodnym i dobrym. I bardzo cierpliwym. Z żelazną konsekwencją wypełniał rodzicielskie obowiązki, nie prosząc nikogo o pomoc. Wykazywał się niespotykaną wprost troskliwością o dom, samodzielnie przyrządzając śniadania i kolacje. Wpierw dla dwóch synów, potem już tylko dla jednego. Z Karolem zwykł chodzić na obiady do pobliskiej jadłodajni, która znajdowała się naprzeciwko domu.

Jako wdowiec i człowiek, który przeżył dwoje swoich dzieci (córka państwa Wojtyłów, Olga, umarła, przeżywszy zaledwie 16 godzin), dzielnie wypełniał zadania rodzica i męża, kształtując charakter „Lolka". Pokazując mu wiarę. A także nową Matkę, gdy w Kal-

eprasa.pl aa16717a60

warii Zebrzydowskiej wskazał Maryję jako Tę, która przejęła w pełni matczyną rolę w jego życiu.

Dom Josepha

Joseph urodził się siedem lat po Karolu. Przyszedł na świat w Wielką Sobotę – 16 kwietnia 1927 roku – w miasteczku Marktl am Inn w Bawarii. Będąc najmłodszym dzieckiem policjanta Josepha i pochodzącej z Tyrolu Marii Ratzingerów.

Za dwa lata cała rodzina przeprowadzi się do Tittmoning, małego miasteczka nad rzeką Salzach, tuż przy granicy austriackiej. W urokliwym miasteczku nie pomieszkają jednak długo. Z powodu głośno wyrażanej przez ojca krytyki nazizmu rodzina zostanie przesiedlona do Aschau am Inn u stóp Alp. A gdy ojciec domu przejdzie na emeryturę, ponownie przeprowadzi rodzinę: tym razem do Hufschlag, w pobliżu miasta Traunstein. Tam też 10-letni Joseph spędzi swoje młodzieńcze lata i okres nauki w klasycznym gimnazjum.

Gdy Joseph będzie miał 14 lat, niemieccy naziści zapukają do drzwi domu jego kuzyna, równolatka. Chorego na zespół Downa chłopca na mocy obowiązującego w Trzeciej Rzeszy prawa zabiorą od rodziców i wywiozą w nieznane miejsce. Wkrótce potem rodzice dowiedzą się, że ich syn został zabity. Doświadczenie demonicznego barbarzyństwa w cywilizacyjnej walce o życie najbardziej potrzebujących będzie od tej pory miało niezwykły wpływ na kształtowanie się psychiki dojrzewającego nastoletniego Josepha.

Jorge i jego Buenos

Położony po sąsiedzku względem dzielnicy Flores stadion im. Pedro Bidegaina w Buenos Aires był siłą rzeczy najbliższą z „piłkarskich świątyń", do których chodził młody Jorge. Zanim te sportowe zamienił na prawdziwie sakralne. Tutaj zresztą – w El barrio de Flores – się urodził. Dokładnie 16,5 roku po Karolu. Tutaj dorastał. I tutaj okrzepł. El barrio de Flores nie jest może najbiedniejszą ze wszystkich dzielnic stolicy Argentyny, jakie znam, co w niczym nie zmienia faktu, że jeśli ktoś szuka miejsca w Buenos Aires, gdzie życie wcale nie wygląda kolorowo i bezpiecznie, może odwiedzić właśnie tę środkowowschodnią część największej argentyńskiej aglomeracji.

Z jednej strony położona w kleszczu ulic Rivadavia i Ramón Falcón tutejsza bazylika San José de Flores jako wizytówka dzielnicy daje o niej jak najlepsze świadectwo – ot, biała bryła jaśniejąca pośród szerokich trawników sprzyja skojarzeniom z szerokimi placami bogatego Waszyngtonu – to jednak tylko przykrywka. Tak naprawdę bowiem El barrio de Flores to przede wszystkim odrapane niskie domy, wąskie podziurawione chodniki i zakratowane okna. Włamania czy kradzieże są tu na porządku dziennym. W latach 40. i 50. XX wieku – a więc w czasie, gdy ulice te stawały się domem dla małego Jorge Mario – wcale nie było tu lepiej.

Jorge Bergoglio – wbrew powszechnej kalce kolportowanej dziś przez wielu dziennikarzy – nie urodził się w domu przy Membrillar 531, lecz w apartamencie A przy ulicy Varela 200. Do dziś elewację białego domu zdobi marmurowa tablica informująca o miejscu, w którym przyszedł na świat jeden z najsławniejszych Argentyńczyków w historii tego kraju. I choć dom nie należy już do rodu Bergoglio, nadal przybywają tu ludzie, aby zajrzeć między kraty okien, aby zrobić zdjęcia, a czasem aby zapukać. Wówczas drzwi otworzy obecny właściciel kamienicy. Odkupił ją w 2021 roku od rodziny, która kupując ją z kolei w 1980 roku, nie miała pojęcia, kto tutaj mieszkał wcześniej. Dom jest oczywiście po gruntownym remoncie.

Z zewnątrz widać dwoje identycznych białych drzwi. Rzecz jasna zakratowanych. Te po lewej prowadzą do domu rodzinnego Francisco. Po ich przekroczeniu wchodzimy na korytarz, od którego rozchodzi się pięć pomieszczeń: sypialnia główna, sypialnia mniejsza, jadalnia, mała kuchnia i łazienka. Wszystko to 87 mkw. powierzchni. Wszystkie przestrzenie połączone są wewnętrznym dziedzińcem, z którego schody prowadzą do kolejnego pomieszczenia, znajdującego się już na antresoli, oraz na taras. Jorge mieszkał tu do piątego roku życia.

Kolejny dom, do którego się przeprowadził wraz z rodziną, znajduje się przy ulicy Membrillar pod numerem 531. Ten także nietrudno znaleźć wśród plątaniny wąskich uliczek Flores. Ale i tu nie znajdziemy już żadnego z członków papieskiej rodziny.

Papieskie proroctwo Roberta

Robert Francis Prevost rodzi się 35 lat po przyjściu na świat Karola – 14 września 1955 roku w Chicago. Atmosfera, jaka wówczas panuje na ulicach Stanów, nie jest ciekawa. Kilka dni wcześniej w stanie Missisipi dochodzi do brutalnego morderstwa czarnoskórego nastolatka, Emmetta Tilla. Morderstwo porusza całą Ameryką, stając się symbolem rodzącego się ruchu praw obywatelskich.

Póki co jednak uliczne starcia i napięcia nie dotykają bezpośrednio rodziny Prevostów. Ojciec Roberta, pan Louis, pracuje jako nadzorca szkół na południowych przedmieściach Chicago. Jego żona to starsza o osiem lat od niego Mildred Martinez Prevost. Jako pełna pasji artystka bierze udział w licznych amerykańskich skeczach i przedstawieniach teatralnych.

FOT. MAZUR/CBCEW

eprasa.pl aa16717a60



Tego dnia podczas ogłaszania wyników konklawe fotoreporterzy szukali na placu przede wszystkim amerykańskich pielgrzymów.

Nagrywa także własną autorską wersję „Ave Maria". Po latach najstarszy z synów powie o tym utworze, że był to „mamy znak rozpoznawczy".

Rodzina jest bardzo religijna. Aktywna w swojej parafii. Pani Mildred posługuje jako członek przyparafialnej wspólnoty Altar & Rosary Society. Oboje z mężem służą jako lektorzy podczas Mszy świętych. Taka aktywność nie może nie mieć wpływu na ich trzech synów.

Któregoś dnia po rowerowej przejażdżce ze swoim podwórkowym kolegą Hollym Boblinkiem Robert proponuje mu nową zabawę. Będą odprawiać mszę. Jako uważny obserwator chłopiec powtarza kapłańskie gesty z dużą starannością. Hostią są w tej zabawie małe wafelki.

Trudno się więc dziwić, że specyficzne zainteresowania młodego Roberta stają się szybko obiektem dyskusji i rozmów sąsiadów z Dolton. Jedna z sąsiadek ma nawet powiedzieć publicznie, że Robert w przyszłości stanie się pierwszym w historii papieżem ze Stanów. Dziś to proroctwo przywołuje chociażby starszy brat Roberta.

Papieskie młodości w wojennej pożodze

Wybuch II wojny światowej zastaje młodych Wojtyłów w kościele na pierwszopiątkowym nabożeństwie. Wkrótce na polskich ulicach pojawiają się prześladowania. Umiera ojciec Karola, sam zaś 22-letni mężczyzna wstępuje do tajnego seminarium. W tym czasie rankami będzie asystował przy Mszach księciu metropolicie Adamowi Sapiesze, pozostałą część dnia pracując w zakładach Solvayu. Gdy Niemcy będą urządzać łapanki, młodemu Wojtyle z pomocą przyjdzie arcybiskup, udzielając schronienia w swoim pałacu. Za dwa lata właśnie od Sapiechy otrzyma święcenia kapłańskie. Dalszą część tej biografii każdy z nas zna doskonale. Studia na Angelicum w Rzymie, krakowskie biskupstwo, wreszcie zaś Tron Piotrowy.

Młodość Josepha także była przeżywana w cieniu wojny. Ratzinger miał jej dosyć do tego stopnia, że jako żołnierz obrony przeciwlotniczej czekał w duchu na inwazję wrogich aliantów, co nie oznacza, że nie cechował się odwagą. Gdy jeden z niemieckich instruktorów o skłonnościach sadystycznych ryczał do wyprężonych żołnierzy: „Kto wytrzyma dłużej?! Wy, czy ja?!", z szeregu wystąpił najsłabszy z zebranych, Joseph, i zakrzyknął wyzywająco: „My!".

Ponadto był to czas, w którym oficerowie SS zastraszali swoich rekrutów, usiłując zmusić ich do „dobrowolnego" wstąpienia w szeregi ich przestępczej organizacji. Część ulegała presji, ale nie wszyscy. Wśród

eprasa.pl aa16717a60



Bez uformowania, jakie wyniósł z kochającego domu, Karol Wojtyła nigdy nie zyskałby tej zaraźliwej autentyczności, którą tak bardzo zjednywał sobie tłumy.

nich był m.in. właśnie Joseph. Wraz z kilkoma kolegami miał odwagę powiedzieć, że chcą zostać katolickimi księżmi. „Odsyłani byliśmy z szyderstwami i przekleństwami, ale wulgaryzmy te cudownie smakowały, ponieważ uwalniały nas od zagrożenia kłamliwą »dobrowolnością« z wszystkimi jej następstwami" – wyzna po latach już jako papież Benedykt XVI.

▶ Od młodzieńczej miłości, przez fryzjera, aż po lewą nawę Maggiore

Smaku wojny nie zaznał za to młody Jorge Bergoglio. Od jego starszej siostry Marii Eleny wiemy choćby o sobotniej tradycji słuchania przez Jorge wraz z mamą opery w Radio del Estado. Czy o młodzieńczej pasji do futbolu. A także o wcale odwzajemnionej miłości.

Kim była wybranka przyszłego papieża? Jak wyglądała? Ile trwała ich relacja i dlaczego się rozpadła? Pani Amalia Damonte nadal pomieszkuje w sąsiedztwie rodzinnego domu Bergogliów. Ot, kilkanaście domów dalej, pod numerem Membrillar 555. Dziś już owdowiała z nieukrywanym rozbawieniem odpowiada na dziennikarskie insynuacje na temat jej relacji z przyszłym papieżem. „Gdyby tylko mój mąż żył i dowiedział się, co teraz wypisują gazety o mnie i o Jorge, wyprowadziłby się ode mnie" – śmieje się prostolinijnie.

Wersję kobiety potwierdza zresztą inny sąsiad z okolicy, pan Rafael Musolino. Młody Bergoglio ponoć wolał grywać z nim w piłkę niż spacerować z Amalią. Jak na grajka był wysoki i ponadprzeciętnie chudy. „Ale van Basten z niego był żaden" – wspomina żartobliwie Musolino.

Pewnie dlatego sam zainteresowany wolał oglądać tych, którym troszkę do tego van Bastena jednak bliżej. Czynił to właśnie na oddalonym o 3 kilometry na południowy-wschód stadionie ukochanego San Lorenzo. Fanem czerwono-granatowych pozostał zresztą już na zawsze, do końca swoich dni opłacając chociażby składki członkowskie. Wielokrotnie zapraszając zawodników na papieskie audiencje. Trudno się dziwić, że zaraz po śmierci Ojca Świętego klub ogłosił decyzję, że uczci pamięć najsłynniejszego fana poprzez nazwanie jego imieniem nowo budowanego stadionu. Ten ma powstać w dzielnicy Boedo.

Zarówno z Flores, jak i z Boedo do hałaśliwego narożnika alej Av. de Mayo i Leandro N. Alem jest przynajmniej pół godziny jazdy samochodem. A tak się złożyło, że właśnie tutaj, w hałaśliwym centrum miasta, znajdowała się ulubiona miejscówka Bergoglio na

FOT. MAZUR/CBCEW

eprasa.pl aa16717a60



Gdy niemieccy naziści zabrali – aby zabić – chorego na Downa kuzyna 14-letniego Josepha Ratzingera, mocno odbiło się to na psychice przyszłego papieża.

strzyżenie. „Jesteśmy dumni, że kardynał Bergoglio, a następnie papież Franciszek, był naszym klientem przez 20 lat" – chwalą się fryzjerzy z baneru ustawionego za witryną ich zakładu przy Av. de Mayo 5. Faktycznie przyszły papież Franciszek zajrzał tu ostatni raz w marcu 2013 roku. Dokładnie na trzy dni przed wyjazdem do Rzymu na konklawe. „Powiedział do nas: »Widzimy się za dwa tygodnie«" – wspomina Juan José Ciacero, fryzjer, który strzyże w tym miejscu już od 30 lat.

Na powrót „swojego Bergoglio" z konklawe czekał zresztą nie tylko on. W domu dla księży w rodzinnej dzielnicy Flores już szykowali mu pokój. Ponoć miał tam wstąpić przed samym wyjazdem do Włoch, by z uśmiechem rzucić: „Za dwa tygodnie będę się cieszył emeryturą".

Sławny już kioskarz z punktu naprzeciwko kurii skrupulatnie gromadził dla Jorge numery ulubionej gazety „La Nación", by po powrocie kardynał mógł odrobić zaległą prasówkę. A siostry miłosierdzia parzyły umówioną herbatę z mlekiem. Żadnego z nich Bergoglio już nie odwiedził. Po wyborze na stolicę Piotrową jego noga nigdy już nie postała na argentyńskiej ziemi. Pozostały zatem jedynie ślady, które dziś prowadzą do płyty nagrobnej z jego papieskim imieniem. Znajdującej się w połowie lewej nawy Bazyliki Matki Bożej Większej przy rzymskim Termini.

Dom jednak nie na sprzedaż

Dolton. Południowa część Chicago. Pełno tu charakterystycznych dla tej dzielnicy małych jednorodzinnych domków mieszkalnych. Każdy podobny, budowany wedle tych samych schematów. Skromna, prosta bryła i niewielki trawnik przed wejściem. Budowali je na przełomie lat 40. i 50. irlandzcy migranci katolickiej społeczności Chicago, zanim fala ucieczki białych w latach 90. rozproszyła ich na północ. Skromny, czerwonoceglany dom o powierzchni 111 mkw. z wiszącym przy drzwiach frontowych numerem 212 przy wejściu był do niedawna wystawiony na sprzedaż. Młode małżeństwo spodziewające się dziecka wystawiło dom na sprzedaż za cenę wywoławczą 199 900 dolarów. W momencie, w którym w loggii watykańskiej bazyliki pojawiła się sylwetka kardynała Roberta Prevosta, stało się jasne, że ta oferta długo tu się nie utrzyma. I rzeczywiście. Zniknęła.

Ten dom to bowiem rodzinny dom państwa Prevostów. W nim młody Robert dorastał. W nim

eprasa.pl aa16717a60

odprawiał swoje „dziecięce Msze święte". Stąd też udawał się na lekcje do pobliskiej szkoły, tudzież na niedzielne nabożeństwa do kościoła St. Mary of the Assumption (Matki Bożej Wniebowziętej) przy S. Leyden Ave. 13764 w dzielnicy Riverdale. Młody Robert służył w trakcie tych mszy jako ministrant. Dziś kościół znajduje się niemal w ruinie. Odrapane ściany, zniszczona elewacja, nieprzycinane zarastające krzewy upominające się o swoje. Parafianie liczą, że być może papież Leon XIV zechce odwiedzić rodzimą parafię, a wtedy władze będą zobligowane do podjęcia jakiegokolwiek remontu obiektu.

Robert jako młody chłopak był pełen energii i wigoru. W mieście, w którym obsesja na punkcie baseballu nie zna granic, jednym z pierwszych pytań wobec mieszkańca zawsze jest to, której drużynie kibicuje. W tym przypadku opcje są zazwyczaj dwie: Chicago White Sox albo Chicago Cubs.

„Zawsze był fanem Sox" – oznajmił jakby w imieniu nowego papieża jego brat John.

Już wkrótce kolejną prócz sportu pasją przyszłego papieża Leona XIV okaże się być… matematyka. Na Uniwersytecie Villanova w Pensylwanii uzyska z niej tytuł licencjata, by w 1977 roku wstąpić do zakonu św. Augustyna i podjąć studia w Catholic Theological Union w dzielnicy Hyde Park w Chicago. Tam też po pięciu latach nauki uzyska tytuł magistra teologii.

Pizza na Angelicum

Już jako duchowny ojciec Robert rozpocznie kolejne studia. Na uczelni tak dobrze znanej swemu wielkiemu poprzednikowi, Karolowi Wojtyle. Na Papieskim Uniwersytecie św. Tomasza z Akwinu w Rzymie uzyska z czasem doktorat z prawa kanonicznego. Jego praca doktorska będzie nosić tytuł „Rola lokalnego przeora w zakonie św. Augustyna".

„Jest prawdopodobnie najmniej amerykańskim z amerykańskich kardynałów" – mówi o nowo wybranym papieżu ojciec John Leydon, jego współbrat, z którym pełnił posługę przez ponad 10 lat w Peru. Tak bowiem wyglądają kolejne ścieżki ojca Roberta Prevosta. Prócz pracy misyjnej w jednym z biedniejszym krajów Ameryki Południowej, otrzymuje on także za zadanie prowadzenie seminarium augustianów w tutejszym mieście Trujillo. Z czasem z racji braku powołań i jednocześnie licznych talentów samego ojca Roberta powierza się mu dodatkowo funkcje: proboszcza parafii, urzędnika diecezjalnego, dyrektora formacji, nauczyciela seminaryjnego i wikariusza sądowego. Z czasem także… kucharza. Świadkowie jego posługi na misji w peruwiańskim Trujillo twierdzą, że przełożony tamtejszego seminarium szczególnie dobry był w pizzy. Tej na cienkim cieście.

W 1999 roku ojciec Robert ponownie wraca do ojczyzny, do Chicago, aby zostać wybrany prowincjałem prowincji. A nieco ponad dwa lata później przełożonym generalnym całego zakonu augustianów. Tę najważniejszą w zakonie funkcję będzie pełnił przez dwie kolejne kadencje. Aż do 2013 roku.

W 2014 roku wróci do Peru, gdzie papież Franciszek mianuje go administratorem apostolskim diecezji Chiclayo, a następnie biskupem Chiclayo. W styczniu 2023 roku obejmie funkcję prefekta Dykasterii Biskupów w Rzymie. Od tej pory będzie odpowiedzialny za wybór kolejnych biskupów. „Był proboszczem. Był misjonarzem. Wszystkie te lata spędził w Peru. Został obywatelem Peru, zna więc walkę ludzi pozbawionych praw, zna ich ubóstwo" – mówi o nowym papieżu ks. Michael Pfleger, proboszcz kościoła St. Sabina w Chicago. „Jego zakon, augustianie, jest znany z opieki duszpasterskiej i walk o sprawiedliwość społeczną".

Nowy etap

Gdy na przełomie kwietnia i maja tego roku kardynałowie zjeżdżali się do Rzymu na zbliżające się wielkimi krokami konklawe, augustiański znajomy ks. Roberta Prevosta, ojciec Tom McCarthy, wysłał do niego krótką wiadomość e-mail. Napisał w niej: „Drogi Bobie, modlę się za ciebie i wszystkich kardynałów. Przyjdź Duchu Święty!". Wkrótce doczekał się odpowiedzi: „Dzięki, Tom. Nie przestawaj się modlić".

O samym konklawe, jak zawsze, wiemy naprawdę niewiele. Jedynie tyle, ile powiedzą nam świadkowie, czyli sami kardynałowie. A tak się złożyło, że jeden z nich – kardynał Joseph Tobin – wspomniał w mediach opis momentu, w którym Prevost zdał sobie sprawę z sytuacji. „Schował twarz w dłoniach. Modliłem się wtedy za niego" – wspomina ten kluczowy moment w Kaplicy Sykstyńskiej purpurat. Resztę widzieliśmy już wszyscy. Ubrawszy się w zakrystii Kaplicy Sykstyńskiej, nazywanej popularnie Pokojem Łez, nowy biskup Rzymu przeszedł łącznikiem do wnętrza bazyliki, aby po kilkudziesięciu minutach od wyboru pokazać się na papieskiej loggii wszystkim zgromadzonym na placu św. Piotra wiernym.

Robert Prevost. Papież Leon XIV. Nowy biskup Rzymu. Nowy papież. A więc tak… Wieczne Miasto nie jest już osierocone. Po kolejnych pontyfikatach, z których każdy był tak inny, każdy był tak osobisty, pora na kolejny etap. Etap, który zaczyna się właśnie teraz. ■

FOT. MAZUR/CBCEW

eprasa.pl aa16717a60



Marcin Wolski

Hejt tam w dolinie

Zwycięstwo Karola Nawrockiego – odniesione wbrew wszystkim siłom, które się przeciw niemu sprzęgły – ulicy i zagranicy, administracji i służbom, mainstreamowym mediom, a nade wszystkim otumanionym milionom ludzi, już nie Ciemnogrodzian, a jeszcze Europejczyków, którzy uwierzyli we wszystkie dyrdymały, a wielu z rozkoszą łykało rynsztokowe kłamstwa – może nieść dla jego przeciwników bolesną lekcję. Nie da się wygrać samym hejtem. Pomówienie by okazało się skuteczne, musi mieć w sobie cząstkę prawdy, udawać obiektywizm. Na szczęście politrucy Tuska nie znali większości reguł, którymi doskonale operowali mistrzowie kłamstwa – Goebbels czy Urban. W dodatku ten front obmowy przedobrzył, dochodząc do momentu, w którym intensywność napaści rodzi w ludziach współczucie, powątpiewanie, a na koniec solidarność z zaszczuwanym.

Hejt jest oczywiście dużo starszy niż jego nazwa, świeża jak twarz Moniki Olejnik po liftingu. I różni się od normalnej walki na idee, interesy czy ambicje. Ponieważ w żadnym przypadku nie chodzi w nim o prawdę.

Słynny proces Sokratesa nie miał podłoża politycznego. Niezdolny, acz zawistny poeta Meletos wniósł oskarżenie przeciwko Sokratesowi, któremu zarzucił nieuznawanie bogów oraz psucie młodzieży. Kampania odniosła skutek. Wielu chciało dać nauczkę wybitnemu filozofowi. Skazali go na śmierć, licząc, że wybierze ucieczkę. Sokrates ich zaskoczył, zdecydował się na śmierć w imię obrony swych zasad. I wygrał! Nie inaczej było z Joanną d'Arc. Nienawidzący jej za poniesioną klęskę Anglicy i ich kolaboranci oskarżyli Dziewicę Orleańską o bycie czarownicą, czemu sprzyjało noszenie przez nią męskich szat. Dali jej szansę samokrytyki. Nie ugięła się, zginęła na stosie. I została świętą!

Nie muszę dodawać, że najsłynniejszą ofiarą hejtu w historii był Jezus Chrystus. Faryzeusze z pomocą Piłata i podpuszczonego motłochu (ówczesne „osiem gwiazdek" brzmiało: „Uwolnić Barabasza!") postanowili wyeliminować konkurenta do rządu dusz. Zastanawiam się, czy ktokolwiek z tych uczonych w końcu mężów zdawał sobie sprawę, z kim zadarł?

Oczywiście w dawniejszych czasach oszczerstwo było zajęciem ryzykownym, z wyłączeniem tego inspirowanego przez możnych tego świata. Można było utracić cześć albo język. Ewentualnie polec w pojedynku.

Wynalazki naszej epoki, takie jak internet, zapewniają szkalującym anonimowość, a przynajmniej jej pozory. Do czasu. Istnieje przecież zawsze obawa, że opluskwiany wygra i wtedy się odwinie. Już dziś Hołownia gratulując Nawrockiemu, wyraża nadzieję, że ten nie będzie się mścił. Nie musi, wystarczą sądy. Z neo-sędziami czy bez nich opluwacze są bez szans. Najbardziej cieszyłoby mnie walnięcie Onetu taką grzywną, że wyniósłby się z naszego kraju raz na zawsze. Liczę też, że nowy prezydent kierowany chrześcijańskim miłosierdziem pozwoli swym głównym wrogom, Rafalali i Donkowi, załatwić się nawzajem. Już teraz wykonali wiele w celu destrukcji własnego wizerunku. Na ostatniej prostej Donaldinio (mając do dyspozycji całą psiarnię) sam zachowywał się jak wściekły ratlerek, gryząc kogo popadnie po kostkach. I co teraz? Seria bolesnych zastrzyków? Podobno zamierza uciekać do przodu i złożyć samemu wniosek o wotum zaufania. Żeby się nie zdziwił. Koalicjanci w pierwszym rzędzie spróbują przecież ratować własną skórę… A Hołownia może się nie bać, Nawrocki nie bije beks!

Natomiast „Bążur"? Popełniwszy wszystkie możliwie błędy, koncertowo dał ciała na wieczorze wyborczym, zachowując się tak, jakby naprawdę już wygrał. Czy nie wie, że kardynał wchodzący na konklawe z przekonaniem, że zostanie papieżem, wychodzi zwykle szeregowym kardynałem? Pycha kroczy przed upadkiem, a między nimi jest jeszcze śmieszność.

Na pociechę może czekać go wpis do Księgi Rekordów Guinnessa – okazał się najkrócej urzędującym prezydentem w historii świata. Godzina z hakiem czy coś koło tego? A najśmieszniejsze, że ciągle nie rozumie, jak do tego doszło – był taki śliczny, mądry, umiał po rusku i francusku. Cóż, panie Rafale – Polska nie jest jednym wielkim miasteczkiem Wilanów. Więc nie wystarczy zahejtować się na śmierć! ■

eprasa.pl aa16717a60



Tomasz Sakiewicz

Świat „normalsów”

Sztab Rafała Trzaskowskiego po cichu musiał przyznać, że zwycięstwo ich kandydata było trudne, bo ludzi o konserwatywnych poglądach jest więcej niż tych o liberalno-lewicowym światopoglądzie. To samo przyznał Donald Tusk. Pisałem o tym wielokrotnie, że osoby o konserwatywnych poglądach, cokolwiek to znaczy, to ponad 50 proc. Polaków, a ludzie, których można zakwalifikować jako liberalną lewicę, to 30, maksymalnie 40 proc. Polaków. Z tego powodu bardzo trudno liberalnej lewicy wygrać wybory prezydenckie. Tu jest wyraźna polaryzacja i widać, kto jest kto. Liberalna lewica musi na czas wyborów przebierać swoich kandydatów w piórka konserwatywne i zohydzać kandydata prawicy. To już rytuał. W wyborach parlamentarnych mają łatwiej, bo mogą się podzielić rolami pomiędzy różnymi partiami. Po prostu prościej oszukać wyborców, że któreś z ugrupowań jest konserwatywne.

Dlatego dzisiaj konserwatyzm wymaga jasnej definicji, bo ludzie mają coraz większy mętlik w głowach. Coraz częściej słowo „konserwatyzm” zaczyna się zastępować terminem „normalność”. Zmiany społeczne, jakie następują w ostatnich dziesięcioleciach, powodują, że trudno zdefiniować jasny system wartości i zachowań konserwatywnych. Najlepiej obrazuje to szef konserwatywnej rewolucji na świecie, czyli Donald Trump. Sam dwukrotnie rozwiedziony, deklaruje się jednak jako przeciwnik aborcji. Kwestia *in vitro* też dzieli konserwatystów, bo samo wspomaganie rozrodczości ma akceptację większości, ale niszczenie zarodków czy eksperymenty na nich powodują sprzeciw niemal wszystkich konserwatystów.

Zmiany, jakie następują w poglądach ludzi, odzwierciedlają ewolucje zachodzące w rozwoju samego społeczeństwa. Radykalne wydłużenie wieku życia powoduje zwiększoną podatność małżeństw na kryzysy – większe prawdopodobieństwo rozwodu, im dłużej żyją małżonkowie. Do tego doszła samodzielność finansowa kobiet. Co więcej, w przypadku kobiet potrzeba kształcenia i robienia kariery podnoszą wiek decyzji co do urodzenia pierwszego dziecka. To radykalnie ogranicza płodność. Stąd coraz większa akceptacja u ludzi o konserwatywnych poglądach dla powtórnych związków i jakiejś formy wspomagania płodności, a jednocześnie sprzeciw wobec małżeństw homoseksualnych, adopcji przez nich dzieci czy aborcji.

Te zmiany poglądów wynikają z pewnego rodzaju konfliktu wartości: chęci funkcjonowania w tradycyjnej rodzinie, która jest związkiem kobiety i mężczyzny i dąży do posiadania dzieci, z radykalnym przestrzeganiem zasad religijnych. Stąd też częściej pojawia się określenie „normalność” zamiast „konserwatyzm”. Ludzi o obyczajowo konserwatywnych poglądach jest mniejszość, ale razem z „normalsami” jest ich zdecydowanie najwięcej. I dzisiaj to „normalsi” decydują, kto wygra wybory. ■

DZISIAJ KONSERWATYZM WYMAGA JASNEJ DEFINICJI, BO LUDZIE MAJĄ CORAZ WIĘKSZY MĘTLIK W GŁOWACH. BOWIEM CORAZ CZĘŚCIEJ SŁOWO „KONSERWATYZM” ZACZYNA SIĘ ZASTĘPOWAĆ TERMINEM „NORMALNOŚĆ”.

fot. ?

eprasa.pl aa16717a60

niezależna.pl



Twój portal informacyjny na każdy dzień!
Wejdź na **niezalezna.pl** i bądź na bieżąco!

niezależna.pl
Informacje, którym możesz zaufać

www.Niezalezna.pl
www.facebook.com/NiezaleznaPL
www.x.com/niezaleznapl
www.instagram.com/niezaleznapl

eprasa.pl aa16717a60